

LEGENDY POLSKIE



RADEK RAK

ROBERT M. WEGNER

ELŻBIETA CHEREZIŃSKA

RAFAŁ KOSIK

JAKUB MAŁECKI

ŁUKASZ ORBITOWSKI

allegro

LEGENDY
POLSKIE

allegro

Warszawa 2015

Copyright © 2015 by Grupa Allegro Sp. z o.o.
Copyright © 2015 for the cover by Grupa Allegro Sp. z o.o.
Copyright © 2015 for illustrations by Grupa Allegro Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracje: Marcin Panasiuk
Koncepcja: Allegro/ Fish Ladder

Wyłączny dystrybutor:
Grupa Allegro Sp. z o.o.

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.

ISBN 978-83-941057-2-3

Spis treści

Jakub Małecki – Zwyczajny gigant	5
Elżbieta Cherezińska – Spójrz mi w oczy	28
Radek Rak – Kwiaty paproci	72
Rafał Kosik – Śnięci rycerze	104
Robert M. Wegner – Milczenie owcy	129
Łukasz Orbitowski – Niewidzialne	161

Jakub Małecki

Zwyczajny gigant

inspirowane legendą *Pan Twardowski*

Budzę się i przez chwilę niczego nie pamiętam. Przez chwilę jest mi prawie dobrze, prawie tak jak kiedyś, ale obracam się na plecy, oddycham raz, drugi, i już. Wszystko wraca. Opuszczam nogi na podłogę, rozmyte cyfry na wyświetlaczu radia wyostrzają się trochę, ale nie patrzę, podsuwam się tylko bliżej krawędzi łóżka, sapię ciężko, wstaję.

Jest dzień po moim końcu świata, a ja stoję oparta o ścianę i czekam, aż wszystko przestanie się kręcić. Później idę do kuchni, siadam na taborecie i patrzę za okno. Nie spodziewaliśmy się takiego końca, ani Janek, ani ja. Swego czasu zastanawialiśmy się, czy pod oknami wybudują nam wreszcie tę czteropasmówkę i czy w październiku będą grzyby, spodziewaliśmy się remontu w mieszkaniu nad nami i ostrej tym razem zimy, ale takiego końca świata to nigdy.

Poznaliśmy się na studiach, ja uprawiałam akrobatykę artystyczną, a on ten swój boks, wtedy już go chcieli w Polsce, mówili, że jak na lekkopółśrednią, to ma piekielnie mocne uderzenie.

Pamiętam, jak przychodził do mnie wtedy, zmordowany, siadał przy stole i opowiadał. O zbijaniu wagi. O bieganiu w trzech parach spodni i w zimowej kurtce. O pompkach w saunie i o żuciu rosyjskich rubłówek, które zmuszały ślinianki do pracy. O Kuleju i o tym, jak mu żyć nie dawał z sierpami:

– Niżej do tych sierpów, Twardowski! Masz się wkręcić jak śruba! Niżej, niżej, niżej!

Pobraliśmy się rok po studiach, on już wtedy był gwiazdą, o mnie ciągle tylko mówili, że „się zapowiadam”. Gdybym miała więcej czasu, to może, ale „zapowiadać się” nie było kiedy, bo tylko on, on, on, Twardowski.

Dwa lata po ślubie chcieliśmy mieć dziecko. Dziecka nie było, był tylko Twardowski i jego nadchodząca „walka stulecia” z Sugarem Rayem Leonardem. Janek miał już cały sztab trenerów, kolorowe dresy ze swoim nazwiskiem, głowę pełną samego siebie, więc gdzie tam ja, gdzie dziecko. W domu bywał coraz rzadziej. Bo biegi, bo sparringi, bo prasa. W wywiadach radiowych opowiadał, że zgotuje Leonardowi na ringu prawdziwe polskie piekło.

Dwa dni przed wylotem do Stanów wybrałam się na mój ostatni trening. Trening jak trening, rozgrzałyśmy się wszystkie, potem wykonywałyśmy kolejne figury. Ja na samej górze, Baśka i Nina pode mną, wszystko tak, jak już tysiące razy, ale tym razem inaczej. Nawet nie wiem, kiedy spadłam. Podobno Ninę złapał skurcz.

Uderzyłam plecami o podłogę, ale więcej nie pamiętam. Tylko że mi powietrze z płuc zabrało. Zamknęłam oczy, a kiedy je otworzyłam, nie miałam już czucia w nogach.

Janek wycofał się z „walki stulecia”. W prasie grzmiało, szefowie związku wściekli, kary pieniężne nad

głową. On siedział w szpitalu i było w nim coraz mniej Twardowskiego, a coraz więcej tego chłopaka, który mnie tak rozbawiał na studiach. Tylko powodów do śmiechu nie było. Złamany kręgosłup, paraliż do końca życia, kalectwo. Akrobatka sportowa na wózku inwalidzkim. Codziennie rano budziłam się i przez chwilę nie pamiętałam, co się stało. Potem wszystko nagle zwałało mi się na głowę, wszystko czerniało, rozpadało się.

Janek szalał.

Krzyczał na pielęgniarki, pisał do znajomych, od lekarzy domagał się kolejnych badań i terapii. Trzy razy odwiedzał prestiżową klinikę w Stanach, podobno dojścia złatwiał mu sam Sugar Leonard. Nic się nie udało.

Nigdy nie wrócił na ring. Słyszałam, jak prezesowi Polonii powiedział, że ma się pierdolić. Powtarzał mi, że mnie z tego wózka ściągnie, choćby nie wiem co. Biegał po mieście, po szpitalach, po urzędach. Namawiał, żądał, przekupywał, groził. Któregoś razu wrócił do domu pijany. Tak walnął drzwiami, że się obudziłam. Usiadł na brzegu łóżka, oczy wielkie, roztrzęsiony. Udawałam, że śpię.

– Jest nadzieja, Liduś – szepnął, bardziej do siebie niż do mnie. – Jeszcze wszystko będzie dobrze.

Kilka dni później przyszedł jakiś mężczyzna. Dozorca, wyjaśnił Janek. Długo rozmawiali. Po jego wyjściu Janek gotował rosół i podśpiewywał, tak jak dawniej, za czasów, kiedy chodziłam. Ludzie różnie reagują na stres i nieszczęście, tak mi mówili w szpitalu.

Jakiś czas później odwiedził nas listonosz. Twarz wydała mi się dziwnie znajoma, ale wtedy wiele rzeczy mi się wydawało. Posiedział trochę, wypił chyba ze trzy herbaty, potem Janek wyszedł z nim na zewnątrz, wrócił po godzinie. Kiedy spytałam, kto to był, odparł, że po prostu listonosz, straszny gaduła.



Zorientowałam się dopiero przy hydrauliku. Rudy, z wąsem, a jednak twarz taka sama. Wyglądał jak brat bliźniak tamtych dwóch, dozorca i listonosza. Przyniósł jakieś dokumenty do podpisu. Janek zamknął drzwi do mojego pokoju i nie zwracał uwagi, kiedy krzyczałam, że co to ma być i że ja nie jestem jakiś przedmiot albo zwierzę, co je można w pokoju zamknąć, bo przeszkadza. Rozmawiali do późna, Janek dwa razy biegał do sklepu po wódkę. Kiedy go nie było, ten mężczyzna siedział bez ruchu, nie słyszałam, żeby odkładał szklanekę albo kręcił się na trzeszczącej kanapie, nic. Tylko tak siedział, a ja prawie dusiłam się ze złości. Pili do rana. Zasnęłam zmęczona, zawiedziona, wściekła.

Obudziłam się przed południem i znowu czułam nogi.

Lekarze przedstawiali różne wyjaśnienia. Mówili o nietypowym złączeniu tkanek, przytaczali wyniki badań nad regeneracją rdzenia kręgowego, ktoś zasugerował nawet pozytywny wpływ psychiki, ale większość tylko drapała się po głowach i mruczała pod nosem. Janek wiedział swoje. Biegał po domu i powtarzał, że to cud. Kupił wino, kaczkę upiekł, chciał tańczyć.

Tańczyliśmy.

Przez kilka tygodni czułam się jak pijana. Spacer, przyjęcia, wystawy. Jazda na rowerze, dancin w Azetesie, wizyty przyjaciółek i duży artykuł w „Przekroju”. Wypisany tłustymi literami tytuł brzmiał „Żona Jana Twardowskiego pokonuje paraliż!”.

Pierwsze plotki zaczęły docierać do mnie po kilku miesiącach. Baśka, ta, z którą trenowałam, zadzwoniła któregoś razu, jakaś taka niepewna, poprosiła o spotkanie. Przy kawie i ciastku wyduśliła z siebie, że Janek to teraz człowiek

sukcesu, biznesmen. Czy nie mógłby im pożyczyć... nie chodzi o dużą kwotę... tak jej głupio... Nie wiedziałam, o co chodzi. Wyjaśniła, że jej mąż widział go w Marriotcie, przy stoliku z Kulczykiem. Uśmiełam się tak, że rozlałam kawę. Do domu wróciłam spacerem. Jankowi opowiedziałam wszystko przed snem. Rżał ze śmiechu.

Potem było to moje starcie z mamą. Przyjechała na święta: smażenie, gotowanie, plotki. Ugniatając ciasto na makaron, zapytała, po co Janek był w Berlinie. Odparłam, że nie wiem po co: wiem za to, że go tam nie było.

Opowiedziała więc, jak to jej sąsiad spotkał Janka na lotnisku Tegel. Janek gdzieś się spieszył. Garnitur, walizka, zadowolony. Nie rozmawiali, ale to na pewno był on. Powiedziałam wtedy matce, że jak jest tak głodna sensacji, to niech sobie ogląda „Ekspres Reporterów”, a od Janka by się mogła wreszcie odczepić. Obrażona, wróciła do klusek, a ja do karpia. Dwie godziny później życzyłyśmy sobie nad opłatkiem zdrowia, uśmiechu i szczęścia.

Co jakiś czas docierały do mnie nowe rewelacje, ale zbyt dużo miałam na głowie, żeby się jeszcze ludzką zawiścią przejmować. Janek objął właśnie stanowisko prezesa Polskiego Związku Bokserskiego, a pół roku później powołano go na stanowisko ministra sportu. Życie nagle przyspieszyło: przeprowadzka do domu na Bielanach, odchudzanie, wyjścia, bankiety. Bywało, że częściej widywałam go w telewizji niż w domu. Przytył, wymłodniał i zaczął się lepiej ubierać.

Ściągał z zagranicy markowe garnitury, strzygł się u najlepszych warszawskich fryzjerów, a butów miał już więcej niż ja. W łóżku przypominał nienasyconego nastolatka. Kolarze na mieście, podróże do egzotycznych krajów i kwiaty bez okazji. Życie było dobre. A przynajmniej tak samą siebie przekonywałam.

Tego dnia, kiedy wszystko się zmieniło, oglądałam go w programie na żywo. Trwała dyskusja o zwiększeniu budżetu na badania kosmiczne, Janka ten temat rozpalał jak nic innego. Rozmawiał z czterema innymi gośćmi. Po przerwie reklamowej dołączył kolejny, a ja upuściłam na dywan filizankę z herbatą. W studiu siedział człowiek, który odwiedzał Janka w czasie mojej choroby. Dozorca, listonosz, bankier. Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Zrobiło mi się duszno.

Po raz pierwszy w życiu Janek wypadł kiepsko przed kamerą. Zacinał się, gubił słowa. Kilka razy wybuchał głośnym, nerwowym śmiechem. Do domu wrócił zaraz po nagraniu. Stał w drzwiach i zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać, oświadczył, że odchodzi.

Z początku nie rozumiałam. Skąd odchodzi? Z ministerstwa? Z polityki? Ze związku? Powiedziałam, że jeśli ma coś, to niech odchodzi, kariera to nie wszystko. Chciałam go przytulić, odsunął się, pokręcił głową. I w kółko, że odchodzi, że umowa, że musi, że przeprasza. Dopiero po kilku minutach zorientowałam się, że odchodzi ode mnie.

– Ale coś wymyślę, Lidka – powiedział, uciekając w stronę drzwi. – Wymyślę coś, przysięgam.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Nie rozmawiałam z nim przez następne dziesięć lat.

Żyłam bez męża, ale nie bez Twardowskiego. W Polsce bez Twardowskiego żyć się wtedy nie dało. Gdziekolwiek się odwróciłam, on: Twardowski, Twardowski, Twardowski.

Rok po odejściu został premierem. Podobno sam opracował projekty kilku ustaw, najbardziej zaangażował się

jednak w organizację polsko-amerykańskiej stacji kosmicznej na Księżycu. Podczas uroczystego otwarcia kosmodromu pod Poznaniem przecinał wstęgę razem z Mirosławem Hermaszewskim i Barackiem Obamą. Szeroki w barach, opalony, przewyższał obydwu o głowę. Siedziałam przed telewizorem i ryczałam, nie wiem czy bardziej z rozpaczy, czy z wściekłości.

W międzyczasie prowadził interesy. Zaczął produkować metale lekkie i na masową skalę handlował mikrokratownicami z niklowanych nanorurek. W Łomiankach postawił fabrykę części do raket kosmicznych. Zatrudnił tysiąc dwieście osób.

Pierwszy film biograficzny o życiu Janka zrealizował niejaki Alejandro González Iñárritu. Kręcony z ręki i przy naturalnym świetle, obraz przedstawiał Twardowskiego jako świętego szaleńca, który łamie bariery, bo nie wie, że istnieją. Recenzje były raczej pochlebne, film raczej niestrawny. Artystyczny bełkot, z którego niewiele zrozumiałam. Drugi film nakręcił Michael Bay i tym razem padł rekord światowego box office'u: *Casual Giant* zarobił więcej niż *Avatar*. Wtedy zaczęło się prawdziwe wariactwo. Janek brylował w amerykańskich programach śniadaniowych, odbierał doktoraty honoris causa, gościł w Białym Domu. Latał pomiędzy Warszawą a Los Angeles.

Choć magazyn „People” dwukrotnie ogłosił go najseksowniejszym mężczyzną na świecie, nigdy nie słyszałam, by miał jakąś kochankę. Nie widywano go z kobietami: na pokazy, imprezy i bankiety zawsze przychodził sam. Kiedy Stephen Colbert zapytał go w swoim programie o tę sferę jego życia, Janek z rozbrajającym uśmiechem stwierdził, że na głupoty obecnie nie ma czasu.

W to akurat mogłam uwierzyć. Twardowski był już wszędzie. Prasa, radio, telewizja, internet, wykłady, spo-

tkania, posiedzenia, debaty. Śledziłam to wszystko i coraz częściej wydawało mi się, że Twardowskich jest przynajmniej kilku; że jeden by tego wszystkiego nie pociągnął.

Pierwszy habitat na Księżycu otwarto dwunastego kwietnia, w moje urodziny. Relację na żywo emitowały wszystkie stacje telewizyjne, a eksperci w studiach analizowali każdy gest kosmonautów. Ci sprawiali wrażenie pijanych ze szczęścia i z dumy. Odbijali się od szarej powierzchni jak kauczukowe piłeczki. Na pasku pełzło w kółko jedno zdanie: „Misja zakończona sukcesem”. W serwisach informacyjnych przez tydzień nie mówiło się o niczym innym.

Niedługo później jako trzeci Polak w historii, po Wałęsie i Janie Pawle II, Janek zdobył tytuł człowieka roku przyznawany przez „Time”. Z okładki spoglądał wariackim wzrokiem mężczyzny, który myśli: dopiero nabieram tempa.

W to też mogłam uwierzyć.

Wciąż czekałam, kiedy zadzwoni. Codziennie sprawdzałam skrzynkę, wypatrując e-maila, w końcu zaczęłam nawet dopytywać listonosza, czy nie przyniósł pocztówki. W nocy nie rozstawałam się z telefonem, przekonana, że tym razem na pewno zadzwoni.

Janek milczał.

Mówił do prezenterów, dziennikarzy i polityków, przemawiał do wyborców, telewidzów, czytelników, pisywał do redakcji, rządów, prezydentów. Tylko nie do mnie, tylko nie do Lidii Twardowskiej, która czekała w naszym domu na Bielanach, wpatrzona w zachwaszczony ogród i wyblakły worek treningowy, powieszony kiedyś pod dachem na tarasie.

Któregoś dnia wyrzuciłam wszystko. Obudziłam się o czwartej nad ranem, włożyłam stary dres i ruszyłam do jego pokoju. Zapakowałam do plastikowych worków wszystkie uszyte na miarę garnitury, wszystkie buty o skórzanych podeszwach, wszystkie płaszcze, krawaty, poszetki i kapelusze. Znalazłam wszystkie rękawice bok-serskie, bandaż, kask do sparingów i całe pudło ochronia-czy na zęby. Do osobnej torby wrzuciłam medale, pucha-ry, dyplomy i zdjęcia z turniejów. Wszystko wyniosłam przed dom. Olbrzymia sterta tego, czym kiedyś był Jan Twardowski. Zapłaciłam pierwszym napotkanym pijakom za pozbycie się tych śmieci w cholere. Domyślałam się, że statuetki trafiły na złom.

Próbowałam się leczyć z Janka. Zapisałam się na kurs japońskiego i lekcje pianina, znajoma poleciła mi dobre-go psychologa. Wynajęłam całe piętro w budynku przy Marszałkowskiej i otworzyłam tam szkołę tańca. Nina, przez którą dawno temu, w innym życiu, złamałam krę-gosłup, została moją księgową. Klientów nie brakowało. Z roku na rok rachunek zysków i strat wyglądał coraz bardziej imponująco. Po pracy kupowałam czasem wino i w małym kantorku na zapleczu wspominałyśmy dawne czasy. Tematu Janka nie poruszyłyśmy ani razu.

Trudno było jednak nie wiedzieć, co u niego. Wszyscy to wiedzieli.

Kiedy ja uczyłam ludzi poruszać biodrami, on urucha-miał program budowy sieci studni w Afryce. Finansował go z pieniędzy zarobionych na filmie Baya i sprzeda-ży polskiej ropy z Zagłębia Karpackiego. Świat obie-gło zdjęcie, na którym wspólnie z Dalajlamą pochyła się nad wychudzonym czarnoskórym chłopcem. W tle potężne maszyny drążą suchą ziemię. Podpis brzmiał: „Some people just want to make the world a better place”.

Część zdobytej fortuny przeznaczał na poszukiwania nowych metod leczenia nowotworów. Opłacany przez niego międzynarodowy zespół naukowców zapowiadał rychłą rewolucję w walce z białaczką. W Krakowie otwarto nowoczesną, dwunastopiętrową klinikę imienia Jana Twardowskiego.

Najbardziej jednak zaangażował się w rozbudowę stacji kosmicznej na Księżycu. Projekt pochłaniał gigantyczne pieniądze i wzbudzał wiele kontrowersji. Dziennikarze, specjaliści i komentatorzy zasypywali Twardowskiego kolejnymi pytaniami.

– Czy nie uważa pan, że pieniądze utopione w tym pańskim widzimisię przydałyby się bardziej w walce z głodem?

– Czy po klęsce większości projektów badawczych prowadzonych na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej naprawdę uważa pan, że kilka namiotów na Księżycu da nam odpowiedzi na jakiegokolwiek istotne pytania?

– Dlaczego tak bardzo upiera się pan przy tym, żeby jak najszybciej ukończyć to przedsięwzięcie, skoro wie pan, jak fatalnie przedstawia się obecnie dług publiczny kraju?

– Ile prawdy jest w plotkach, że założył się pan o ten kosmodrom z Elonem Muskem?

– Jaki, do cholery, ma pan w tym wszystkim interes?

Twardowski odpowiadał merytorycznie, stanowczo, uprzejmie i fachowo, czasem w ekscytacji, czasem ze zniecierpliwieniem, czasem śmiertelnie już znudzony. Nie ugiął się pod żadnym argumentem, nie pozostawił bez komentarza żadnego ze stawianych mu zarzutów. Słuchając go, człowiek nabierał wrażenia, że stacja kosmiczna na Księżycu to najważniejsze przedsięwzięcie w historii ludzkości. Ja zupełnie tego nie rozumiałam. Od



dawna wiedziałam jednak, że decyzje Jana Twardowskiego niekoniecznie muszą mieć cokolwiek wspólnego z logiką.

Któregoś razu, w sobotę, zamówiłam do domu zakupy. Najczęściej nie chciało mi się przedzierać w korkach przez miasto, klikałam więc tylko „Ponów poprzednie zamówienie” na stronie supermarketu i kilka godzin później wszystko, czego potrzebowałam, podjeżdżało pod drzwi. Tym razem w jednej z papierowych toreb, pomiędzy kartonikiem kaszy gryczanej i butelką sojowego mleka, znalazłam niewielką kartkę z notesu. Znajome pismo układało się w trzy słowa: „Jeszcze trochę. Wytrzymaj”.

Z początku się przestraszyłam, potem ucieszyłam, na koniec byłam wściekła. Trzy słowa, kartka wciśnięta między zakupy ze spożywczego, jakby nie mógł normalnie, prosto w oczy, albo chociaż przez telefon.

I o co w ogóle chodziło? Co miałam wytrzymać? Co miało znaczyć to całe „jeszcze trochę”, wysłane po blisko dziewięciu latach ciszy?

Kartkę zgniotłam i wrzuciłam do śmietnika. Godzinę później wyciągnęłam ją stamtąd i rozprostowałam na blacie. Czytałam w kółko, wpatrując się w zawijasy liter. Pomyślałam, że dobrze byłoby wygładzić papier żelazkiem. Ruszyłam do sypialni i w połowie drogi zatrzymałam się, oparta o ścianę. Biegiem wróciłam do kuchni, podałam notatkę na strzępy, a potem wrzuciłam do kominka i podpaliłam.

Przez resztę dnia siedziałam na kanapie, wpatrzona w wyłączony telewizor. Zakupy stały na blacie.

Od pewnego czasu spotykałam się z mężczyznami. Pierwszy był Michał, właściciel budynku, w którym prowadziłam szkołę tańca. Podczas rozmowy w windzie

zaprosił mnie do teatru na *Wujaszka Wanię*. Spotykaliśmy się przez kilka miesięcy i w końcu samo zdechło. Jego miejsce szybko zajął Antoni, właściciel prężnie działającego biznesu, miłośnik jazzu i wina. Miał domek w Toskanii, gdzie przeżyłam naprawdę przyjemny tydzień. Spacer, słońce, książki. Aromatyczne kolacje, wino, długie rozmowy przy świecach. Po raz pierwszy od dawna oderwałam się trochę od swojej codzienności, od szkoły tańca, od faktur, od wielkiego i pustego domu. Antoni miał ciepłe usposobienie i był świetny w łóżku. Kiedy powiedział, że chce się ze mną ożenić, natychmiast go zostawiłam.

Potem był Fryderyk, którego poznałam u Niny. Starszy ode mnie o osiem lat, przystojny, zabawny. Pisarz. Znudziłam się nim właściwie już tego pierwszego wieczoru. Pojawiło się jeszcze dwóch, trzech, nie pamiętam. Nina powtarzała, że mam świetną figurę i że podobam się mężczyznom. Może, ale moim zdaniem wielu z nich chciało po prostu zobaczyć, jak to jest przelecieć byłą kobietę Twardowskiego. Szybko przestało mnie to bawić.

Sam Twardowski pojawił się zaś równie nagle, jak zniknął.

Zadzwoił do mnie dziesięć lat po tym, jak zostawił mnie bez żadnego wyjaśnienia. Była niedziela, późny wieczór. Zagrzebana pod kocem oglądałam na laptopie ostatni sezon *The Affair*.

Wyciągnęłam telefon z zagłębienia w kanapie. Nieznany numer. Odebrałam, gotowa powiedzieć, że nie, nie jestem zainteresowana żadną ofertą, do widzenia. Z głośnika nie dobiegł jednak uprzejmy głos niewolnika z *call center*. Najpierw chwila ciszy, potem tylko oddech. Wtedy już wiedziałam.

Wyprostowałam się, rękę zacisnęłam na kocu. Z całej siły przyciskałam telefon do ucha. Znajomy głos wypowiedział dwa słowa:

– To ja.

Mój mąż, były bokser, człowiek roku według magazynu „Time”, polityk, biznesmen i filantrop, Jan Twardowski, poprosił o spotkanie.

Poprosił głosem innym niż ten, którego przez dziesięć lat słuchałam w radiu i telewizji, głosem pełnym emocji, głosem człowieka, nie giganta.

– Wszystko ci wyjaśnię, Lidka – dodał cicho, jakby sam był zły na siebie, że musi to powiedzieć. – Tylko się zgódź.

Nic nie mówiłam. Siedziałam z laptopem na kolanach, z ręką zaciśniętą na telefonie, drugą na fałdzie koca, z szumem w głowie, z walącym sercem, i milczałam. Chciałam mu powiedzieć, że jest idiotą, że mam swoje życie i nie zamierzam się z nim spotykać, nigdy. Chciałam skłamać, że mam kogoś, może nawet kogoś kocham. Przede wszystkim chciałam wykrzyczeć w słuchawkę, żeby się odpięrzył i zostawił mnie w spokoju.

Zanim zorientowałam się, co robię, powiedziałam, że chętnie się z nim spotkam.

Sama w domu, pół życia na karku, czerwieniłam się ze wstydu jak wtedy, kiedy w wieku szesnastu lat po raz pierwszy rozebrałam się przed chłopakiem. W brzuchu też podobnie mnie ścisnęło. Janek podziękował, powtórzył, że wszystko mi wytłumaczy, potem się rozłączył.

Przez resztę wieczoru wyrzucałam sobie, że się zgodziłam. W nocy, nie mogąc zasnąć, zastanawiałam się, jak Jan Twardowski zamierza wytłumaczyć mi te dziesięć lat.

Wybrałam restaurację, wybrałam sukienkę, wybrałam fryzjera, kosmetyczkę, szminkę, kolczyki, perfumy, bieliznę nawet, niech mnie diabli. Buty kupiłam w Witkacu, dwa tysiące osiemset złotych, choć moim zdaniem wyglądały zwyczajnie.

Powiedziałam tylko Ninie. Teatralnie złapała się za głowę, błagała, żebym nie szła, powtarzała, że on mi złamie serce. Że to już nie Janek, że to nie mój mąż, że to już wyłącznie Twardowski.

– On cię zniszczy, Lidka – mówiła podniesionym głosem, chodząc w tę i z powrotem po naszej sali do tańca. – Będiesz się z niego leczyć przez następne dziesięć lat.

– Tak, tak – powtarzałam, zamyślona. – Tak, tak, kochana. Masz rację.

Przyszłam pół godziny przed czasem i zamówiłam kieliszek czerwonego wina. Myślałam, że alkohol mnie uspokoi, nie uspokoił. Czekałam, wpatrzona we własne dłonie na białym obrusie. Dotarło do mnie, że wystroiłam się jak idiotka.

Pojawił się równo o czasie. Też wystrojony, choć jemu to pasowało. Jakby urodził się w tym stalowym garniturze, w tym płaszczu, z drogim zegarkiem na nadgarstku i bordową poszetką w kieszonce marynarki. Podaliśmy sobie ręce, jakbyśmy spotkali się na kolacji służbowej.

Ludzie przy sąsiednich stolikach bez skrępowania gapi-li się, śledząc każdy jego ruch. Ktoś robił zdjęcia telefonem.

Janek powiesił płaszcz, usiadł i od razu zaczął mówić. Rozumiałam co drugie słowo. Coś o umowie, o tym, że przeprasza, o warunkach, niebezpieczeństwie, że to wszystko dla mnie. Tak bardzo przepraszam, Lidka, Liduś, ty nawet nie wiesz, co ja musiałem przez te dziesięć lat, ile to mnie kosztowało, ale to wszystko dla ciebie.

Przecież wstałaś wtedy, chodzisz, prawda? A mówili, że rdzeń przerwany, że się nie da, że to niemożliwe.

Potem opowiadał, że coś wymyślił. Wymyśliłem, Liduś, uda się, wszystko przygotowane, tylko się musisz zgodzić. Tylko musisz mi zaufać, ten jeden raz, o to tylko proszę. W końcu zapytał, czy mogłabym wyjechać. Daleko, dalej niż inni. Zostawić wszystko, zostawić to dotychczasowe życie. Wtedy nie wytrzymałam.

– Zamów coś, Janek, dobrze? – poprosiłam oschłym tonem. – Wodę, i najlepiej coś słodkiego. Jadłeś coś dzisiaj? I weź się w garść, do cholery. Nie przyszłam tu wysłuchiwać twoich bzdur. Tego mam dosyć w telewizji.

Pokiwał głową i wyciągnął rękę, jakby chciał mnie dotknąć, ale zaraz cofnął. Uśmiechnął się głupawo. Otworzył menu.

I wtedy zaczął się koniec świata.

Otworzył menu, a krew odpłynęła mu z twarzy. Błady, wpatrywał się w logo restauracji, a mięsiste usta, dwukrotnie uznane przez magazyn „People” za najseksowniejsze na świecie, poruszały się bezgłośnie.

– Rzym – szepnął, wskazując na nazwę lokalu. – To się nazywa „Rzym”?

– Ma świetną renomę. Kazałeś mi wybrać, Janek, o ci chodzi? Po to mnie zaprosiłeś? Czy ty w ogóle jesteś trzeźwy?

Ale on już mnie nie słuchał. Gapił się w nazwę na karcie dań i szeptał do siebie:

– Tylko nie teraz, tylko nie teraz, tylko nie...

Kelner wyrósł jak spod ziemi. Patrzył na Janka oczyma dozorczy, hydraulika i listonosza. Uśmiechał się ustami

człowieka, którego widziałam w programie telewizyjnym tego dnia, kiedy przestało istnieć moje małżeństwo.

Z rękoma założonymi za plecami, odwrócił się do mnie i oświadczył:

– Zechce mi pani wybaczyć. Muszę porwać pani męża.

Janek spróbował się podnieść i opadł z powrotem na krzesło.

– Moment, moment – odezwał się do kelnera. – Chwileczkę, ja nie jestem teraz gotowy... Przecież możemy chyba chwilkę jeszcze, bardzo proszę. Nigdzie nie ucieknę, do diabła! Dosłownie chwilkę, zaraz pójdziemy, ja tylko...

Kelner uśmiechnął się jeszcze szerzej. Kąciki ust sięgały mu już niemal uszu.

– Panie Twardowski – westchnął przesadnie. – Koniec wygłupów. I tak pan to przeciągnął ponad miarę. Zapraszam.

– Porozmawiajmy. – Janek gestem wskazał drzwi na zaplecze. Spojrzał na mnie i podniósł się powoli. – Lidka...

Kelner szarpnął go i popchnął przed sobą.

Rozmowy w restauracji ucichły. Wszyscy wbijali wzrok w Jana Twardowskiego. Ten zniknął za drzwiami, ale wcześniej odwrócił się do mnie i powiedział wyraźnie:

– Nie bój się, Lidka. Ja wrócę.

W tej samej chwili z ust kelnera wydobył się śmiech. Jakby rozrywać jakąś wielką płachtę metalu. Rysować gwoździem po szkle. Zakryłam uszy, inni również.

Janek i szaleniec przebrany za kelnera zaczęli się kłócić. Z zaplecza dobiegały krzyki, groźby, walenie garnkami. Janek powtarzał, że rozwiązuje umowę, że nic nikomu nie jest winien, rozmawiał z prawnikami. Potem szamotanina. Oparłam się o stolik, wstałam. Czekałam na środku sali, w środku sceny, o której następnego dnia napiszą wszystkie gazety, i przypominałam sobie słowa Niny. On cię

zniszczy, Lidka. Będziesz się z niego leczyć przez następne dziesięć lat.

Zabrałam płaszcz i torebkę, a potem wyszłam z „Rzymu”. Na ulicy zakreśliło mi się w głowie. Przysiadłam na ławce, a z lokalu wyłonił się Janek. Kelner szedł tuż obok. Część gości wybiegła za nimi, inni obserwowali przez szybę.

Kelner wydawał mi się wyższy niż w środku. Musiał mieć ze dwa metry, a poruszał się jak zwierzę. Oczy takie, jakby chciał wszystkich pozabijać. Z każdego jego gestu biła ślepa furia.

Spojrzałam na Janka i oddech uwiązał mi w płucach. To już nie był Janek. Nie był to też Twardowski. Po raz pierwszy od bardzo dawna zobaczyłam mężczyznę, który podrywał mnie na korytarzach Azetesu. Tego, który godzinami szlifował technikę pod okiem bezlitosnego Kuleja, który biegał w trzech parach spodni i żuł rubłówki, żeby się odwodnić przed walką.

Na ulicy, otoczony powiększającym się tłumem gapiów, stał człowiek, który przed „walką stulecia” zapowiadał, że w ringu zgotuje Sugarowi Leonardowi prawdziwe polskie piekło.

W tamtej chwili Janek nie załapałby się jednak do wagi lekkopółśredniej, w której występował przed laty. Wcześniej musiałam być zbyt zestresowana, żeby zwrócić na to uwagę, albo jego posturę maskował szyty na miarę garnitur, ale teraz szedł już bez marynarki, w jedwabnej koszuli z naderwanym rękawem. Zbudowany był potężnie, jak ciężarowiec albo zapaśnik. Kiedy stanął twarzą w twarz z kelnerem, prawie mu dorównywał wzrostem. Cień, który rzucał na chodnik, wyglądał, jakby palił wszystko pod sobą.

Zanim zdążyłam się zorientować, co robi, podniósł ręce do brody i skręcił się w biodrach.

Ugiął nogi, a w mojej głowie zahuczały słowa, które powtarzał w akademiku w naszym przeszłym życiu: „Niżej do tych sierpów, Twardowski! Masz się wkręcić jak śruba! Niżej, niżej, niżej!”.

Obniżył się do głębokiego przysiadu, przekręcając tułów w lewo. Pod koszulą rysowały się kontury mięśni. Sierp tylko błysnął w powietrzu. Samego ciosu nie widziałam, zobaczyłam dopiero kelnera, rozciągniętego na ulicy kilka metrów dalej. Ręce i nogi drgały w konwulsjach. Byłam pewna, że nie żyje, a jednak podniósł głowę. Obrócił się na brzuch i powoli stanął na roztrzęsionych nogach.

Ludzie w tłumie wrzeszczeli. Spojrzałam w tamtą stronę, potem się odwróciłam. Ale Janka nie było już przed restauracją.

Janek biegł.

Godzinę później napisał do mnie wiadomość.

„lidk jawroce”.

Próbowałam do niego zadzwonić, ale słyszałam tylko, że abonent jest chwilowo niedostępny. Chwilowo od dziesięciu lat.

Długo spacerowałam po mieście. Nina dzwoniła kilka razy, wstydziłam się odebrać. Wróciłam do domu zmęczona. Zrzuciłam ze stóp buty za dwa osiemset, sukienkę zgmiotłam i cisnęłam przez pokój.

Nie mogłam zasnąć.

Kręciłam się w pościeli, potem po całym domu. Po raz pierwszy poczułam, że znikam, że prawie mnie już nie ma. Ogarnęła mnie pewność, że Janek jest gdzieś daleko, bardzo daleko, a skoro jego nie ma, to mnie nie ma także. Wiem, jakie to było głupie. Chciało mi się ryczeć.

W końcu usiadłam w salonie i włączyłam telewizor. W specjalnym wydaniu wiadomości podekscytowany prezenter relacjonował jakieś wstrząsające wydarzenia. Z początku nie słuchałam. Moją uwagę przykuł dopiero napis na pasku informacyjnym.

„Najbardziej zuchwała kradzież ostatnich lat. Podpoznański kosmodrom płonie”.

Olbrzymi kompleks zbudowany za pieniądze mojego Janka zapadał się w pomarańczowej kuli ognia. Jakiś dziennikarz mówił, że dokonano włamania, ale nie można jeszcze stwierdzić, co tak naprawdę się stało. Jedno było pewne: w środku nocy cały Poznań usłyszał potężny huk, a na niebie pojawiła się smuga ognia. Miłośnicy teorii spiskowych przesyłali do studia niewyraźne zdjęcia przedstawiające rzekomo start rakiety kosmicznej.

Słuchałam tego wszystkiego przez godzinę, dwie, może dłużej. Zasnęłam w salonie, przy włączonym odbiorniku, utulona głosami prezenterów, dziennikarzy i ekspertów.

A teraz jest dzień po moim końcu świata: siedzę w kuchni i patrzę za okno. Telewizor wyłączony, telefon milczy, mnie już też właściwie nie ma. Wszystko zniknęło.

Nie ma mnie, nie czuję zimna, wychodzę na taras w pizamie. Jest kilka stopni powyżej zera, ostatnie liście na drzewach też się trzęsą. Nad dachami sąsiednich domów unosi się gigantyczny księżyc. Długo patrzę na niego, nieruchoma i nieistniejąca.

Powoli serce zaczyna tłoczyć krew po moim ciele, a płuca wypełniają się pierwszym oddechem. Czuję samą siebie, tylko trochę, ale coraz wyraźniej. Składałam w całość bełkotliwe słowa z restauracji, treść notatki wrzuconej do zakupów i ostatni, krótki SMS. Nagle rozumiem.



Żyję, jednak żyję, końca świata nie było. Świat jeszcze może będzie.

Księżyc błyszczy na niebie, wyraźny i niezniszczalny. W sieci plam na jego bladej powierzchni dostrzegam rozbajający uśmiech, ten sam, co na okładce „Time’a”.

Elżbieta Cherezińska
Spójrz mi w oczy

inspirowane legendą *Bazyli szek*

– Spójrz mi w oczy, chłopcze, a dowiesz się, kim jesteś...

Głos szepczący w mroku mógł należeć do kobiety, mężczyzny, nawet starca. Mógł się sączyć z głośników albo płynąć z ust kogoś stojącego niedaleko. Serce chłopca zabiło głośno, głośniejsz niż szept, który do niego dobiegał. Poczul woń własnego potu. Czy na pewno własnego? Druga doba zamknięcia, puszczały mu nerwy, nie panował nad zmysłami.

Był unieruchomiony jak w gipsowym opatunku; mógł jedynie lekko zwrócić głowę w bok, nic więcej. Może przykuty? Nie czuł ciężaru łańcuchów, sztab, zasuw. Jedyne, co przychodziło mu do głowy na wytłumaczenie stanu, w jakim się znajdował, to że podano mu zastrzyk, po którym stracił czucie w ciele, w rękach i nogach. I ta świadomość dodawała mu otuchy, bo każdy środek musi w końcu przestać działać. Wystarczy poczekać.

Poza zmuszającym go do patrzenia szeptem nic nie zakłócało spokoju.



Pan Li był znużony.

Jego pobyt w Królestwie Polskim przeciągał się. Początkowo planował, że pozostanie w Warszawie tylko przez ciepłe miesiące letnie, ale okazało się, że królowa, nawet jeśli podejmuje decyzje samodzielnie, to i tak potrzebuje zatwierdzenia ich przez Radę, a tę zwoływano dopiero od połowy września. Na kilka pierwszych posiedzeń nie zaproszono go z przyczyn formalnych i mógł jedynie westchnąć filozoficznie, iż biurokracja Jagiellonów niemal dorównuje chińskiej z czasów dynastii Ming. Przyjemną stroną przeciągającego się pobytu było to, że miał dość czasu, by zwiedzić kraj nad Wisłą i zająć się swoją pasją, czyli wyszukiwaniem i skupowaniem unikatowych antyków i wyrafinowanych dzieł sztuki. Negatywną to, iż dopadł go polski listopad. Szarugi, chłodne mgły, dni bez cienia słońca. Deszcze siąpiące z nieba i odbierające wszelką chęć do życia. Ach, jakże mu brakowało gorąca!

Znalazł na pilocie opcję *Lipcowe popołudnie nad Wisłą*. Zatwierdził. Apartament wypełnił się złotym światłem, które kładło na policzkach ciepłe plamy, grzało plecy. Zapachniało sianem i mokrą trzcina, gdzieś u sufitu zakwilił ptak. Zabrzęczały owady. Pan Li podszedł do okna i spojrział przez szybę. Złudzenie przysło, jakby ktoś dotknął go lodowatą, mokrą dłonią. W dole, w oddali, połyskiwała ciemna toń Wisły, zamazana wieczorną szarugą kolejnej ulewy.

Odwrócił się od okna z niechęcią. Zawołał na służącego:
– Yao!

Przeszył go ostry ból. Od skroni do skroni. Niemal go zemdliło. Uniósł rękę, by schłodzić rozpalone powieki. Powinien już zdjąć soczewki. Uspokoił oddech. Jeszcze chwila, godzina, dwie, pod warunkiem że służący nie będzie się tak guzdrał.

– Yao! – powtórzył ze zniecierpliwieniem.

Ból przeszedł. Pan Li dostrzegł na rękawie kontusza włos. Wziął go w dwa palce i unióś pod światło. Jasny blond. Skrzywił się ze wstrętem. Podeszedł do kominka i wrzucił go w ogień. W tej samej chwili do salonu wszedł sługa.

– Pan wołał? – Zgiął się w głębokim ukłonie.

– Nawet ty się spolszczyłeś, Yao! – rozbawił się nieoczekiwanie Li. – W Chinach nie zadawałbyś pytań.

Na okrągłą twarz służącego wybiegł rumieniec. Ukłonił się raz jeszcze, a potem poruszył nosem i kichnął. Bezradnie rozłożył ręce, rozglądając się po jasnym wnętrzu salonu.

– Mam uczulenie na siano, proszę pana – wymamrotał przepraszająco.

– To syntetyczna woń siana, nie może uczulać. – Li wzruszył ramionami.

– A syntetyczne światło lipcowego popołudnia grzeje? – zripostował służący. – Skoro może grzać, może i uczulać.

– Wytrzymaj nos i pomóż mi się rozebrać. Jestem zmęczony.

– Tak jest. – Yao kiwnął głową i zaczął bezradnie przeszukiwać kieszenie.

– Na kredensie – podpowiedział mu Li.

Nim sługa odnalazł chusteczki, pan Li przez sypialnię przeszedł już do garderoby. Spojrzał na swe odbicie w lustrze. Karmazynowy żupan i szafranowy kontusz podkreślały jego wschodnie rysy. W pierwszych miesiącach pobytu w Królestwie Polskim zapuścił nawet wąsy, ale zgolił je natychmiast po tym, jak media okrzyknęły go „kwintesencją polskiego stylu”. Takie nachalne rzucanie się w oczy napawało Li odrazą. Istotą piękna jest umiar.

– Yao, pospiesz się. Jest mi za gorąco w tych wszystkich ubraniach.

– Zamiast *Lipcowego popołudnia* trzeba było włączyć *Sierpniowy wieczór*. I po sianokosach by było – mamrotał Yao, odwiązuując jedwabny pas kontuszowy pana.

– Nie zrzedź, włącz wiadomości.

Na ścianie ponad lustrem zamigotał obraz.

Panorama monumentalnego budynku Sądu Najwyższego, potem Zamek Królewski i sala obrad Sejmu Wielkiego.

Głos spikera: Z rozkazu królowej, Anny Jagiellonki XIII, sejm proceduje nad tak zwaną ustawą o bestiach.

Więziennicze korytarze, z sykiem rozsuwają się drzwi. W głębi migoczą tylko linie laserowych krat.

– Kontusz odwiesić razem z pasem?

– Yao, doprowadzasz mnie do szału – dobrotliwie roześmiał się pan Li. – Jesteśmy tu od pięciu miesięcy, a pytasz o to każdego wieczoru. Tak, kontusz razem z pasem. To zestaw.

Głos spikera: Celem ustawy, która zajmuje się najgroźniejszymi przestępcami, jest dobranie kary śmierci adekwatnej do popełnionego przestępstwa.

Obraz: Za laserowymi liniami krat upiorne twarze przestępców.

– Że też to musi mieć tyle guzików! – Yao, klęcząc, rozpinał złote guzy żupana pana Li. – I że mój pan taki uparty, żeby w tym chodzić...

– Jestem w Polsce i będę się nosił po polsku. Z szacunku dla królowej.

– A jak pojedziemy na Madagaskar, to pan Li będzie paradował w spódnicy z palmowych liści?

– Interesuje mnie tylko stara Europa. Każ jutro przyjsć krawcowi. Czas na ostatnie przymiarki stroju reprezentacyjnego. Poza tym zrobiło się tak zimno, że potrzebuję delię.

– A cóż to takiego? – sapnął z przestraczem Yao, wstając z kolan.

– Coś w rodzaju płaszcza. Chciałbym, by podbito go prawdziwymi skórami popielic. Nie martw się, delia nie ma guzików.

– A, to niech będzie. – Yao odetchnął i pomógł panu Li zdjąć żupan. – Ach, ile się tego nazbierało – jęknął zrzędliwie, odwieszając szatę pomiędzy co najmniej dwadzieścia innych, podobnych. – I co my z tym zrobimy, jak przyjdzie nam wracać do Chin?

Pan Li pieszczotliwie dotknął jedwabnych rękawów żupanów.

– Oddamy na aukcję charytatywną. – Uśmiechnął się i poruszył barkami, rozciągając mięśnie.

Głos spikera: Królewska Służba Powietrzna wydała komunikat, w którym stwierdza, iż ponownie naruszona została przestrzeń powietrzna nad Krakowem. Pełnomocnik Służby, książę Ostrogski, początkowo nie chciał odpowiedzieć na pytania dziennikarzy, ale przyparty do muru przez reporterów naszej stacji, przyznał, iż specjaliści dopuszczają możliwość, że obiektem, który wdarł się w przestrzeń powietrzną, jest smok. Czy to potomek dawnego smoka wawelskiego? Odpowiedzi na te i inne pytania możliwe będą po...

– Wezwij Tunga – głos pana zabrzmiał tak twardo, że Yao nawet jeśli chciał coś jeszcze powiedzieć, zaniechał i kłaniając się, opuścił garderobę.

Li odwrócił się od rzędów ubrań. Spojrzał w lustro. Stał nago na tle barwnych żupanów i kontuszy. Kontemplował swe odbicie. Harmonijne proporcje ramion i łydek. Świetna linia ud. Doskonała wypukłość piersi i brzucha. Odgarnął z czoła ciemne, lśniące włosy. Ból skroni wrócił na ułamek sekundy. Li syknął. Jedyne, czego w sobie nie znosił, to stopy.

Odwrócił się. Sięgnął do szafy po jedwabny szlafrok. Wychodząc z garderoby, cyfrowym kodem zablokował jej drzwi.

– *Lipcowe popołudnie nad Wisłą!* – zaśmiał się jego asystent, Tung, zgadując hotelowy program od razu, gdy wszedł do salonu. – Nie przeszkadza ci, że nie można wyłączyć brzęczenia owadów? Gdybyś nie był takim tradycyjnalistą i nie upierał się na apartament na Krzywym Kole, lecz wynajął jak ja piętro w Marriotcie, mógłbyś sobie włączyć, co zechcesz. – Tung odłożył elegancką skórzaną teczkę i wyjął z niej tablet. – Wiesz, co planuję, gdy wrócę od ciebie? *Wieczór w Hongkongu!* – Zaśmiał się, ukazując rząd równych, lśniących zębów. – Więc jak? Może popracujemy dzisiaj u mnie?

– Mam inny plan. – Li usiadł w skórzanym fotelu. – Kiedy będzie decyzja w naszej sprawie?

– Najdalej za tydzień. – Tung rozejrzał się po salonie. – Gdzie Yao schował koniak?

– Nie ma koniaku – uśmiechnął się Li. – Jest starka i wiśniówka. I czysta wódka.

– O nie... – jęknął Tung.

– Jesteśmy w Polsce i będziemy pili po polsku.

– Głowa mi na to nie pozwoli. Li, proszę o koniak...

– We Francji już byliśmy. – Pan Li był nieubłagany. – Nalej sobie kieliszek starki. I mów, jakie są rokowania w naszej sprawie.

– Dobrze. – Tung upił łyk i mrugnął. – Wódka też! Anna Jagiellonka podjęła decyzję po waszym drugim spotkaniu. Ale chodzi o to, że musi uzyskać poparcie Królewskiej Rady ds. Dynastii, a tam mamy opozycję w osobie arcybiskupa krakowskiego Stanisława.

– Stanisława? – zdziwił się Li. – Jeszcze dzisiaj polecisz do Krakowa.

– Dzisiaj? Chciałem popracować w ciepłe *Wieczoru w Hongkongu...* – skrzywił się Tung.

– Mówiłem, że mam inne plany.

– Ale nie mówiłeś, że wobec mnie. – Tung przez chwilę był rozżalony.

– Zawieziesz coś arcybiskupowi. – Pan Li wstał i po chwili przyniósł sporą srebrną skrzynkę. Postawił ją na stole. – Powiesz, że znalazłem to przed przybyciem do Królestwa Polskiego, prowadząc poszukiwania rozrzuconych po świecie szczątków królewskich. I przekazuję w darze archidiecezji krakowskiej. Powinno wystarczyć.

– Co to takiego? – przyjrzał się skrzynce Tung. – Na cygarnicę za duże. Mogę rzucić okiem?

Li skinął głową z uśmiechem.

– Czaszka? – Asystent zamknął wieko równie szybko, jak otworzył.

– Owszem. Króla Bolesława Śmiałego. Bolizlaus Largus. Arcybiskup może z nią zrobić, co zechce. – Pan Li uśmiechnął się elegancko i od niechcienia przeciągnął dwoma palcami po szyi. – Przy okazji spotkasz się z kim trzeba i rozpytasz o domnianego smoka. Interesuje mnie wszystko. Łuski, pazury...

– Z tego, co mi wiadomo, jeszcze go nawet nie zidentyfikowano, nie mówiąc o pochwyceniu.

– Chcę być pierwszy, rozumiesz, Tung? – Oczy pana Li załśniły, tak jak za każdym razem, gdy w grę wchodził unikatowy artefakt. – Ale tylko jeżeli okaże się, że to rzeczywiście smok wawelski. Żaden inny mnie nie interesuje. W przypadku zakupu łusek lub pazurów dysponuj środkami zgromadzonymi na koncie A. Gdyby zaś w grę mogło wchodzić smocze jajo, możesz sięgnąć do mego osobistego skarbcza, bo żadna cena nie będzie zbyt wygórowana.

– Rozumiem. – Tung dopił starę i odstawił kieliszek. – Dam znać z Krakowa.

Gdy asystent wyszedł, Li przełączył *Lipcowe popołudnie nad Wisłą* na *Bezksiężycową noc sierpniową*. Zniknęło brzęczenie owadów i śpiew ptaków. W apartamencie przy Krzywym Kole zapadł mrok i zapanowała zupełna cisza. Pan Li bezszelestnie podszedł do okna. Z wysokości sto pierwszego piętra spojrział na deszczową Warszawę, na ledwie połyskującą pod strugami deszczu Wisłę.

– Już Kocham to miasto – wyszeptał, a jego oddech utworzył na szybie mgiełkę.

Zaciągnął rolety. W ciemności wyjął z oczu soczewki.

– Podaj do mnie! Gruby, podaj do mnie! – darł się Andrzej.

– Przyleję ci, a nie podam, półgłówku! – Tomek zręcznie wyminał Andrzeja, zrobił dwa ciężkie susy i oddał rzut za trzy punkty.

– Jest!!! – krzyk kilkunastu gardeł rozsadził salę gimnastyczną Szkoły Paziów i w tej samej chwili gwizdek trenera zakończył mecz.

– Biegiem do szatni! – Trener Boruta zawsze darł się na nich jak sierżant na rekrutów. – Za piętnaście minut w mundurach galowych drugiego stopnia przyjmujemy gościa wizytującego szkołę! Obecność obowiązkowa!

– Panie trenerze... – Tomek z trudem łąpał oddech. – Melduję, że nie ma Aleksandra.

– Co? – Boruta wściekle walczył z zamkiem bluzy od dresu.

– Alka nie ma.

– Jak to nie ma? – Trener uniósł brwi.

– Od przedwczoraj. Wieczorem wyszedł z internatu i nie wrócił. – Tomek niepewnie zerknął w stronę biegnących do szatni chłopaków.

Andrzej, mijając go, syknął:

– Gruby kapuś...

– Spójrz mi w oczy – powiedział nauczyciel.

Nałęcz struchlał i spojrział. Boruta był naprawdę zły.

– Cholera by to wzięła! – warknął.

Od nowego roku to on odpowiadał w Szkole Paziów za musztrę. Brak każdego z chłopców w szeregu widoczny był aż za bardzo, odkąd we wrześniu na zajęciach nie pojawiło się piętnastu uczniów. Sprawą zajęły się media, gdy wyszło na jaw, że chłopcy zaginęli podczas powrotu z obozu żeglarskiego. Wybuchł skandal. Z funkcji rektora szkoły zrezygnować musiał ksiązę Wiśniowiecki, ale to ani o włos nie przybliżyło rozwikłania zagadki zniknięcia paziów. Media spekulowały, że uciekli z powodu nadmiernej dyscypliny obowiązującej w szkole, wśród winnych przewijało się i nazwisko trenera Boruty. Na szczęście ujawniono zapis z monitoringu lekcji i gdy okazało się, że prócz wulgaryzmów żadnej przemocy tam nie było, sprawa nieco przycichła. Chwilowo uwagę opinii publicznej zajęły spekulacje, co królowa odpowie na zagraniczne oferty małżeńskie. Korzystając z medialnej ciszy wokół Szkoły Paziów, nowy rektor prowadził własne śledztwo, policja swoje i dymisjonowany ksiązę Wiśniowiecki kolejne, oczywiście tajne. Cóż z tego, ślad po chłopakach zaginał, a teraz jeszcze to! Alek Tarnowski, szlag by to trafił! Jeden z najlepszych uczniów, miejsce w oficjalnie towarzyszącym królowej korpusie kadetów miał już w zasadzie w garści.

Cholera, miedlił w duchu wiadomość trener. Dzisiaj ta uroczystość. Alek jest naszym chorążym. Kim go zastąpię? Podniósł wzrok.

Chłopcy zniknęli w szatni. Przed nim stał tylko gruby, spocony Tomek Nałęcz.

– Zawołaj mi tu Andrzeja Górkę – powiedział Boruta głosem, z którego uleciała wszelka energia. Przestał się szarpać z zamkiem od dresu. Skrzydła jagiellońskiego orła na połach rozpiętej bluzy wyglądały jak przetrącony ptak rozcięty na pół.

W szatni wrzało. Z głośników leciał ochryply rap:

Ładne oczy

masz

komu je

dasz

Gdy Tomek Nałęcz przekroczył próg, prócz rapu usłyszał wrzask. Odruchowo skulił ramiona, myśląc, że rzuca się na niego. Nie. Chłopaki darli się na Górkę.

– To twoja wina!

– Przez ciebie uciekł Alek!

– A może nie żyje, co? Co zrobisz, jeśli popełnił samobójstwo? Co?

– Odwalcie się! – warczał przyparty do szafki Górka.

– Może zniknięcie piętnastu paziów to też moja sprawa, co? – Roześmiał się dziko i strzyknął śliną pod nogi nacierających na niego chłopaków.

– Zapewne nie – odezwał się spokojnie spod ściany starosta roku, Piotr Zborowski.

W szatni nagle umilkło. Wszyscy spojrzeli na braci Zborowskich, bo przy Piotrze stał jak zawsze Paweł. Nienaganni. Od pełnoletności i szlifów oficerskich dzielił ich już tylko miesiąc.

– Ale przespanie się z jego dziewczyną i wrzucenie jej rozebranych zdjęć do sieci to już twoja rzecz. – Paweł dokończył, co zaczął brat.

Zrobiło się gęsto, Górka chciał coś odszczeknąć, ale odezwał się gruby Nałęcz:

– Trener wzywa cię do siebie. Chce, byś zastąpił dzisiaj Alka.

Chłopaki zawarczały jak sfora psów. Bracia Zborowscy uciszyli ich jednym ruchem ręki.

– Nie my osądzimy, ale Bóg – powiedział Piotr.

– Jeśli masz coś wspólnego ze zniknięciem Alka, ręka ze sztandarem szkoły ci zadrży – dokończył Paweł.

Nie zadrżała, gdy szpaler paziów Jej Królewskiej Mości Anny Jagiellonki XIII wchodził marszowym krokiem do auli. Nie drgnęła, gdy orkiestra szkolna grała hymn Królestwa Polskiego. Jednak omal nie upuścił go, gdy zaczęła grać hymn Cesarstwa Chin na cześć gościa, pana Li, bo dźwięki, jakie wydawały z siebie puzony, były nieznośnie śmieszne. Ale Andrzej zobaczył z daleka jasne, uważne spojrzenie braci Zborowskich i utrzymał proporzec bez drgnienia. A potem rektor, Erazm Bogoria, kazał sztandar wyprowadzić i tyle było tego.

Górka szedł równo, wysoko unosząc kolana, naprężając łydki, stawiając kroki tak, by na marmurowej posadzce rozległo się charakterystyczne *puk* stalowej podkówki mundurowego buta. Prostował plecy dające oparcie sztandarowi, palce w białej rękawiczce zaciskał na drzewcu, cóż w tym trudnego? Oddał sztandar szatnemu, odwrócił się na pięcie i zwykłym krokiem wmaszerował do sali.

Złapał wzrok Zborowskich. Ich twarze nie wyrażały nic. Ani zdziwienia, ani potępienia. Rozmowa z gościem trwała w najlepsze.

– ... tak, urzeka mnie wasza kultura. Polskiego uczyłem się od dawna, bo wbrew obiegowym opiniom ma wiele wspólnego z chińskim. Podobny stopień trudności.

– Nosi się pan jak polski szlachcic. To ujmujące. – Rektor Bogoria pokiwał głową. – Czy podczas pobytu w Szkocji zakładał pan kilt?

– Nie – roześmiał się swobodnie gość. – Szkocja mnie aż tak nie uwiódła.

– Królową mają brzydszą! – szepnęła z drugiego rzędu któryś z pierwszorocznych.

Li musiał to usłyszeć, bo powiedział:

– Nie wypada krytykować koronowanych głów, ale zgodzę się z panem w całej rozciągłości. Królowa Anna Jagiellonka XIII jest kobietą wyjątkową.

– Dobrze, że nie odziedziczyła urody po Annie Jagiellonce I – zarechotali paziowie.

– Nie rozumiem. – Pan Li przekrzywił głowę.

– Se pan sprawdzi na Wiki – swobodnie przekrzyzczał śmiech paziów kolejny pierwszak i w tej samej chwili zamarł pod spojrzeniem rektora.

– Czy to prawda – rektor Bogoria szybko chciał zmienić temat – że za własne fundusze planuje pan rekonstrukcję legendarnego „złotego okrętu Lestka Piasta”?

– Tak, moi specjaliści zaczęli już prace przygotowawcze. Wydało mi się niezwykłym, że w skandynawskich sagach wspomina się o takim statku. Wikingowie byli mistrzami wczesnośredniowiecznego szkutnictwa, jeżeli więc napisano z podziwem o „złotym okręcie”, chciałbym, by Polacy mogli go zobaczyć.

– Czy będzie podobny do chińskich dżonek? – spytał Paweł Zborowski ponad głowami paziów.

Gość przyjrzał mu się uważnie.

– Spójrz mi w oczy, chłopcze – powiedział miękko.

Paweł i Piotr Zborowscy wyszli przed szereg i popatrzyli na pana Li.

– Czy wyglądam na jasnowidza? – spytał Li niemal wesoło.

– Nie – odpowiedzieli jednym głosem bracia.

– No właśnie! Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądał złoty statek waszego Lestka Piasta. Ale mam wielką ochotę się dowiedzieć, dlatego zleciłem badania. I z radością zaproszę was do mego laboratorium, panowie!

– Ach! I o to miałem zapytać! – wdarł się w rozmowę rektor. – Czy to prawda, co donoszą media: że finansuje pan renowację najstarszych polskich zabytków?

– Ciii... – Pan Li przyłożył palec do ust i mrugnął do Zborowskich. – Niech nie wie lewica, co czyni prawica.

– A więc prawda! – zakrzyknał poczerwieniały z emocji rektor. – Muszę naprowadzić pana na trop początków mego herbu i rodu! Proszę sobie wyobrazić, że...

Erazm Bogoria chwycił pana Li pod ramię i ruszył z nim w stronę szkolnej kaplicy.

– Kurde – szepnął z podziwem gruby Nałęcz. – Chińczyk nosi kontusz, jakby się w nim urodził, lepiej niż marszałek królowej... – Tomek zamilkł, bo odchodzący pod ramię z rektorem pan Li odwrócił się i spojrzał.

Nie na niego. Na Andrzeja Górkę i braci Zborowskich. No jasne, kto by patrzył na grubasa.

– On nie jest jasnowidzem – powiedział cicho Paweł.

– Ale ma coś z wzrokiem. Wydaje mi się, że to astygmatyzm – dokończył Piotr.

Górka puścił uwagi szkolnych świętych mimo uszu i puścił do pana Li oko.

Alek Tarnowski mógł poruszać głową, niczym więcej. Reszty swego ciała nie czuł. Ciemność, która go okalała, próbował rozłożyć na czynniki pierwsze. Co z tego, skoro przed oczy ciągle przychodziły mu rozebrane zdjęcia Antoniny? Jej przymknięte oczy, rozmazany makijaż, jakby dłońmi tarła powieki. Zmierzwione włosy. Zgnieciona suknia Akademii Królewskich Panien Dworu. Cholera!

Górka. Pieprzony Andrzej Górka. To on rozesłał zdjęcia Tośki. Alka paliło po równo pożądanie, wściekłość i wstyd. Ogłosili narzeczeństwo z Antoniną Walewską, ale on sam nie widział jej takiej nigdy.

Znał ją wściekłą, gdy spóźniał się na spotkania, znał złą, kiedy nieporadnie odpowiadał na SMS-y. I rozczarowaną, kiedy zamiast munduru galowego włożył na randkę dres reprezentacji. Znał jej zapach po treningu szermierki, po lekcji tańca, uścisk dłoni, pocałunek w policzek. Wszystkie odcienie jej źrenic, gdy pędzili rowerami wzdłuż Wisły. Ale tego, co zobaczył na zdjęciu, nigdy nie doświadczył.

Na indukcyjnym zegarze zmieniła się godzina. Środa, 9 listopada, 23:00.

Powtórzył datę w myślach, bo wiedział, że po wyznaczeniu pełnej godziny światło zegara zniknie. Za chwilę być może usłyszy głos. Podjął decyzję, że tym razem nie zamknie oczu, jak dwukrotnie przedtem. Że spojrzy w mrok głosu, który mówi do niego jedno i to samo zdanie. Nie stchórzy. W końcu jest chorążym Szkoły Paziów Jej Królewskiej Mości!

Jest?

A może już był?

Chodził rozdrażniony od okna do okna. Pytań o początek nie zadawał; na to nie miał wpływu. Natura zna dziwniejsze przypadki. Pytał o siebie, interesował się sobą w sposób obsesyjny. Nie: „Czy jestem najdoskonalszą istotą na świecie?“, raczej: „Czy moje piękno nawet przy pewnej niedoskonałości jest w stanie zapanować nad ludzkimi duszami?“. Lub: „Czy moja niedoskonałość jest częścią piękna?“. I wreszcie: „Czy jako ojciec będę idealnym wcieleniem człowieczeństwa? Wcieleniem, które przekroczy granice przestarzałych dylematów. Czy ktoś wreszcie jako pierwszy zakrzyknie: nie będę miał innych bogów przed tobą?!“. I samoistnie ugną się kolana narodów, i jeden po drugim klękną, odkrywając w zachwycie jego imię.

Przystanął w pół kroku, bo poczuł woń swego potu i przyspieszone szybkim krokiem tętno. Pot jest wstrętny. Prymitywna wydzielina gruczołów łojowych. Pamiątka po zwierzęcej przeszłości człowieka. Po tym wszystkim, o czym akurat on szczególnie chciał zapomnieć.

Gwałtownie uniósł głowę, bo znów nawiedziła go ta myśl, ostra niczym szpada, pociągająca jak to, czego nikt się nie spodziewa.

– Gdybym sam siebie zabił z miłości do siebie? – wyszeptał cicho. – Pan życia i śmierci panujący nad sobą w sposób doskonale piękny? Któż inny potrafiłby końcowi nadać sens absolutny, jeśli nie ja sam, ja, który znam początek i koniec? Wymyśliłbym tę śmierć od pierwszej do ostatniej chwili, idealną.

Nieoczekiwanie roześmiał się na dźwięk swych słów. Odpowiedział sam sobie, tonem całkowicie trzeźwym:

– Narzędzie zawsze nosisz pod ręką. Nie spiesz się. Piękniejsze od doznania śmierci jest dawanie śmierci piękna.

Zacisnął palce na twardym kształcie w kieszeni spodni. Wypuścił powietrze. Otaczał go mrok. Ciemność absolutna.

Służący Yao pomagał krawcowi w przymiarce nowego kontusza pana Li. Gniewnie patrzył na pięćdziesiąt dwa guziczki ze złota. Ale przyznać musiał, iż jego pan, w reprezentacyjnym stroju polskim, wygląda doskonale.

– Figura stworzona do kontusza. – Krawiec pokręcił głową i przyklęknął przed panem Li. – To rozcięcie z tyłu ułatwiało kiedyś wsiadanie na konia, materiał pięknie rozkładał się po obu bokach – szepnął, ustalając szpilkami długość szaty. – A dzisiaj sprawdza się przy wsiadaniu do sportowych aut i na motocykle. Ot, dojrzała siła tradycji!

– Yao, czas wiadomości – przypomniał grzecznie pan Li, przeglądając się w lustrze.

Głos spikerki: Episkopat Polski ogłosił, iż planowane od dawna nawiedzenie Królestwa Polskiego przez Archanioła Michała nastąpi jeszcze w tym roku. „Nagle dał się słyszeć szum z nieba” – to zaczerpnięty z Dziejów Apostolskich roboczy tytuł wizyty. Czyżby przyspieszone odwiedziny słynnego smokobójcy, wodza niebieskich zastępów, miały coś wspólnego z wydarzeniami w Krakowie? Reporterzy Królewskiej Agencji Informacyjnej będą państwa informować o szczegółach. Nasze kamery nie opuszczą ani jednego kroku niezwykłego gościa.

– A co z delią dla jasnie pana? Amarant, karmazyn czy granat? – Krawiec pomagał Yao zdjąć sfastrygowany dołem kontusz z ramion pana Li. – Wiedząc o pana planach – ukłonił się nieśmiało – o pana wielkich... wielkich... planach... – głos krawca nagle zaczął się łamać, mężczyzna nerwowo przełknął ślinę i spojrzał na pana Li niemal z czcią – ... pozwoliłem sobie już, na pana rozmiar, doskonały rozmiar, przygotować podszycie z popielic.

Głos spikera: Z ostatniej chwili! Dzisiejszej nocy Sejm Wielki uchwalił ustawę, zwaną dawniej „prawem bestii”. Od dzisiaj w Królestwie Polskim najgroźniejsi przestępcy będą karani dokładnie w ten sam sposób, w jaki dokonywali zbrodni. Królowa Anna Jagiellonka XIII, komentując podjęcie uchwały, powiedziała...

Słyszając imię królowej, Pan Li odwrócił się szybko i spojrział w ekran.

Obraz: Królowa ubrana w suknię do konnej jazdy, przed budynkiem Sejmu Wielkiego, lekko zbiega po czerwonym dywanie. Bracia Zborowscy w mundurach paziów pomagają jej wsiąść do czarnej limuzyny. Automatycznie odsuwa się szyba samochodowego okna. Królowa mówi poważnie w stronę reporterów „Oko za oko”. Szyba zasuwuje się. Tłum zgromadzony wokół limuzyny skanduje. Rzucą kwiaty pod koła królewskiego samochodu.

– Granat – odpowiada pan Li, patrząc znów uważnie na swe odbicie w lustrze. – I z tradycyjnym rozcięciem na szablę.

Odwraca się do krawca.

– Czy zdąży pan uszyć mi czapkę aksamitną z czaplím piórem?

Krawiec przestępuje z nogi na nogę.

– Zdążę, proszę jaśnie pana – odpowiada z namysłem.

– Na pewno? Spójrz mi w oczy...

W szatni paziów panował zgiełk. Ekran ponad rzędami szafek pulsował zielonym, ostrym światłem teledysku. Tomek Nałęcz, w samych spodenkach, wymachując ręcznikiem, wyginał się na wszystkie strony zaskakująco zręcznie jak na jego tuszę. Chłopaki śpiewały, on ryczał najgłośniej:

– Ładne oczy! Masz! Ko-mu je dasz!

Bracia Zborowscy, gibcy jak węże, tańczyli, ruszając biodrami, jakby byli swym lustrzanym odbiciem. Tańczyli i śpiewali wszyscy, prócz Andrzeja Górki, wciśniętego w kąat szatni. Górka grał w strzelankę.

– Zróbcie orła! – wydarł się nagle Nałęcz, wyrzucając pod sufit ręcznik. I po chwili już cała szatnia skandowała:

– Zróbcie or-ła! Zróbcie or-ła!

Bracia Zborowscy nie dali się dłużej prosić. Stanęli jeden za drugim na szeroko rozstawionych nogach i rozłożyli ramiona. Bliźnięta idealne. Jeden w drugiego równi, jakby wyskoczyli z drukarki 3D, nie różniło ich ani pół centymetra. Wydawali się jednym Zborowskim, nie dwoma.

Odwrócili głowy w prawo, unosząc je jednocześnie w górę tak, że ich nosy zdawały się zakrzywionymi ptasimi dziobami. I zaczęli poruszać ramionami, Paweł pierwszy, Piotr o jedną sekwencję później. Mogliby być hinduskimi tancerzami bogini Kali, ale byli braćmi Zborowskimi, wcieleniem poruszającego skrzydłami jagiellońskiego orła.

Gwizdek trenera zakończył zabawę w jednej chwili. Boruta, pan i władca sali gimnastycznej, jednym pstryknięciem zmienił kanał, muzyka zamilkła, usłyszeli sygnał Królewskiej Agencji Informacyjnej.

– No, panowie! Za chwilę dowiemy się, kto będzie mężem królowej. Górka, posuń się. – Trener usiadł obok Andrzeja. – To wasza wielka chwila, co? Paziowie na coś takiego czekają latami! Śluby i pogrzeby, to najlepsze ceremonie królewskie! Galowe mundury od rana do nocy, ha!

– Psze pana, ale mąż królowej nie musi być królem, co?

– Nie musi. – Boruta wyjął z kieszeni pomięty batonik proteinowy, przegryzł i dokończył z pełnymi ustami – może dostać tytuł, bo ja wiem? Na przykład księcia

warszawskiego. Jak obstawiacie? Ja myślę, że Jagiellonka weźmie Habsburga. Kto ma izotonik?

Andrzej Górka wyjął spod ławki butelkę niebieskiego płynu i podał trenerowi.

– Nie chciałbym Habsburga na polskim tronie – spokojnie powiedział Paweł.

– Uważaj, Zborowski – zarechotał trener – bo ktoś kiedyś o tobie powie, że jesteś polskim faszystą, a wiesz, co za to grozi! No dobra, zamknąć pyski, zaczyna się. Gruby, wyskakuj z batonika, moje się skończyły.

Obraz: Biało-czerwona Sala Rady Zamku Królewskiego w Warszawie. Na ścianach arras. Trzej mężczyźni w czarnych togach.

Głos spikera: Rozpoczyna się konferencja prasowa królewskiej Rady ds. Dynastii, poprowadzi ją marszałek dworu, książę Branicki.

Branicki: Rada, po przeanalizowaniu ofert małżeńskich złożonych nam przez najlepsze europejskie i azjatyckie dwory oraz po zapoznaniu się z rekomendacją królowej, postanowiła przychylić się do propozycji Anny Jagiellonki. Tym samym odrzucamy ofertę Burbonów...

– Jest! – wrzasnął trener, jakby reprezentacja strzeliła gola. – Weźmie Habsburga! Wygram całą stawkę! O rany, to mnie bardziej kręci niż gra w „Oczko”!

– Jeszcze może postawić na Chińczyka – spokojnie wszedł mu w zdanie Paweł.

– I kto to mówi? – Trener splunął, nie zważając na miejsce, w którym się znajdują. – Mój ulubiony prawak? Uważaj, Zborowski, bo albo ja zgarnę pulę za Habsburga, albo ty, paziu królowej, będziesz się uczył kłaniać przed skośnookim.

Branicki: Zważywszy na wyśmienite relacje, jakie łączą Królestwo Polskie z Cesarstwem Chin...

– Kłaniam się tylko przed Bogiem i królową, trenerze – odpowiedział Paweł, ale potem zacisnął szczęki z całych sił i wpatrywał się już w ekran.

Branicki: ... uznaliśmy, iż nie istnieje potrzeba wzmacniania ich węzłem dynastycznym.

– Bogu dzięki! – krzyknęli Piotr i Paweł jednocześnie.

Trener zarechotał i oblizał się obleśnie.

– No to Habsburg! Chłopaki, zaproszę was dziś na pizzę! Mam za co stawiać! Pula moja! Zborowskich nie zabieramy, bo pójdą pewnie z pielgrzymką do Częstochowy, błagać, żeby się Habsburg wycofał przed ślubem!

– Cicho! – wrzasnął gruby Nałęcz. – Cicho! Co on mówi?

– Ja? – Boruta poklepał się po brzuchu.

– Niech pan posłucha, trenerze, co mówi marszałek Branicki – wyszeptał drżącym głosem Tomek.

Branicki: Propozycja Habsburgów była godna i z geopolitycznego punktu widzenia wydawała się najstuszniejsza, zresztą Jagiellonów z Habsburgami łączą wiekowe więzy. Jednak to właśnie skłoniło królową i Radę ds. Dynastii do powtórnego rozważenia tej kwestii. Genetyka pozostaje tutaj bezwzględna. Tak bliskie powiązania obu rodów panujących, co miało już miejsce w przeszłości, dają zbyt duże zagrożenie wadą genetyczną, która może wystąpić u spodziewanego potomstwa. Nadto wzmacnianie Habsburgów nieuniknionym wpływem na naszym dworze uznaliśmy za niepotrzebne w obecnej sytuacji politycznej.

– No i wygrana poszła się grzać! – Nauczyciel syknął przez zęby.

Branicki: Anna Jagiellonka XIII nie chce się wiązać węzłem małżeńskim i życzenie królowej musi być przez obywateli Królestwa uszanowane...

– Znalazła się dziewica! Cholera, takie ciało na zmarnowanie! – zajęczał Boruta.

– Trenerze! – głos braci Zborowskich zabrzmiał niemal jak pogróżka. – Mówi pan o królowej!

Branicki: ... aby zapewnić ciągłość dynastii i dać Królestwu następcę tronu, a jednocześnie poprzez mariaże dynastyczne nie narażać suwerenności Królestwa, Anna Jagiellonka zdecydowała się na innowacyjną metodę in vitro, zwaną „Przywróceniem”. Opracowana i opatentowana przez chińskiego uczonego, pana Li, metoda pozwala na pobranie materiału genetycznego z kości osób nieżyjących i następnie, w toku prac laboratoryjnych, na bazie wyabstrahowanego z nich DNA, wyhodowanie żywego plemnika. Metoda ta, jakkolwiek innowacyjna, w chwili obecnej uważana jest za całkowicie bezpieczną. Warto przypomnieć, że w ten sposób królowa Wielkiej Brytanii, Anna Hanowerska, restytuowała trzy lata temu dynastię Tudorów. Do skorzystania z „Przywrócenia” przyznała się także królowa Francji, Antonina XXII, jednak w jej przypadku tajemnicą pozostało, od kogo pochodził materiał genetyczny. Dwór francuski jedynie nieoficjalnie sugerował, że pobrano go od Napoleona Bonapartego. W przypadku królowej Anny Jagiellonki zastosowanie „Przywrócenia” będzie miało szczególną doniosłość, decyzją królowej bowiem, z radością popartą przez Radę, którą reprezentuje, DNA ojca zostanie pobrane z kości jednego z naszych pierwszych królów. Tym samym dwie nasze dynastie królewskie połączą się w osobie następcy tronu, którego urodzi królowa. Piastowie i Jagiellonowie dokonają tego, co nie było im dane w XIV wieku! A Królestwem Polskim włączyć zaczną król noszący w sobie wszystkie najlepsze cechy przodków. Przepraszam, poniosło mnie, ale sami państwo rozumieją doniosłość tej dziejowej chwili. Poprawię się: król lub królowa, bo płeć dziecka nie zostanie zdefiniowana na etapie zapłodnienia. To pozostawiamy naturze.

Chłopcy popatrzyli po sobie niepewnie. Boruta podniósł się z ławki z wyrazem zaskoczenia na twarzy

i skierował w milczeniu do wyjścia. Królewska Agencja Informacyjna nadawała dalej.

Obraz: Zgiełk pytań dziennikarzy, błyski fleszy. Najazd kamery na budynek Zamku Królewskiego. Tłumy zgromadzone na dziedzińcu wiwatują. Panorama Warszawy.

Dziennikarka z mikrofonem Królewskiej Agencji Informacyjnej: Jak udało nam się dowiedzieć od marszałka Branickiego, konferencja prasowa z udziałem pana Li i królowej odbędzie się jeszcze w tym tygodniu. Na dzisiaj w sali balowej Zamku Królewskiego zaplanowano przyjęcie, którego gościem będzie chiński uczony. Pan Li, który przebywa w Królestwie Polskim od pięciu miesięcy, dał się już poznać jako wybitny znawca i pasjonat historii Polski, a także hojny mecenas. Przede wszystkim jednak zaskarbił sobie sympatię mediów i obywateli Królestwa niezwykłą, wręcz ujmującą skromnością i unikaniem sensacji związanych z własną osobą. Sylwetkę pana Li przedstawimy w specjalnym wydaniu Wiadomości.

Obraz: Zdjęcia pana Li. Li w szarym jedwabnym żupanie i wysokich butach do konnej jazdy na wykopaliskach archeologicznych w Gnieźnie. Li w białym kombinezonie i maseczce na twarzy w laboratorium, przed nim rozłożone ludzkie poczerwiałe kości; w głębi laboratorium widać starannie ustawione srebrne XV-wieczne kielichy mszalne, krucyfiksy. Li w eleganckim kontuszu na spacerze w Łazienkach kupuje watę cukrową i rozdaje ją dzieciom. Li w stroju krakowskim uczy się tańczyć z grupą koła gospodyń wiejskich. Li w auli Szkoły Paziów z rektorem Erazmem Bogorią pod ramię, odwraca się i patrzy prosto w oczy braci Zborowskich.

W szatni został już tylko Andrzej Górka, nieodrywający wzroku od komórki. Obok rzucone na podłogę podeptane ręczniki. Zgnieciona butelka po izotoniku, papierki po batonach. Na szafce Zborowskich nienagannie powieszono bluzy od dresu reprezentacji. Zapięte pod szyję. Jedna

obok drugiej, dwa orły jagiellońskie dumnie rozpinają skrzydła.

Andrzej odłożył telefon, uniósł głowę, spojrzał na ekran na ścianie. Podszedł, zatrzymał kadr. Cofnął. Na stop-klatkach przyjrzał się panu Li idącemu pod ramię z rektorem, odwracającym głowę, patrzącemu na Zborowskich. Zatrzymał obraz. Powiększył. Widać tylko skośne oczy pana Li. Powiększył jeszcze bardziej. W źrenicy pana Li odbita czyjaś sylwetka.

– O cholera! – Skronie przeszywa mu ból. – To ja? – Mruga, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczył.

Ekran na ścianie zniknął. W szatni zapadła cisza, raziło tylko jasne światło lamp.

Andrzej otrząsnął się, chwycił bluzę, torbę. Wybiegając z szatni, zatrzymał się na sekundę, odwrócił. Spojrzał na ścianę, na której przed chwilą oglądał transmisję. I uśmiechnął się, puszczając oko do pustej ściany.

Przed Zamkiem Królewskim tłumy ludzi. Atmosfera rodzinnego, radosnego pikniku. Na scenie koncert. Mieszkańcy Warszawy tańczą, świętują. Raz po raz wznoszą toasty, zwracając się w stronę rozjarzonych światłami okien zamku. Kamery stacji telewizyjnych, reporterzy.

We wnętrzu sali balowej rozbrzmiewała cicha muzyka nieco tłumiona przez szmer rozmów. Około pięćdziesięciu gości zasiadło przy elegancko zastawionych stołach. Mężczyźni w kontuszach, kobiety w lśniących klejnotach. Przy stole głównym Anna Jagiellonka XIII. Trzydziestoletnia seksowna kobieta w purpurowej sukni. Choć na co dzień królowa chętnie nosiła renesansowe stroje włoskie, z bufiastymi rękawami i mocno odsłoniętym dekoltem, na uroczystości oficjalne zawsze zakładała

barokową suknię polską. Mocno dopasowaną, pod samą szyję. Spod zdobionej złotym ornamentem purpurowej materii sukni wystawała śnieżnobiała koronka koszuli. Purpura i biel.

Na piersi królowej migotał rodowy klejnot, należący do Anny Jagiellonki I naszyjnik z wysadzonym drogimi kamieniami monogramem „A” i podwieszoną pod nim dużą perłą. W krótkich włosach monarchini diadem. Po jej lewej ręce usiadł marszałek dworu Branicki. Po prawej pan Li. Za krzesłem królowej bracia Zborowscy, usługujący pani podczas uczy. W głębi pod lustrzaną ścianą dziewczęta, sześć dwórek z Królewskiej Akademii Panien Dworu. Między nimi biała Antonina Walewska.

– Pełny sukces, królowo! Obywatele Królestwa są zachwyceni twoim pomysłem! Wiwatują na cześć połączenia królewskich dynastii. – Marszałek Branicki wypił o kieliszek wina za dużo, jego oczy błyszczały i na policzki wystąpiły mu ciemne rumieńce. Pochylił się ku królowej zdecydowanie za bardzo.

– Jesteśmy panu niezwykle wdzięczni. – Anna z gracją zwróciła się do pana Li, odsuwając od marszałka. – Proszę nam opowiedzieć coś o sobie.

– Li to w cesarstwie najpopularniejsze nazwisko. Jak w Polsce Kowalski – nieśmiało uśmiechnął się pan Li. – We mnie nie ma nic nadzwyczajnego. Ot, skromny genetyk, badacz ludzkich kości. Pasjonat przeszłości.

Królowa skinęła głową jednemu ze Zborowskich, by dolał jej wina. Zręcznie zawirowała purpurowym trunikiem, okręcając kieliszek.

– W pana skromności tkwi jakiś haczyk. – Zaśmiała się, patrząc w oczy gościa. – Muszę pana rozgryźć, panie Li, w końcu zostanie pan, w sensie symbolicznym, ojcem chrzestnym odnowionej dynastii.

– Nie jestem katolikiem, ale symbolizm mnie pociąga. – Pan Li także się uśmiechnął, ale bardzo dyskretnie.

– Mówiono mi – podjęła królowa – że założycielem rodu Li był mityczny cesarz Zhuanxu.

– Tak, jest taka legenda – skinął głową Li.

– Ponoć Zhuanxu był ojcem wielu potworów, poza dynastycznym potomstwem, rzecz jasna. – Królowa spojrzała zalotnie i upiła łyk wina. Klejnot z monogramem „A” zamigotał na jej piersi światłem rubinów.

– Legendy lubują się w potwornościach, a ta o Zhuanxu ma ponad pięć tysięcy lat.

– Słyszałam także, że ów cesarz miał rzadką wadę genetyczną, którą przekazał swemu potomstwu. Piąty palec u stopy zagięty do jej wnętrza. – Królowa przekrzywiła głowę i wesoło przyjrzała się panu Li. Zagięta przy tym mały palec dłoni, ten, na którym nosiła swój ulubiony, skromny klejnot. Prosty pierścień Zygmunta Starego z diamentem.

– Któż z nas jest bez wad? – Chińczyk roześmiał się i pokornie rozłożył dłonie. – Nazwisko Li nosi miliard ludzi, gdyby legenda była prawdziwa, mielibyśmy spory odsetek niepełnosprawnych.

Anna Jagiellonka gwałtownie odstawiła kieliszek. Kryształ zadzwęczał, zderzając się z brzegiem talerza. Królowa nagle spoważniała, zdawała się tego nie słyszeć. Zapatrzyła się przed siebie.

– Zakrzywiony palec – powtórzyła w zamyśleniu, patrząc w światło złotych kandelabrow. Roześmiała się nieoczekiwanie. – Jak u smoka, prawda?

– Albo jakiegoś bazyliuszka! – wdarł się w rozmowę już nieźle podпиты marszałek. – Królowo, dziennikarze czekają. Błagają, byś wyszła do nich na chwilę. Wystarczą dwa,

trzy zdania. Jakże wszystkich porusza połączenie królewskich dynastii...!

– Pan wybaczy. – Anna skłoniła się czarująco do pana Li. – Obowiązki.

Piotr Zborowski odsunął krzesło królowej.

Wszyscy przy stole wstali, gdy ona wstała, i usiedli, gdy tylko opuściła salę.

Na zewnątrz makijażystka zręcznie przypudrowała policzki królowej, rozjarzyły się światła kamer.

– Najjaśniejsza pani, całą Polskę ekscytuje dzisiaj myśl, od którego z Piastów pobrany zostanie materiał genetyczny, krótko mówiąc, który z dawnych królów zostanie ojcem przyszłego następcy tronu... – Dziennikarce zadrżał głos, gdy wymawiała słowo „ojciec”. W jej oczach zalśniły łzy wzruszenia.

– Ujawnimy to po udanym zabiegu – spokojnie odpowiedziała królowa. – A jeżeli pytają mnie państwo o osobiste preferencje, to mogę jedynie powiedzieć, że większe emocje budzi we mnie Kazimierz Wielki niż jego ojciec, Łokietek.

Przez tłum przebiegł śmiech. Marszałek Branicki dał znać, że królowa nie ma więcej czasu. Kamery jednak nie zgasły, chcąc śledzić odejście monarchini. Anna Jagiellonka pożegnała dziennikarzy i w asyście braci Zborowskich ruszyła znów do sali.

– Królowo! – zawołał za nią operator kamery. – A imię następcy tronu?

Nie zatrzymując się, Anna odwróciła głowę i rzuciła z uśmiechem:

– Dynastycznym imieniem Piastów był Bolesław!

– A jeśli będzie dziewczynka? – niemal histerycznie zapiszczała dziennikarka.

– Może Świętosława? Na pamiątkę królowej czterech tronów! – odpowiedziała Anna i zniknęła za drzwiami sali balowej.

Dziennikarka odwróciła się do kamery i skomentowała z wypiekami na twarzy:

– Sami państwo słyszeli! Dzięki niezwyklej decyzji królowej Anny Jagiellonki XIII Królestwo Polskie czeka nieprawdopodobny rozkwit. Świętosława Mieszkówna, siostra Bolesława Chrobrego, legendarna pani czterech królestw, lub Bolesław po pierwszym królu! Te imiona, planowane dla królewskiego dziecka, wyznaczać będą perspektywy naszej dynastii!

Andrzej Górka nie był najlepszym programistą w Szkole Paziów. Alek Tarnowski był od niego lepszy. Tyle że Tarnowski zmarnował ostatnie miesiące na randki z Walewską, a Górka w tym czasie napisał trzy naprawdę niezłe aplikacje na smartfona. Teraz miał szanse przetestować w boju dwie z nich. Rozkodował już alarm strzegący apartamentu przy Krzywym Kole. Miał dziesięć sekund na znalezienie hasła otwierającego drzwi. Aplikacja opierała się na analizie językowej wzorców rozpoznawalnych przez telefon.

– Cztery sylaby – wymamrotał, odczytując wskazówki programu deszyfrującego. – Jedna jest nazwiskiem.

Wystukał „Li” i uruchomił aplikację. Na ekranie zamigotała grafika z pięciowalcową maszyną do „jednorękiego bandyty”. Wyciszył dźwięk dokładnie w tej chwili, w której zabrzmieć miały oklaski.

– O rany... – jęknął i przesyłabizował – „Ba-zy-Li-szek”.

Poczuł zimny skurcz w okolicy żołądka, ale na odwrót było za późno. W tej samej chwili drzwi apartamentu rozsunęły się z przyjemnym sykiem.

Wszedł. Nie włączał światła. Wiedział, że służący pana Li ma wychodne i pije w chińskiej knajpce dwie ulice dalej, bo Yao raz po raz wrzucał na fejsa swoje zdjęcia z podpisem „Yao w Warszawie”. Na każdym kolejnym był coraz bardziej uśmiechnięty i rozmazany. Andrzej wiedział też, że pan Li będzie do późnej nocy na przyjęciu u królowej; ale nie miał pewności, czy w jakiś sposób nie kontrolują apartamentu na odległość. Zasunął za sobą drzwi.

Wewnątrz było zupełnie ciemno, pachniało świeżym sianem. Andrzej poruszał się po omacku. Minął coś, co musiało być salonem. Zderzył się z zamkniętymi drzwiami do prywatnych pokoi. Raz jeszcze przypomniał sobie podejrzany w sieci rozkład pomieszczeń. Ruszył ku temu, które według projektu było największe: w którym miał nadzieję znaleźć laboratorium pana Li. Drzwi ustąpiły po tym samym kodzie co wejściowe. Zrobił kilka kroków i wpadł na coś twardego.

– Cholera... – zaklął.

– Górka? – usłyszał z głębi pomieszczenia szeptał.

– Alek Tarnowski? – odpowiedział cicho. Zastanawiał się, gdzie tu może być włącznik światła.

– Tak. Przyszedłeś po mnie? Sumienie cię ruszyło? – napastliwie wyszeptał Alek.

– Nie, stary. To znaczy sumienie owszem, ale nie wiedziałem, że cię tutaj znajdę. Przyszedłem rozkminić tajemnicę pana Li.

– Jesteś naiwny, Górka. Zanim ty rozkminisz Chińczyka, on załatwi cię, tak jak mnie...

W panelu przy drzwiach zapaliły się dwie zielone lampki. W mroku jarzyły się niczym oczy bestii.

– Schowaj się – z przerażeniem szepnął Tarnowski. – On tu idzie. Najpierw pójdzie do laboratorium za ścianą, potem, kto wie, może wejdzie do nas. Schowaj się! I nie patrz mu w oczy, pamiętaj...! Wybaczam ci Tośkę, Andrzej.

Górka po omacku rzucił się na podłogę i podczołgał do czegoś, co zdawało mu się ścianą. Pod palcami wyczuł tekturę. Kartony? Wsunął się pod nie, zostawiając sobie szczelinę na oczy.

Przytłumiony, dochodzący zza cienkiej ściany głos pana Li:

– Zapraszam do mojego laboratorium!

– Przyszliśmy jedynie pana odprowadzić, jak życzyła sobie królowa.

To głos Zborowskiego, pomyślał gorączkowo Andrzej i wyrzwał przez szczelinę. W pomieszczeniu nadal było całkowicie ciemno. Musieli być w laboratorium obok, jak mówił Alek.

– Zatem nie chcecie zobaczyć projektu rekonstrukcji statku Lestka Piasta? – dobiegł go głos pana Li.

– Dziękujemy, jest późno.

– Musimy wracać do internatu.

Urywany gardłowy śmiech pana Li.

– Tym bardziej zapraszam! – kpiąco odpowiedział Li.

Dźwięk otwieranych drzwi i snop światła wdarł się w oczy Górki. Andrzej odruchowo zacisnął powieki. Zamienił się w słuch.

– ... bo połowa waszego internatu jest właśnie tu!

Ostry dźwięk blokady drzwi wdarł się w uszy zaciskającego powieki Górki.

Usłyszał szept Pawła:

– Co to jest?

I głos Piotra:

– Terakotowa armia?

Odpowiedział im śmiech pana Li:

– Brawo! Naprawdę jesteście nadzwyczajni.

Bracia Zborowscy nie wierzyli własnym oczom. W pomieszczeniu wielkości boiska do piłki ręcznej jeden przy drugim stały kamienne posągi. Rozpoznali piętnastu paziów zaginionych we wrześniu i Alka Tarnowskiego. Wszyscy w dresach reprezentacji królowej. Za nimi inni kamienni chłopcy, których twarze nie znali.

– Zamurowało was? Prawda, jakie to słowo ma teraz bogate znaczenie? – ironicznie spytał pan Li. – Patrzycie na niebo! Niebiańska armia cesarza Li! Nie, wcale nie drwię, wiem, jacy jesteście religijni, spójrzcie więc na czyściec! – Li wskazał im ręką dwuszeręg pod ścianą.

Piotr i Paweł przeżegnali się jednocześnie.

– Kamienne larwy, nieprzeobrażone ostatecznie. Wciąż jednak dają im szansę. Zawsze można coś w swym życiu naprawić, prawda? O, widzę, że Tarnowski odpokutował dzisiaj swe słabości, bo jeszcze wczoraj jego głowa była ludzka. Swoją drogą potworny widok, posąg z prawdziwą ludzką twarzą.

Zborowscy ze zgrozą patrzyli na istoty pod ścianą. Pół kamienne, pół ludzkie. Niektóre miały wciąż żywe brzuchy, które poruszały się ponad idealnie wyrzeźbionymi kamiennymi nogami; albo dłonie usiłujące zacisnąć się w pięści na gładkich kamiennych nadgarstkach. U jednego z chłopaków marmurowy nos skamieniał na wciąż żyjącej, posiniałej twarzy.

– Moja siła zamienia w kamień wszystko to, co w człowieku dobre i prawe. Piękne. To, co małostkowe, ułomne, wy powiedzielibyście pewnie „grzeszne” – uśmiechną się do nich lekko – zostaje żywe i obumiera wolno.



Próbowałem przekroczyć te ograniczenia, ale byłem bezsilny. To jednak moc tysiącletniej tradycji. Czasami, gdy larwa zrozumie swą małość i przerobi ją na dobro, kamienieje sama. Spójrzcie na tego, co przemienił się dzisiaj, najlepszy przykład. No, panowie Zborowscy, za chwilę wasz czas! Spójrzcie mi w oczy i przekonacie się, ile naprawdę jesteście warci. Zważę wasze uczynki jednym spojrzeniem.

– Pan Li – zachnął się Paweł. – Co za banalny kryptonim bazylizska! Jak wszyscy daliśmy się nabrać!

– Jest pan wybrykiem natury – zadziwiająco spokojnie powiedział Piotr.

– Potworem poczętym wbrew niej – dodał bliźniak. – Jak w legendzie, wyklutym pewnie z koguciego jaja!

– Oj, oj, jacy zasadniczy! – zaśmiał się Li. – Czy widzicie ogon, koguci łeb i tę całą resztę? Można to ująć inaczej, bardziej współcześnie, mówiąc, że jestem...

– Supermenem? – roześmiał mu się w twarz Paweł. – Jest pan wybrykiem natury i wynaturza pan wszystko, czego się tknie.

– Przeciwnie. Moją domeną jest doskonałość. Pigmalion chciał wyrzeźbić idealny kamień i tchnąć w niego życie, ja biorę życie i zamieniam w idealny kamień. To nie podlega dyskusji.

Pan Li przyłożył dłonie do oczu. Bracia Zborowscy drgnęli, jakby chcieli rzucić się na niego, ale potem spojrzeli na siebie. Dotarło do nich, że nie mają szans. Podjęli decyzję. Stanęli jeden za drugim, Piotr za Pawłem. Unieśli głowy w prawo, rozłożyli ramiona. Pan Li wyjął z oczu soczewki i wyszeptał:

– Spójrzcie mi w oczy, a razem dowiemy się, kim jesteście! Moje spojrzenie zatrzyma na wieki wszystko, co w was najlepsze. Pomogę wam wejść do wieczności!

Nim skończył mówić, stał przed nim posąg bliźniaczych chłopców zamienionych w jednego kamiennego orła.

Pan Li patrzył na swe dzieło w zachwycie. Oddychał ciężko. Armia terakotowych chłopców. Sięgnął po złote pudełko. Wyjął soczewki i włożył na powrót do oczu. Zamrugał. Ruszył w stronę drzwi.

– To był męczący dzień – wyszeptał, gasząc światło.

Palce Andrzeja Górki drżały, gdy wpisywał na klawiaturze telefonu „remedium na bazyliuszka”.

Bał się, że Li w jakiś sposób wyczuje jego obecność pod stosem bezładnie stojących kartonów. Sieć w odpowiedzi wypuła same głupoty. „Pianie koguta”, „oddech łasicy”. Lustro, wiadomo, lustro. Ale co zrobić, żeby chłopaki ożyły? Czy śmierć Li odda im życie? Andrzej był przerażony, pocił się i smród tego potu mógł go zdradzić, gdyby Li wrócił do swego kamiennego garnizonu.

Opanuj się, głupku, przemówił do swego rozsądku. Gdyby Li ponadzmysłowo wyczuwał obecność, to wykapałby cię, gdy ukamienował Zborowskich.

Uspokoił oddech. Odczekał do drugiej w nocy i ostrożnie wyszedł spod kartonów.

– Jesteś tu? – szepnął słabo ktoś spod okna. – Pomóż mi, proszę...

– Czyściec, ciszej...! – syknął w mrok, ale podszedł. – Czego chcesz?

– Podrap mnie po czole, błagam... Dziękuję, dziękuję. Na tej krótkiej ścianie na wprost masz wejście do laboratorium tego sukinsyna. Musisz tylko wystukać „bazyliuszek”, wiem, dziesiątki razy patrzyłem, jak to robi. Może tam będzie dodatkowe wyjście na zewnątrz? Nie zostawisz nas, prawda?

– Nie, no pewnie, że nie. Podrapać cię jeszcze? Ej, co z tobą?

Górka poczuł, że w miejscu czoła, które jeszcze przed chwilą było spocone i ciepłe, jest już kamień.

– O, do diabła! Na dobre uczynki mi się zebrało. Spadam, zanim będę mieć na sumieniu kolejnych.

Andrzej otrząsnął się i wystukał hasło. Światło zapaliło się samo, gdy przekroczył próg laboratorium.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Sterylna biel, lampy na podczerwień, potężne ekrany komputerów i dwie drukarki 3D. Szafa pełna jakichś staroci. Krzyże, kielichy mszalne, na wpół odczyszczone patery. Sporo biżuterii, zwłaszcza męskich pierścieni i łańcuchów. Trochę starej broni. Osobno kilka ksiąg zamkniętych w przezroczystych kapsułach. Andrzej nerwowo pokręcił się wokół. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nawet nie wie, czego szuka. Drzwi na zewnątrz nie było nigdzie, niepotrzebnie się łudził. W tej samej chwili na srebrzystym pojemniku pod ścianą mrugnęła lampka w panelu sterowania. Cichy syk i cisza. Górka podszedł do pojemnika. Na wyświetlaczu pojawiła się cyfra „-196”.

– Minus sto dziewięćdziesiąt sześć? Ciekły azot?

Nie zastanawiając się, otworzył zawór. Uniosły się kłęby pary. W ostatniej chwili przypomniał sobie o rękawicach. Same wpadły mu w oczy, starannie złożone na półce przy pojemniku. Pod parującą cieczą dostrzegł uchwyt i pociągnął go. W ręku trzymał obręcz, w której tkwiło sześć podpisanych ampulek. Poczuł, że zaschło mu w gardle, gdy odczytywał:

– Bolizlaus I, Misco II, Bolizlaus Largus, Premizlonis, Wladislaus, Kazimirus... Ja pierdziele.

Miał w ręku przygotowany do „Przywrócenia” materiał genetyczny Chrobrego, jego syna Mieszka II, Bolesława

Śmiałego, Przemysła, Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Gdyby Zborowscy to zobaczyli... Andrzej przypomniał sobie skamieniałych braci i poczuł się głupio. Odetchnął, nakazał sobie wziąć się w garść. Wepchał całość na powrót do azotu, żeby nie zniszczyć próbek.

Gdy wsadzał obręcz z powrotem do pojemnika, poczuł opór. Wewnątrz znajdowała się druga obręcz, znacznie mniejsza. Wiedziony ciekawością, wyciągnął ją. Tkwiła w niej tylko jedna ampułka, identyczna z pozostałymi.

– Co to jest...? – Zęby Górki zgrzytnęły z wściekłości.

Na ampułce widniał znak: 顯項.

Dotarło do niego w jednej chwili, że ma przed sobą dowód na zdradę stanu. Na zamierzoną zagładę dynastii. Zjeżyły mu się włosy na karku.

Wyciągnął wszystkie ampułki jeszcze raz na blat, zdjął rękawice i zrobił zdjęcie. Gdy kliknął „Wyślij”, drzwi laboratorium otworzyły się z wężowym sykiem.

Dźwiękoszczelny gabinet posiedzeń Tajnej Rady Królewskiej mieścił się w podziemiach zamku. Szklana klatka, jak akwarium o kuloodpornych ścianach z systemem zakłócającym podsłuchy. Minusem najbezpieczniejszego pomieszczenia w Królestwie był zaduch. Z racji na łatwość podłączania obcych urządzeń do systemu klimatyzacyjnego, nie stosowano go.

W środku znajdowali się hetman wielki, minister wojny, minister spraw wewnętrznych, szef gwardii królewskiej, Elżbieta Batory – rzeczniczka prasowa królowej w randze ministra – i Anna Jagiellonka. Wszyscy siedzieli w podkoszulkach, a i tak ledwie dało się wytrzymać. Z krótkich, sterczących włosów królowej kapął pot.

– Specjaliści badają materiał zabezpieczony w laboratorium pana Li. Niestety, to trochę potrwa – sprawozdawał minister spraw wewnętrznych. – Napotkali poważny problem badawczy. DNA oznaczone chińskim symbolem wykazuje cechy nieznanego laborantom.

Anna Jagiellonka uderzyła pięścią w stół.

– Bo to był potwór! Rozumiecie? Potwór!

Jej blada, pozbawiona makijażu twarz wyrażała wściekłość i bezradność.

– Żył jak człowiek, zachowywał się jak człowiek – niepewnie odezwała się rzeczniczka. – Opinia publiczna go uwielbiała. Jak mamy powiedzieć ludziom, że Li to jakiś bazyliszek?

– Że bazyliszek to pół biedy! – warknęła królowa. – Że wszystkich nas wyprowadził w pole, to problem! Całkowita kompromitacja dynastii. Ludzie mi tego nie darują i będę musiała abdykować.

– Ten skandal da się zatuszować. Dla dobra racji stanu – uspokoił hetman wielki koronny. – Li trzymamy w celi dla bestii. W tej samej, co siedział Max Smoczy Język, ten świr, który wydzierał dziewczynom... no, wszyscy pamiętamy co. Siedzi w tytanowym hełmie na głowie, więc ani służba więzienna, ani osadzeni nie mają pojęcia, kim jest. Media nic jeszcze nie zwęszyły, na razie ekscytują się imieniem następcy tronu.

– Na jutro zapowiedziano konferencję prasową królowej i pana Li – przypomniała rzeczniczka. – Jeśli się nie odbędzie, zaczną pytać.

– Na konferencji wystąpię sama. – Jagiellonka otarła pot kroplący się na czole.

– Ale co będzie, gdy zaczną pytać o szczegóły, ciążę i...

– A kto powiedział, że dziecka nie będzie? – Królowa odchyliła się na krześle. – Będzie, ale nie z ampułek

bazyliuszka. I nie z in vitro. – Przekreśliła na małym palcu prosty, męski pierścień Zygmunta Starego. – Skończyłam z tym. To cholerna loteria. Zrobię to metodą naturalną. W Królestwie mamy wystarczająco dużo młodych ludzi z dobrych rodów. Ale, oczywiście, ogłośmy in vitro.

– Królowa ma rację – odezwał się minister spraw zagranicznych. – Mamy w ręku skarb, czyli wiedzę. Wiemy, że Li zapłodnił królową Francji i Wielkiej Brytanii. I należy przypuszczać, iż użył własnego, potwornego nasienia.

– Zaraz, zaraz – przerwała rzeczniczka. – Jeśli ta story jest prawdziwa...

– Elżbieto Batory! – zdyscyplinowała ją królowa. – Jesteś na kontrakcie w Polsce. Jak jeszcze raz odezwiesz się po angielsku...

– Wiem! Najjaśniejsza pani ujawni, ile naprawdę mam lat. Przepraszam. Jeśli legenda mówi prawdę, to bazyliuszka musi powstać z jaja rodzaju męskiego. To wbrew naturze, ale...

– Ale nie mamy pojęcia, co Li tak naprawdę produkował w czasie swoich eksperymentów – dokończył hetman. – Mógł dokonywać zmian w DNA już po pobraniu królewskich komórek jajowych.

– Jest coś jeszcze – odezwał się szef królewskiej gwardii. – Moje służby już sprawdziły, że w czasie pobytu Li w Królestwie Szkocji, Wielkiej Brytanii i Francji również zarejestrowano zaginięcia chłopców z rodów szlacheckich. Szacunki mówią o liczbach od kilkunastu do kilkuset.

– Zatem potwór stworzył terakotowe gwardie w kilku królestwach. – Jagiellonka zastukała nieumalowanym paznokciem w blat stołu. – Wody! – Chwyciła za szklanke i wypila duszkiem. Nie otarła ust. – Przygotowywał się do przejęcia władzy nad, jak to sam mówił, piękną starą Europą? Cholerny świr! Boże, jak mamy przywrócić do

顛頊



życia tych chłopców? To moi paziowie, synowie najlepszych rodzin... – Skryła twarz w dłoniach.

– Królowo – nieśmiało odezwała się rzeczniczka – według legend po śmierci bazyliuszka jego ofiary wracały do życia.

W dźwiękoszczelnym gabinecie zapanowała cisza. Dygnitarze królowej analizowali wagę starej opowieści. Ona sama odezwała się po chwili:

– Jak się nazywa ten grubasek, który przekazał wiadomość gwardii?

– Tomek Nałęcz. Syn kasztelana poznańskiego.

– Ojca awansować na wojewodę. Chłopcu przykazać milczenie.

– Gdybyś ty się z nim spotkała, królowo... – zaczął minister spraw wewnętrznych. – Młody milczałby aż po grób.

– Spotkam się. Tak jak i z każdym z tych młodych ludzi, którzy ponieśli ofiarę dla Królestwa. – Anna Jagiellonka przygryzła wargi i miała wyraz twarzy kobiety, która podjęła decyzję.

W zakładzie dla najcięższych przestępców pojawiła się przebrana za strażniczkę więzienną. Nawet komendant placówki nie rozpoznał w niej królowej, bo gdy szła korytarzem, klepnął ją w pośladek i zarechotał oblesnie. Nie oddała. Spuściła głowę i zapamiętała jego nazwisko. „Twardowski”, powtórzyła w myślach.

Do celi Li weszła w środku nocy, gdy komendant i jego zastępcy oglądali już Ligę Światową albo spali z żonami we własnych łóżkach. Za laserową kratą i podwójnymi drzwiami stali jej gwardziści w mundurach straży więziennej. Rozkazała wyłączyć podsłuch celi.

Siedział na pryczy. W granatowym ubraniu wyglądał równie elegancko jak w kontuszu. Jego głowę obejmował tytanowy hełm-maskę. Z otworem na usta, nos, uszy. Bez wizjera.

– Anna Jagiellonka do bazyliuszka – powiedziała cicho, gdy drzwi za jej plecami zasunęły się.

– Jestem zaszczycony. Czy mogę ucałować dłoń królowej?

– Nie.

– Czemu zawdzięczam wizytę? – spytał w końcu Li, bo ona nie mówiła nic.

– Jak przywrócić życie chłopcom?

– To proste. Nie znasz legend, Najjaśniejsza Pani? Wystarczy mnie zabić.

– Łżesz. Nie można cię ukamienować całkowicie. Jesteś ułomny, Li.

Drgnął.

– Nie mów tak, królowo.

– Jesteś ułomny i dlatego tak pragnąłeś uwielbienia innych.

– Nic o mnie nie wiesz, pani – wyszeptał.

– Wiem wystarczająco wiele. Choćby to, że masz potworne stopy, jak twój przodek, Zhuanxu.

Li nie odpowiedział, ale jego nogi w szarych tenisówkach poruszyły się nieznacznie.

– No to macie kłopot – usiłował nadać swemu głosowi ton bez troski.

– Nie. Nie „wy macie kłopot”, ale „my mamy kłopot”, Li. Będziesz cierpieł w nieskończoność. Królestwo stać na to, by zapewnić ci dozór przez setki lat. Skamieniały, z tymi brzydkimi, koślawymi stopami. Będziesz wegetował w lochu, wiedząc, że nigdy nie uwolnisz się z ziemskiej powłoki. Choć wiesz co? W sumie to myślę o tym, czy by nie wystawić cię na widok publiczny.

Pan Li drgnął. Jagiellonka kontynuowała:

– Publiczne egzekucje mają wielką przyszłość. Śmierć na oczach milionów widzów. Wiesz, jakie pieniądze stacje proponują za transmisje? W twoim wypadku zysk jest zwielokrotniony, bo egzekucja to jedno, a wystawienie kamiennej larwy z koślawymi stopami na pośmiewisko to drugie. No, ustalmy szczegóły. Na potrzeby medialne, egzekucji dokonamy w narodowym stroju chińskim.

– Nie! – krzyknął Li. – Nie pozwolę upokorzyć się publicznie!

– Ach, pomyśl. Wycieczki szkolne, uniwersytety trzeciego wieku, wycieczki zagraniczne. Twoja legenda rośnie w siłę.

– Legenda?! Nie żartuj ze mnie! – wrzasnął.

– Nie spoufalaj się – spokojnie i zimno powiedziała Jagiellonka. – Może nie pamiętasz, ale nie oddałam ci swojej komórki jajowej. Nie jesteśmy na „ty”. Mówisz do koronowanej głowy.

– Przepraszam – wymamrotał i zamilkł.

Dała mu czas.

– Królowa rozszyfrowała mnie – odezwał się po chwili pokornie. – Mogę znieść ból, śmierć, ale nie upokorzenie mej miłości własnej. Tak, mam stopy jak Zhuanxu. – Pochylił głowę w tytanowym hełmie jeszcze niżej. – Jedyłą skazę doskonałej urody. Gdyby nie to, popełniłbym rytualne samobójstwo, przeobrażając siebie w doskonałą wieczność, już dawno temu.

– Wiem – rzeczowo stwierdziła Anna Jagiellonka. – Służba więzienna znalazła w kieszeni twych spodni lustro. Ale wiem też, że potrzeba niewiele, żeby zniwelować te niedoskonałości. Jednego dobrego uczynku. Powiedz, jak odzyskać chłopców. Nie stracisz na tym.

– Skąd pewność, że to zadziała? – zachnął się Li.

– Ryzyko poniesiemy wszyscy. – Jagiellonka wstała. – Jak widzisz, staram się być sprawiedliwą władczynią.

Gdy wyszła z celi, gdy poczuła za plecami chłodny metal drzwi, nerwy jej puściły. Schowała twarz w dłoniach, a w jej głowie pulsowała tylko jedna myśl: czy to się uda? Pod palcami czuła pot na skroniach, lęk ścisnął jej gardło. Ale była królową, a to znaczyło, że wątpić mogła tylko przez pięć sekund. Wzięła głęboki oddech i połączyła się z Elżbietą Batory.

– Zamów mundury oficerskie dla wszystkich skamieniałych paziów. Tak. A dla braci Zborowskich złote epolety.

Rozłączyła rozmowę i z czułością dotknęła pierścienia Zygmunta Starego na swym małym palcu.

Nazajutrz, po tajnym, przyspieszonym posiedzeniu sądu wojskowego, zapadł wyrok i przygotowano egzekucję.

Więźnia w tytanowym hełmie-masce wyprowadzono z celi i powiedziano w odległy korytarz, na którego końcu stała Anna Jagiellonka XIII w stroju oficjalnym, szef gwardii królewskiej, minister spraw wewnętrznych i cała reszta Tajnej Rady, z ubraną w czarny seksowny kostium Elżbietą Batory na czele. Gwardziści zatrzymali więźnia dziesięć kroków przed nimi.

– Panie Li – oznajmił hetman. – W Królestwie Polskim włada królowa, ale rządzi prawo. Pański przypadek reguluje ustawa, zwana dawniej „prawem bestii”, której królowa nadała nazwę „Oko za oko”. Od tego prawa nie ma odstępstwa... – zawiesił na chwilę głos, spojrzał na Jagiellonkę, a widząc, iż skinęła głową, kontynuował – ... ale królowa postanowiła, w tym szczególnym przypadku, dać panu szansę stanowienia o sobie.

Li uniół głowę w tytanowej masce i poruszył nią niepewnie.

– Proszę uruchomić procedurę rozszczelnienia hełmu – wydała rozkaz królowa.

Więzień sprawiał wrażenie nagle spanikowanego. Dowódca gwardii wystukał kod na pilocie i zameldował:

– Za piętnaście minut można będzie zdjąć hełm.

– To jest mój dar dla ciebie, Li – oznajmiła Anna Jagiellonka. – Będziesz mógł to zrobić sam, tak jak marzyłeś.

Więzień skinął głową i odrzekł:

– Jestem gotów. – A potem pochylił się do ucha królowej i szepnął coś, co usłyszała tylko monarchini.

Elżbieta Batory otworzyła drzwi.

– Witaj w gabinecie luster, panie Li – powiedziała.

Wtedy zadrżał.

– Spójrz sobie w oczy, bazyliżku – szepnęła królowa. – I przekonaj się, kim jesteś naprawdę.

Radek Rak

Kwiaty paproci

inspirowane legendą *Kwiat paproci*

Głupi Jaś nie był wcale taki głupi, jak się wydawało. Znał mowę zwierząt, a tego wieczoru miał w dodatku sadzić kwiaty paproci.

Pracy było wiele, noc świętojańska za pasem. Koniom trzeba przecież rozczyścić kopyta i włos starannie wyszczotkować, a i krówce, i brodatym kozom gnój z raciczek powydłubywać, aby kto nie gadał, że Jasiowa chudoba zaniedbana. Szczególnie martwiła go szkapina Malina, stara i marudna, którą rankiem ochwaciło i teraz wyraźnie kulą na przednią nogę. Wszystko przez to, że dwa dni przed św. Janem padało i za nic nie chciało się Malinie opuszczać pachnącej sianem stajni; mógł jej Jaś mówić, mógł prosić, grozić i zaklinać, ale ona dalej swoje, bo kto by tam słuchał Głupiego Jasia. No i teraz ma. Może zimne okłady coś pomogą, a jak nie, to czeka ją spacer w chłodnym nurcie Czechówki.

Czerwiec wisiał nad światem rozwibrowany i drżący, uderzał do głowy jaśminem i czarnym bzem. Od chat ciągnął miły zapach wygrzanego drewna. Głupi Jaś zagonił stadko gęsi na obejście i wstąpił do karczmy. Łyknął piwa

warzonego na najprzedniejszym lubelskim chmielu, młodym, tegorocznym. Pił na zewnątrz, choć w środku nie było o tej porze żadnych gości. Gdy jednak zajdzie słońce, do karczmy napłyną tłumy, więc Jaś nie chciał wnosić tam woni zwierząt. Słońce prażyło. Cięły muchy. Głupi Jaś czuł, że dobrze jest być Głupim Jasiem i mieć w sercu lato.

Dopił piwo i powąchał się pod pachami. Na wieczór trzeba się będzie przebrać. Miał już naszykowaną świeżą lnianą koszulę z pięknymi kwiatowymi haftami i podobne portki, ale len gryzł ciało i Jaś spociłby się na nowo, a kolejnej koszuli na przebranie już nie miał. Postanowił zostać jeszcze chwilę w znoszonych bojówkach i wypłowiej koszulce jakiejś metalowej kapeli, której nie znał i której nie słuchał.

Pozostało jeszcze porozsadzać kwiaty paproci.

Bo w lubelskim skansenie Głupi Jaś zajmował się nie tylko zwierzętami. Kwiaty zamówiono u rękodzielnika, snycerza spod Biłgoraja, który wystawiał swoje wyroby na jarmarkach w Muzeum Wsi Lubelskiej. Rzeźbił przeważnie ptaki, starych dziadów i smutne świątki, ale w tym roku wydłubał w jasnym lipowym drewnie kwiaty na długich łodyżkach. Może były to przekwitające hibiskusy, może malwy, a może coś całkiem innego; zachwycone kierownictwo skansenu wykupiło wszystkie. Poszukiwanie ich miało być kolejną atrakcją podczas organizowanej co roku nocy świętojańskiej, razem z puszczaniem po wodzie płonących wianków i występami folkrockowych kapel.

Zebrało się tych kwiatów paproci ze dwa tuziny i Głupi Jaś musiał nieźle się nagłować, by je wszystkie tak poukrywać, żeby podchmieleni uczestnicy mogli je odnaleźć bez trudu, ale nie za wcześnie. Większość Jaś porozsadzał w okolicy stawów na Czechówce, przy moście i obok jazu, bo tam miały się odbywać koncerty.

Jeden postawił przy karczmie, kilka na cmentarzu pod drewnianym kościołem na szczycie skarpy, skąd widok na stawy i scenę był najrozleglejszy; i jeszcze w paprotnisku w wąwozie pod dworem, i pod sąsiedkami z czerwonej cegły na obrzeżach skansenu, gdzie być może zabłąka się jakaś zakochana para.

Może Głupiemu Jasiowi przyszedł ten sąsiedka do głowy, bo sam bardzo pragnął tak się zabłąkać. Nic dziwnego, miał prawo pragnąć: obiecała przecież, że przyjdzie.

Prawdopodobnie była od niego starsza. Zwyczajna, ale Jaś zawsze zwracał uwagę na zwyczajne kobiety. Nosiła okulary, miała włosy o wszystkich kolorach jesieni i zmijowe nadgarstki, szczupłe i wiotkie, z wyraźnymi błękitnymi żyłkami, drewniane bransoletki klekotały na nich niczym kastaniety. To w tych nadgarstkach się zakochał, chyba tak; w tych nadgarstkach i, bardziej banalnie, w szybkim uśmiechu rzuconym przez sklepową szybę.

Pracowała w sklepie ze zdrową żywnością. Jasio do takich sklepów nie chadzał, bo nie miał zbyt wiele pieniędzy. Tamtego dnia jednak, kiedy się do niego uśmiechnęła przez okno, zaszedł i kupił koszmarnie drogi syrop z gruszki i melisy, do tego jakąś dziwną herbatę, która mu wcale nie smakowała, i jeszcze coś, nie pamiętał już co, ale na pewno coś zupełnie zbędnego, bo taki już był głupi, ten Jaś.

Od tamtej pory zaglądał do sklepu co kilka dni i kupował coś, czego nie potrzebował. Wymieniał z dziewczyną przydługie spojrzenia i trochę bezmyślne uśmiechy, rzucił czasem żartem, trochę koślawym, bo żartować Głupi Jaś niezbyt potrafił. Jej to chyba jednak za bardzo nie przeszkadzało.

Głupi Jaś miał zresztą antytalent nie tylko do żartowania, ale i do ubierania się z gustem. Chodził ubrany byle



jak i przeważnie się tym nie przejmował. Teraz jednak wydobył trzy ładne koszule, które zostały mu jeszcze ze studiów. Było mu łatwiej w tych koszulach, bo nie czuł się wtedy sobą. To ktoś obcy wchodził w Jasia i flirtował z panią ze sklepu. I to ten ktoś przed kilkoma dniami zapytał dziewczynę, czy nie wybrałaby się z nim do skansenu na obchody nocy świętojańskiej.

Zapytał, a ona odpowiedziała:

– Noc świętojańska? Tak, myślę, że się spotkamy. O zmierzchu, pod tą wielką lipą nad stawem.

Tak powiedziała, staromodnie. O zmierzchu pod lipą. Jak przed wojną, dawno temu. Jasiowi zaszumiało w głowie, jak zawsze, gdy umawiała się z nim jakaś dziewczyna. Bo Jaś, choć głupi, nie zaliczał się wcale do brzydkich.

Z tego szumu i z tej radości zapomniał zapytać o jej imię. Do tej pory bowiem ciągle mówili sobie per „pani” i „pan”. Stanowiło to interesującą zabawę, grę, sprawiała im obojgu przyjemność. Jaś, mimo że głupi, potrafił być wyrafinowany. Z drugiej strony, czy może być lepsze miejsce i lepszy czas na poznanie swoich imion niż pod lipą o zmierzchu w noc św. Jana?

Z zadumy wyrwała go biała kózka w czarne łaty, ochocho zmierzająca przez pokrzywy ku sąsiekowi z zamiarem schrupania tego nowego, osobliwego kwiatu, wyrastającego z kępy paproci. Głupi Jaś ostro nakazał jej wracać do stadka. Bursztynowe oczy kozy z poziomymi kreskami źrenic posmutniały. Pochyliła i przekrzywiła łeb niczym zawstydzony pies, ale Jaś nie miał zamiaru się z nią targować. Koza zarzuciła głowę, wyraźnie urażona, ale podrepłała z powrotem.

Przez ostatnie dni Głupi Jaś nie raz i nie dwa zastanawiał się, jak będzie wyglądać ta noc, ich noc, jego i dziewczyny o węzowych nadgarstkach.

Być może będzie to tak:

Głupi Jaś przyjdzie wcześniej, ale schowa się w wielkiej dziupli w wypróchniałym pniu lipy. Ona nadejdzie trochę później, gdy cienie zgęstnieją. Jaś będzie przypatrywał się jej długo, długo; i dziewczynie, i jej sukience białej jak światło księżyca, i wiankowi na jej głowie, bo to przecież noc świętojańska. Ona będzie chodzić obok lipy, wte i wewte, i żegotać drewnianymi bransoletami na żmijowych przegubach.

Aż wreszcie Jaś wyskoczy z dziupli i huknie niczym drzewne lichy, niczym polny duch, a ona w krzyk. Aleś mnie przestraszył, powie. Spodoba jej się Jasiowa koszula w kwieciste hafty, powiązana na piersi rzemykami, spodobają jej się lniane spodnie i chodaki z łyka, bo wszyscy pracownicy skansenu dostali piękne stroje na ten wieczór. Od stawów sączyć się będzie muzyka, stłumiona przez odległość.

Do sceny stąd daleko, ale Jaś przyszykował w szuwarach nad stawem płaskodenną dłubankę. Pomoże dziewczynie wsiąść do łódki, ujmie wiosło i ruszą w poprzek stawu. A muzyka z każdą chwilą przybierać będzie na sile, taka muzyka, co to uderza do głowy i co pulsuje we krwi, bębny i gęśle, dzika, coraz dziksza; innej muzyki w ogóle nie powinno się grać w noc świętojańską. Kupią piwo w plastikowych kubkach, wypiją szybko, żeby poszło prosto do głowy i nie zalegało goryczą w żołądku, i pociągną pod scenę, do światła, jakby byli ćmami.

Już serca tętnią w rytm muzyki, już ręce w górze, już włosy opadają na twarz, już sukienka wiruje wokół ud dziewczyny, podobna do rozkwitającej malwy. Pot błysz-

czy na nagich ramionach, na meszku pod niedogolonymi pachami, na dekolcie, w którym wzrok Jasia gubi się śmiało, lecz nienachalnie, bo Jaś jest może i głupi, ale na pewno nie jest chamem. Jej dłonie, jego dłonie; jej oddech, jego oddech; jej usta, jego usta. Ciała poszukują się nawzajem, ciała mają swoją mądrość.

Więc wymkną się spod sceny, ze światła na powrót w noc. Pewnie wypiją jeszcze po piwie albo po dwa, żeby gwiazdy bardziej zawirowały na niebie, żeby ciemność bardziej pociemniała. I puszczą wianek z czarnym nurtem Czechówki, i zaszyją się w paprotnisku pod dworem, gdzie nie zagłada nikt, tylko księżyc. I wsłuchają się nawzajem w mądrość swych ciał, i szczupłe ramiona dziewczyny oplotą mocny kark Jasia, i poznają swoje imiona, by móc je szeptać albo krzyczeć. I trawa będzie pachnieć rosą, a dziewczyna będzie smakować cierpko, jak owoce porzeczki, czy może raczej aronii.

Bo to będzie taka noc.

Wieczór pogłębił się, cienie wydłużyły, a niebo nabrało bizantyjskich barw. Szorstka koszula trochę gryzła, ale gryzła przyjemnie. Głupi Jaś przepatrywał tłum, który zdążył się już zebrać pod stawami na Czechówce. Muzyka już szła, śpiewały grube babki w kolorowych spódnicach, ludowy zespół z Dąbrowicy. Nudno i grzecznie, no ale słońce wciąż nie zaszło, nie czas jeszcze na prawdziwą muzykę świętojańską, muzykę z krwi i ciemności.

Nie zdziwiłby się, gdyby nie przyszła. Tak łatwo było zakpić z Głupiego Jasia, tak łatwo wystawić go do wiatru. Pewnie nawet nie miałby jej tego za złe.

Kiedy więc ujrzał ją wreszcie, serce załopotało mu skowrończo pod samym gardłem. A więc przyszła. Ale bynajmniej nie jako gość.

Krzątała się przy straganie z żywnością, grzejąc w piecu owsiane ciastka, lejąc do kubków chlebowy kwas, podobno z Litwy, i krojąc grube pajdy pieczywa podawanego ze smalcem i kiszonym ogórkiem. Na kilkanaście kroków wokół pachniało chlebem i drożdżami. W ogóle kramów było co niemiara, nie tylko z jedzeniem, ale i z drewnianą albo miedzianą biżuterią, z kosmetykami ziołowymi, z kalendarzami rolniczymi i książkami o wróżbach, czarach i innych rzeczach, których nie ma.

Zbliżył się w tłumie do straganu.

– Co potrzeba? – zapytała i dopiero wtedy go rozpoznała. – To ty! Świetny strój.

– Byłem ciekawy, czy przyjdziesz. – Głupi Jaś pokraśniał.

– No jestem, jak widzisz. – Roześmiała się, trochę zbyt ochryple. – Będę później pod lipą, teraz nie mogę. Masz, zjedz coś. Żebyś nie osłabł. – Podsunęła mu grubą kromkę razowca ze smalcem i dwa razy większą ilością ogórka, niż powinno na niego przypadać.

– Dzięki! Poczekaj, skoczę po portfel...

– Ani mi się waż, nie wygłupiaj się. No, idź. Przepraszam.

Odszedł od stoiska jak w transie. Chleb pewnie był smaczny, ale Jaś nawet nie zauważył, kiedy go zjadł.

Przyszła o umówionej porze. Głupi Jaś już czekał. Wcześniej na chwilę schował się w obszernej dziupli, ale zaraz porzucił pomysł wyskoczenia z niej na dziewczynę, bo wydał mu się jednak szczeniacki i bezdennie dumny. Wyskubywał właśnie kawałki próchna z włókien koszuli i nie zobaczył dziewczyny, póki nie przysiadła tuż obok.

– Niezłe przebranie. Należysz do jakiejś grupy rekonstrukcyjnej?

– Dzięki. Nie, wszyscy pracownicy muzeum, którzy biorą udział w dzisiejszej imprezie, dostali na wieczór takie ciuchy.

– Pracujesz tutaj? – zdziwiła się. – Jesteś przewodnikiem?

– Nie. – Wyszczerył się w uśmiechu. – Pastuchem.

– Serio? – Roześmiała się. Śmiech miała ochryply i trochę nieładny, ale Jasiowi się podobał. Od kącików oczu dziewczyny biegły promieniste zmarszczki, wyraźne w świetle wieczoru. Naprawdę musiała być o parę dobrych lat starsza od Jasia.

Głupi Jaś udał, że się obrusza. Dziewczyna śmiała się tym głośniej, bo kto to widział, pastuch w dzisiejszych czasach, nie ma już dziś pastuchów, nie, nie, na pewno sobie kpi. Tymczasem nieopodal rozsiadła się grupka ubranych na czarno studentów, zbrojna po zęby w butelki i puszki taniego piwa, oboje odeszli więc w głąb skansenu. I tak im jakoś mijał czas, od słowa do słowa, od uśmiechu do uśmiechu, aż dotarli na tyły niebieskiej chaty, do stajni, gdzie pachniało sianem i zwierzęcym potem i gdzie konie zapadały już w pierwszy sen. Jaś obejrzał kopyto Maliny, nadal obrzęknięte i pulsujące u koronki; jutro trzeba będzie wezwać weterynarza.

Dziewczyna uwierzyła w jego profesję chyba dopiero wtedy, gdy wyprowadził Malinę w noc, powiódł długim zboczem ku strumieniowi, podwinął sobie wysoko nogawki portek i wszedł wraz z kobyłką w ciemny nurt. Klacz lekko zarżała z ulgi. Pozwoliła się nawet poklepać po chrapach, choć przeważnie gryzła.

Tej nocy Głupi Jaś i dziewczyna o węzowych nadgarstkach poznali swoje imiona w paprotnisku pod dworem,

gdzie nikt nie zagląda, tylko księżyc. Ale nie wykrzyczeli ich w noc, bo wszystko odbyło się bardzo grzecznie, jak między dwojgiem nieśmiałych nastolatków. Miała na imię Bożena i Jaś powiedział, że ładnie, choć imię to zawsze wydawało mu się brzydkie i pasujące do starej baby. Trudno go winić, bo miłości zawsze zaczynają się od drobnych, wyglądających rzeczywistość kłamstw.

Siedzieli tak na wysuszonym pniu drzewa, pół metra od siebie, rozmawiając o różnych sprawach, tych nieistotnych i tych bardzo ważnych. Niebo przegwieżdżało się nad ich głowami. Świętojańska muzyka szła dołem, nad stawami, bo dwór stał na wzgórzu. Bożena nie lubiła głośnych koncertów, piwa też zresztą nie, więc nie poszli pod scenę. Chyba też wstydziła się trochę, że jej dłonie wciąż czuć kiszonymi ogórkami, i Jaś to dostrzegł, bo choć głupi, potrafił dostrzegać takie rzeczy.

– Ale ci ładnie dłonie pachną – powiedział. – Jeszcze tymi ogórkami, co je krociłaś.

Bożena rozluźniła się wtedy i Jaś mógł wziąć ją za rękę.

Koncert skończył się, gdy muzycy i widzowie byli mniej więcej jednakowo pijani i ochrona zaczęła powoli wszystkich wypraszać. Bożeny i Jasia nikt nie zauważył i siedzieli jeszcze długo, póki rosa nie zeszkliła się na trawie. Głupi Jaś ofiarował dziewczynie kwiat paproci, obok którego siedzieli przez cały czas, ale Bożena go nie dostrzegła, i to był jeszcze jeden powód do śmiechu, najlepszy z najlepszych.

Wymknęli się ze skansenu przez płot, bo bramy dawno zamknięto. Jaś odprowadził ją jeszcze na nocny autobus i w chłopskim przebraniu powłókł się do domu, a niebo na wschodzie rozmgławiało się już w błękitny i biele.

W mieszkaniu w kamienicy przy ulicy Zamojskiej przywitał go tylko Śmierdziel. Kraken też jeszcze nie spał, mimo późnej – a może wczesnej – pory, ale nie pofatygował się do przedpokoju. Szyba w drzwiach jego pokoju błyskała na niebiesko, ze środka dobiegały przytłumione jęki i krzyki. Kraken albo grał, albo oglądał jakieś filmy. Spały za to obie dziewczyny, studentki, zajmujące największy pokój.

– Nie spieszyłeś się – stwierdził Śmierdziel, moszcząc się na krześle w kuchni.

– Przesadzasz. Rzadko wychodzę, to pierwszy raz od nie pamiętam kiedy.

– Masz dziś wyjątkowo kretyńską minę. Wiem, że kolejne razy nastąpią niebawem.

– Ma na imię Bożena. – Uśmiech sam wepchał się na usta.

– Wyruchałeś ją?

– Nie lubię, gdy jesteś tak wulgarny.

– Wiesz, gdzie to mam. Wyruchałeś czy nie?

– Nie powinno się zaczynać w ten sposób. Ona jest inna.

– Jesteś beznadziejny – stwierdził Śmierdziel z głębokim przekonaniem. – Nawet nie będę pytał dalej. Pewnie jeszcze patrzyłeś w gwiazdy. Dziś, w święto rui. Idiota. – Przeciągnął gibkie, śniade ciało, powąchał konserwę, którą Jaś otworzył i postawił na stole; skrzywił się ostentacyjnie. – Błę, sama chemia. Jak ty to możesz jeść?

– Nie częstuję cię, jakbyś nie zauważył. No, spadaj. Chcę usiąść i zjeść. To moje krzesło.

Śmierdziel prychnął, ale ustąpił Jasiowi miejsca.

– Zrobiłem kupę w twoim pokoju – rzucił na odchodnym. – I naszczałem obok butów. Taka sugestia. Rozumiesz. Jak jeszcze raz zastanę brudną kuwetę, naleję ci do środka.

– Przecież to kolej Krakena na sprzątanie twojej kuwety.

– Kraken-sraken. Jak mu kiedyś nasikałem do butów, nawet tego nie zauważył. Tak wałą starym serem i skarpetami, że nawet pachniały wtedy lepiej. Dlatego naleję do twoich.

Bożena ze spokojem przyjęła wiadomość, że Jaś jest głupi. Może stało się tak dlatego, że wybrał dobre miejsce i właściwy czas. Opowiedział wszystko na szczycie Wieży Trynitarńskiej, po pierwszym pocałunku. Tutaj, z tej ptasiej perspektywy, bliżej było do nieba i mrówcze sprawy świata nabierały lekkości.

Może też Bożena przyjęła głupotę Jasia ze spokojem, bo sama była rozumną dziewczyną i zbliżała się do trzydziestki, a jest to wiek, w którym pewne zasoby życiowej mądrości zaczynają kołatać nawet do najszczelniej zakutych głów.

Słuchała więc uważnie, jak Jaś opowiadał o swoim dzieciństwie w miasteczku na południe od Lublina, szczęśliwym dzieciństwie z matką i ojcem, małym mieszkanku w bloku. Miał też siostrę, ale zmarła zaraz po narodzeniu i Jaś nigdy jej nie zobaczył, pamiętał tylko małą kremową trumienkę, więc siostry nie było zbyt wiele w tej opowieści. W domu było skromnie, ale wystarczająco, by nigdy nie musiał chodzić spać głodny, a to przecież nie jest mało, prawda? Ojciec pracował i matka pracowała, on w zakładzie produkującym chłodziarki, ona – najpierw na kasie w sklepie, potem, gdy zaczęła niedowidzieć – w szmatek-sie. Dziecko wykształcić przecież trzeba, a oboje wierzyli w czarodziejską moc wyższego wykształcenia, mającego być przepustką do lepszego życia; może dlatego, że żadne z nich nie miało ani jednego, ani drugiego.

Jaś, wtedy jeszcze nie głupi, uczył się przyzwoicie, i choć na wymarzoną weterynarię się nie dostał, poszedł na zootechnikę. A studia, wiadomo, kosztują – chociaż Jaś dorabiał roznoszeniem ulotek i pracował chwilę w sklepie zoologicznym, a po maturze pojechał do Niemiec zbierać ogórki, to i tak było mało i mało. Ojciec zaczął więc w wakacje dorabiać przy pracach rolniczych, bo mężczyźni z maleńkich miasteczek potrafią różne rzeczy.

I tak się jakoś złożyło, że upał, że sierpień, że pył i zaduch, bo ojciec robił przy sieczkarni. Zrobiło mu się na chwilę duszno, więc wyszedł się przewietrzyć, potem wrócił jeszcze na moment do środka, a potem karetka zabrała go do szpitala i zanim ktokolwiek zdążył się zdziwić albo przestraszyć, trzeba go było pochować. Może zawał, może zator albo może zakrzep, a zresztą jakie to teraz miało znaczenie. Był chłop, nie ma chłopca, a taki był silny, byk, nie człowiek; tak potem mówili.

Jaś zbierał wtedy w Niemczech te pieprzone ogórki. Póki nie wrócił, matka nic mu nie powiedziała, bo znała go jak nikt na świecie. I może zrobiła dobrze, a może zrobiła źle, ale taka to już była kobieta, bo takie bywają w maleńkich miasteczkach. Z początku jej syn przyjął wszystko spokojnie. Dopiero po tygodniu czy dwóch coś się w Jasiu urwało.

Miał jakieś egzaminy poprawkowe we wrześniu, ale nie podszedł do żadnego. Coś czarnego rozsiadło mu się w głowie i zjadało od środka, aż zjadło niemal doszczętnie i z Jasia pozostało samo zewnątrz. Rozpięta na szkieletcie skóra, włosy, trochę mięsa. Ale poza tym nic.

Tak to Jaś został Głupim Jasiem, bo nie można być mądrym, kiedy coś zje człowieka od środka. Spędził jakiś czas w specjalnym domu, w którym nigdy nic się nie działo, jakby znajdował się poza światem. Może ten dom

był tylko snem. Czasem jednak wydawało się, że to cały świat jest jedną wielką obłąkańczą uludą, bo nic w nim do niczego nie pasuje i takiego świata nie może być albo być nie powinno; i że tylko specjalny dom dla głupich ludzi jest prawdą, a wszystko poza nim – jeden majak.

Przepisali mu tam leki, a po pewnym czasie wypuścili. Łykał tabletki i czerni nie wracała; może zresztą nawet nie dlatego, że bała się tych tabletek, lecz dlatego, że w Jasiu nie pozostało już nic, co warto by zjadać.

To było przed dwoma laty. Jaś nie podjął już studiów; próbował, ale wiedza jakoś nie chciała się trzymać jego głowy, jakby powierzchnia mózgu wyschła na żwir. Szukał chwilę pracy, aż jakoś trafił mu się ten skansen. Najniższa krajowa. Akurat tyle, żeby przeżyć i żeby było na leki. Od świtania do zmierzchania, lato czy zima. W sam raz dla Jasia. Takiej pracy było mu trzeba.

Matce powiedział, że jest opiekunem zwierząt. Brzmiało to o wiele lepiej niż pastuch, a matka sprawiała wrażenie dumnej, że jej syn mimo głupoty jakoś sobie radzi. Ale nie odwiedzała go w Lublinie, bo puchły jej nogi i źle znosiła podróże, i pewnie tak było lepiej.

Trzech rzeczy Głupi Jaś Bożenie nie opowiedział.

Jednej – że za każdym razem, ilekroć wracał ze swojego miasteczka do Lublina, na studiach czy potem, matka odprowadzała go na przystanek i dyskretnie, tak, by nikt nie widział, kreśliła mu na czole znak krzyża. Puchnące nogi puchnącymi nogami, ale szła zawsze. Czy upał, czy deszcz, czy mróz, taki, jaki bywa jedynie na wschodzie – szła. Czekala potem, oparta o starą, sękatą lipę obok przystanku. Jaś odjeżdżał i tak ją widział – mała, brzydka i pomarszczona figurka, jak wyrzezana z kawałka ciemnego drewna. Matka.

Drugą rzeczą, o której Głupi Jaś nie wspomniał, był strach. Strach przed tym, że przestanie sobie radzić i że coś się w nim złamie na nowo, strach przed chorobą matki i kosztownym leczeniem, bo matka wchodziła już w ten wiek, w którym nawet najzdrowsi chorują, strach, że w skansenie przestaną go potrzebować i znajdą kogoś na jego miejsce, a co innego mógłby taki Głupi Jaś robić. Takie strachy, zwykłe strachy, przyczajone gdzieś pod sercem, do których nikomu nie trzeba się przyznawać.

Żeby strachy nie uderzały zbyt często do głowy, Jaś czytał książki. Śmierdziel zaglądał mu niekiedy przez ramię i kazał, by poczytał trochę na głos, ale zawsze potem odchodził zniechęcony. Jaś twierdził, że czytanie pozwala oswoić życie, pozwala dowiedzieć się, czym ono naprawdę jest. Kocur prychał na to zniecierpliwiony. Po co czytać, jak ktoś walczy, zmagają się z czymś, je i dupczy, skoro można robić to samemu? Życie można poznać tylko żyjąc, i życie to walka, zmaganie się, jedzenie i dupczenie, koniec kropka. Czytanie jest dla tchórzy.

No więc właśnie. Trzecią rzeczą, o której Jaś nie napomknął ani słowem, była mowa zwierząt. Nie mógł sobie przypomnieć, czy poznał ją w domu dla głupich ludzi, gdzie wiele rozmawiał z ptakami w ogrodzie, czy było tak już wcześniej. Czasem wydawało mu się, że znał ją od zawsze, ale dopiero pobyt w odosobnieniu pozwolił mu zrozumieć ją lepiej. Oczywiście w specjalnym domu również nikomu się nie przyznał; tylko panie sprzątaczkki nie mogły się nadziwić, że gołębie nie srają na parapet jego pokoju.

Taka to była Jasiowa historia, ta opowiedziana i ta nieopowiedziana.

Kiedys przyśniło się Jasiowi, że jest kotem. Była noc, a on chodził po świetle. Chodził szczytami płotów i po dachach, i szło mu to tak naturalnie, że sam się sobie dziwił, że dotąd tego nie robił. Mógł się wspinać, gdziekolwiek chciał, mógłby wspinać się nawet do samego nieba, tyle że ziemia wydawała się znacznie ciekawsza. W niebie nic na kota nie czeka, kot jest stworzeniem ziemi i ciemności, nocnych szelestów i cichej śmierci. Cały mieści się w swoim ciele i dusza stanowiłaby dla niego zbędny balast.

W tym śnie Jaś nie miał duszy. Kończył się tam, gdzie jego pazury, gdzie koniuszek ogona i czubki uszu. Każdy ruch i każdy krok napawały go pełną zadowolenia przyjemnością i mógłby tak iść i iść dla samej rozkoszy ruchu. Nie czuł w sobie żadnego strachu i żadnej obawy i wydawało mu się, że waży niewiele więcej niż powietrze, że sam jest tylko zawirowaniem w przestrzeni, niczym innym. Nawet nie przypuszczał, że ludzkie lęki mogą być takim ciężarem. Nie ma od kota istoty bardziej z tego świata.

Miasto wzywało, szumiało w noc rozpiętą pod rudym niebem.

Jaś w kocim ciele przemykał z gracją po podwórzach i zapuszczonych ogrodach na tyłach kamienic. Wciskał się przez uchylone lufciki do piwnic po jednej stronie obcych domów, a wychodził z drugiej, gdzie nieznaną ulicą nęciła nowymi możliwościami. Znaczył teren moczem. Mordował małe, lęklive stworzonka, wiodące swe nędzne żywoty tylko w tym celu, by zginać w jego pazurach. Tułł się z innymi kocurami i kopulował po wielokroć z chętnymi, rozmiauczonymi kotkami oraz z tymi, które nie wiedziały, że są chętne.

Był kotem.

Kiedy się zbudził, czuł się niezdarnie w ludzkim ciele. Bożena spała u jego boku, odziana jedynie w cieniutką warstwę potu i jej własny kobiecy zapach, ziemisty i ciężki. Migdałowy zaduch miłości skraplał się na szybie okna.

Dusza na powrót weszła w Jasia i zaczęła na nowo uwierać. Gryzła starymi lękami, tymi, o których nie wspomniał nigdy Bożenie; gryzła i nowymi. Bo Głupi Jaś był już z Bożeną dość długo i czuł, że nie może sobie dłużej pozwalać na bycie Głupim Jasiem. Życie we dwoje kosztowało więcej niż życie w pojedynkę, bo tak zawsze bywa. Rozumiał coraz wyraźniej, że to, co było wystarczające dla jednego Głupiego Jasia, to o wiele za mało dla Jana – ojca rodziny. I kiedy budził się nocą i widział przy sobie Bożenę, czuł, że inaczej się nie da. Że obecna tymczasowość nie może trwać wiecznie. A gdy przeminie, nie zostanie wtedy Jasiowi nic, zupełnie nic, czego mógłby się złapać.

Nie mógł już dłużej być Głupim Jasiem, paść krów i koni i robić zimnych okładów na ochwaczone kopyta. Musiał znaleźć sposób, by zmądrzeć, i musiał znaleźć inną pracę.

W ciemnościach nocy obie te rzeczy wydawały mu się właściwie jednym i tym samym.

– Aleś ty głupi, Jasiu – śmiała się Bożena, kiedy kilka dni wcześniej spróbował w świetle dnia zwierzyć się jej z ciężarów swojego serca. – Przecież nie jest nam bardzo źle. Są tacy, co mają gorzej. Nie chcę, byś zmieniał pracę. Przecież widzę, że ci w niej dobrze. A ja cię kocham takiego głupiutkiego.

Ale Jaś wiedział swoje. W dodatku Kraken nie raz i nie dwa powtarzał mu, że kobiety myślą zupełnie co innego, niż mówią, a Kraken na pewno już tam dobrze wiedział,

tyle ich się przewijało przez jego pokój. No i która kobieta chciałyby naprawdę takiego Głupiego Jasia, no która?

Żałował, że nie może być kotem.

– Można to łatwo zmienić. – Śmierdziel otarł się ręką o jego łydki. Przytył w ciągu ostatniego roku, między tylnymi łapami urosła mu kula tłuszczu. Bożena rozpieszczała go jak mogła i ilekroć odwiedzała Jasia, przynosiła ze sobą kocie frykasy.

– Słucham?

– Nie ma nic trudnego w byciu kotem. Każdy może się tego nauczyć.

– Nie da rady tak po prostu zostać kotem. Kotem się rodzi.

Śmierdziel wskoczył na parapet. Zerknął chytrze na Jasia.

– Może tak – powiedział. – Może nie.

Kocur zabrał się do starannej toalety. Głupi Jaś znał Śmierdziela dobrze, więc cierpliwie patrzył, jak kot wylizuje sobie boki i grzbiet, jak ślini łapę i czyści swój nieładny, łasiczy pysk. Miał zamiar jeszcze wylizać swoją wielką, włochatą mosznę, czym zawsze doprowadzał Jasia do wściekłości, a Bożenę do pensjonarskiego chichotu; ostatnio jednak, z racji tuszy, trudno mu było sięgnąć we właściwe okolice, zrezygnował więc.

– Noc świętojańska za pasem. Stary Lublin to miasto tajemnic. Niejedno możesz znaleźć na kocich ścieżkach, jeśli odważysz się na nie zapuścić. Jest takie miejsce – podwórze, dziwne podwórze, wysoko ponad ulicą Kowalską. Nie można się tam dostać zwykłymi ludzkimi drogami. Wszystkie drzwi i wszystkie bramy dawno zamurowano. Od lat dziczeje ono i zarasta ciemnością jak brodatą pleśnią. Ludzie zapomnieli o tym miejscu, ale koty wiedzą i pamiętają. Raz do roku, w najkrótszą noc,

paprocie porastające skruszałe mury zakwitają. Mienia się te kwiaty blaskiem, aż kłuje w oczy. Jeśli kto zerwie taki kwiat i wypowie życzenie, spełni się ono w najbliższym czasie.

– Każde życzenie?

– Niektórzy w ten sposób stali się kotami. – Śmierdziel wbił w Jasia natarczywe spojrzenie. – Porzucili swoje ciasne, poplątane dusze. Zostawili za sobą swoje pogmatwane sumienia. Nie jest to znów takie trudne.

– Nie potrafiłbym być kotem.

– Twój wybór. Nikt nie każe ci nim być. Idiota.

– Te koty – one nie zrywają kwiatów paproci dla siebie?

– A jakie życzenie może mieć kot? Bycie kotem to jedyne pragnienie jego serca.

Głupi Jaś nic nie odpowiedział. Wrócił do łóżka, ale nie mógł zasnąć, bo jego serce miało wiele pragnień.

Największą trudność sprawiło Jasiowi przekonanie Bożeny, by spędzili noc świętojańską oddzielnie. Było nie było, przypadała wówczas rocznica ich pierwszego prawdziwego spotkania. Nie rozumiała z początku nic a nic. Jaś, który był głupi i nie potrafił kłamać, powiedział jej więc prawdę:

– Idę poszukać kwiatu paproci. Wiem, gdzie go znaleźć.

– Znaleźliśmy jeden rok temu. – Bożena zdjęła z półki, z honorowego miejsca, kwiat z lipowego drewna.

– Ale wiem już, gdzie rosną prawdziwe.

– Ten jest wystarczająco prawdziwy. Przyniósł nam szczęście. Zresztą, jak chcesz. Pójdę z tobą.

– Muszę iść sam – zmieszał się Jaś.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Bo to życzenie ma być dla ciebie niespodzianką.

Machnęła ręką, ale więcej nie drażyła. Być może miała z tym coś wspólnego inna Jasiowa niespodzianka, która błyszczała na serdecznym palcu Bożeny. Głupiemu Jasiowi jakimś cudem udawało się co miesiąc zaoszczędzić niewielką sumę pieniędzy, aż uzbierał tyle, ile trzeba. Kamień w pierścionku był niewielki i sztuczny, ale radość Bożeny jak najprawdziwsza.

Może więc przez wzgląd na ten pierścionek i na tę radość nie naciskała na wspólne spędzenie najkrótszej nocy w roku.

W sam świętojański wieczór po ciemniejącym niebie toczą się grzmoty, a powietrze ma posmak soli. Trakcja trolejbusu trzaska i sypie iskrami na skrzyżowaniach, gdy Jaś wraca od Bożeny do siebie.

Śmierdziel czeka już w bramie kamienicy przy Zamojskiej. Ruszają razem ulicą pod górę, w stronę Starego Miasta. Domy spoglądają na nich smutnymi oknami, zlizszajowaciały tynk łuszczy się z fasad płatami. Miasto zdaje się wyludnione, nieliczni przechodnie suną po chodnikach niczym smętne duchy, z rzadka przemknie samochód. Studenci powyjeżdżali już na wakacyjną przerwę, w najpiękniejsze miesiące roku Lublin zawsze pustoszeje.

Wkrótce kocur odbija w bok, za katedrę, przypominającą jakieś uśpione w mroku przedpotopowe stworzenie; wydaje się, że gruchoczące w powietrzu grzmoty dobywają się z jej trzewi. Za katedrą ciągnie się Podwale – wąska, brukowana uliczka, z obu stron otoczona parterowymi domami z kamienia. W głębi, daleko, świeci jedna jedyna latarnia.

Ale Śmierdziel nie wie Jasia w tamtą stronę. Skręca w mroczne, woniejące stęchlizną i kiszoną kapustą podwórze, na którego tyle wznosiła się ceglana ściana. Mur zdaje się podtrzymywać napierające od północy wzgórze

Starego Miasta. Lublin leży bowiem na siedmiu wzgórzach i w siedmiu wąwozach. Bez wysiłku Śmierdziel wskakuje na ten mur; Jaś musi wgramolić się na kompostownik i podciągnąć z wysiłkiem.

Dalej pod szczyt przez gęstwę jarzębin i jaśminów. Zalane złocistym światłem Stare Miasto zwiesza się masywnymi bryłami kamienic i kościołów.

Umorusany ziemią i podrapany gałęziami Jaś wdrapuje się na szczyt, na rozświetlony latarnianym blaskiem Plac Po Farze. Tutaj ludzi jest więcej, nawet późną nocą, bo tu bije serce miasta. Z na wpół uchylonych drzwi knajp snują się korzenne i tytoniowe wonie.

– Nie mogliśmy dojść normalną drogą? – sapie zdyszany Jaś.

Śmierdziel nie zaszczycą go nawet prychnięciem i prowadzi w poprzek placu ku nisko sklepionej bramie, otwierającej uliczkę Ku Farze, igielne ucho Starego Miasta, tak wąską, że idąc nią, można dotknąć obu ścian wyciągniętymi rękami.

Potem w bramę, na śmierzdzącą kotami i pleśnią klatkę schodową. Stopnie, wygładzone czasem i tysiącami stóp, skrzypią i trzeszczą przy każdym kroku. Jaś i Śmierdziel mijają rozsiane bez ładu i składu drzwi i okna w głębokich wykuszach, przez które pada rudawa poświata nocy. Na parapetach stoją niekiedy butelki po piwie, ale cały dom sprawia wrażenie, jakby jego mieszkańcy posnęli albo umarli.

Kot wyprowadza Jasia na wąski balkon ponad ciemną studnię podwórka. Kolejne balkony wyrastają ze ścian obok siebie niczym huby. Z najniższego balkonu skaczą razem na kolejny, i jeszcze jeden, coraz wyżej i wyżej, aż obaj docierają na dach. Krok Głupiego Jasia staje się pewny, a ruchy kocie, i wszystko przypomina sen.



Między okopconymi kominami i kalenicami Jaś prze- staje się bać wysokości, choć wysokość ta jest znaczna – kamienice starego Lublina zdają się wyrastać jedna z drugiej i uliczki w dole wyglądają na bardzo, bardzo odległe. Jeszcze jeden dach, jeszcze jeden załom – i Głupi Jaś dostrzega na podwórzu poniżej rdzawy blask, jak próchno świecące w martwej wierzbie.

– Już niedaleko – mruczy Śmierdziel.

Niedaleko, bo wystarczy teraz już tylko zejść zewnętrzną klatką schodową. Rudy blask sieje się na dnie, z każdą chwilą mocniejszy. Taką barwę ma księżyc, gdy wschodzi w letnią noc.

Podwórze z trzech stron ograniczone jest wymarłymi kamienicami, do których zaglądną tylko koty i wiatr, a po czwartej znajduje się spękany mur, z tej perspektywy niski, ale od ulicy opadający kilkanaście metrów ku Kowalskiej. Z kruszejącego bruku podwórza wyrastają paprocie i młode brzoźki. Jeden gaj. A w tych paprociach wielkie, rozognione kwiaty proszą blaskiem cały ten blask, wabiąc ćmy z okolicy.

Kwiaty przypominają trochę róże, ich rozplamione płatki, ostre na brzegach jak żyłki, układają się w skomplikowane, fraktalowe wzory. Od patrzenia na nie boli głowa. I jest ich wiele, tak wiele, że dałoby się obdzielić życzeniami cały Lublin.

Ale Głupi Jaś ma tylko jedno życzenie, więc wypowiada tylko je i zrywa tylko jeden kwiat, kalecząc przy tym palce do krwi.

Kwiat pulsuje i wije się w jego dłoni jak żywa istota, i nagle okręca się wokół nadgarstka, pali żywym ogniem, a korzenie wpijają się głęboko i boleśnie w ciało na przedramieniu, jakby chciały wyssać z niego krew i soki. Jaś odrywa go z lękiem i obrzydzeniem, ale drobinki korzenia

zostają głęboko. Czuć, jak pełzną pod skórą, jak wędrują w stronę serca, by wrosnąć w nie na dobre.

Tak to Głupi Jaś znajduje swój drugi kwiat paproci.

Kwiat postawili w wazonie na oknie. Jego blask nieco przygasł i zmatowiał, ale kwiat nie usychał ani nie gnął, choć mijał miesiąc za miesiącem. Bożena wymieniała połowę wody raz na tydzień, czasem dosypała odżywki do kwiatów ciętych. Musiała to robić, bo Janek przeważnie nie miał na to czasu.

Bożena zastanawiała się niekiedy, czy to w ogóle prawdziwy, żywy kwiat. Przypominał bardziej piękny i kosztowny przedmiot ze szkła. Przypatrywała mu się często, bo stał na parapecie w salonie mieszkania, które Bożena wynajmowała z Jankiem.

Mieszkanie było nieduże, ale słoneczne i estetycznie urządzone, w nowym budownictwie. Na początku, gdy Janek nie patrzył, Bożena kładła się na panelach, bo ciepło w tym mieszkaniu brało się wprost z podłogi, i było to przyjemne uczucie. Jakby leżało się na nagrzanym od słońca kamieniu.

Wstawała potem zawstydzona, ale niepotrzebnie – Janek nie mógł tego zauważyć, bo rzadko bywał w domu. Sprzedawał teraz premiksy i dodatki paszowe dla świń i drobiu, od fermy do fermy, całe dni w trasie. Wracał do domu zmęczony i nie miał zbyt wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia; na pewno nie tak ciekawych, jak dawne opowieści o szkapinie Malinie i jej ochwacie. Ale większość ludzi wykonuje pracę, o której nie da się powiedzieć zbyt wiele ciekawych rzeczy, choć można niekiedy udawać, że jest inaczej. Nie narzekała więc, choć Jasia było mało, coraz mniej.

Pracowała dalej w sklepie ze zdrową żywnością, na którą wreszcie było stać ich oboje. Kiedy wracała, czekał na nią Śmierdziel, którego Janek zabrał z brzydkiej i ciasnej klitki w kamienicy przy Zamojskiej. Kocur, wykastrowany, roztył się wkrótce ponad jakąkolwiek miarę, a dnie spędzał na wylegiwaniu się na ciepłej podłodze, ale zawsze była to jakaś obecność i bez niego w mieszkaniu wyłaby pustka.

Bożena czekała na Jasia do późnego wieczora, czasem czytając, czasem przeglądając internet, a czasem po prostu leniwie głaszcząc rozmruczanego Śmierdziela. I kiedy tak wsłuchiwała się w ciszę, ciętą na kawałki miarowym tykaniem zegara, jej wzrok szukał kwiatu paproci. Nie tego nowego, siejącego z parapetu krwistą luną, lecz tego z ich nocy świętojańskiej, sprzed ponad półtora roku.

Stał, nie rzucając się w oczy, na półce z książkami. Białe drewno nabrało z czasem w paru miejscach odcienia miodu. Kiedyś Bożena próbowała zmyć te przebarwienia wodą z mydłem, ale pociemniały od tego jeszcze bardziej. Pomyślała wtedy, że wszystko na świecie żółknie i można nigdy nie powrócić do bieli; i że pewnie musi w tym być jakaś większa i trudniejsza mądrość, skoro świat urządzony jest w taki sposób, ale nie potrafiła sobie odpowiedzieć jaka.

Janek liczył samochody mijające stację benzynową. Sącył ze styropianowego kubka kawę, drogą, niesmaczną i kwaśną, zagryzał maślanym rogalikiem i przyglądał się, jak czas przepływa mu przed oczami, a sekundy kapią, nie pozostawiając po sobie najlżejszego osadu wspomnień. Zmierzchało.

Właściwie to mógł już być w drodze do domu, może nawet w samym domu. Właściwie to mógł pić o wiele lepszą kawę w towarzystwie Bożeny. Tak naprawdę to nie miał na żadną kawę ochoty. Było to jednak jego małe, prywatne zwycięstwo nad światem – nie musieć obracać w palcach każdej złotówki, tylko móc zamówić kawę i przyschniętego rogalika, i może jeszcze coś na drogę, i zapłacić za wszystko tyle, ile dawniej mógł wykorzystać na cały dzień. Bożena nie zapyta i nie powie nic, jeśli wróci do domu później niż zwykle; rejon jego firmy był przecież rozległy, Lubelszczyzna, Podkarpacie i spory kawał Świętokrzyskiego.

Zastanawiał się, czy mógłby pić tę kawę, gdyby nie kwiat paproci. Ostatecznie nie przyniósł mu przecież takiego powodzenia, na jakie liczył, gdy już przestanie być głupim. Żył mu się jednak przyzwoicie i normalnie, a to więcej, niż był przyzwyczajony. Okupował to wszystko brakiem czasu, ale tego przecież nie uwzględnił, wypowiadając życzenie, nie mógł więc żywić do kwiatu pretensji o jego realizację.

Zawsze, gdy jego myśli biegły ku kwiatowi paproci, czuł łaskotanie wokół serca. Korzenie, które wniknęły w nie ostatniej nocy świętojańskiej, powrastały głęboko w tkanę i trzymały mocno.

Kiedy dumął nad kubkiem kawy, przyszła jeszcze Jasiowi do głowy myśl o matce. Ostatnio często o niej myślał. Kiedy odwiedził ją jakiś czas temu, wydawała się bledsza i bardziej wysuszona. Samo mieszkanie również wyglądało, jakby się postarzało i nie miało już na nic ochoty, jakby nic już w tym miejscu nie miało się wydarzyć, i Janek nie lubił odwiedzać domu, w którym się wychował.

– Dobrze się czujesz? – pytał matkę.

– A dobrze jak na te lata – mówiła. – Starość jest starość.

– Powinnaś pójść do lekarza.

– A co mi lekarz pomoże? Mów lepiej, co u ciebie; weźmiecie wreszcie ten ślub?

I tak to szło. Rozmowa jak ze snu. Matka wydawała się Jankowi na wpół obca, milczenie rosło między nimi. Nie mieli o czym rozmawiać.

– To ja już będę szedł.

– No to idź, synuś, tylko cię pobłogosławię.

– Nie wygłupiaj się, mamó.

To był dobry ranek. Może dlatego, że Janek wziął urlop, a zdążył już zapomnieć, jaką radość daje wolny dzień, taki dzień do przeżycia jak się chce, od rana do wieczora. Bożena wychodziła do pracy dopiero po południu i ranek spędzili w rozkopanej pościeli, odkrywając, że nie odkryli jeszcze wszystkiego, co było do odkrycia. Potem bili się poduszkami i Bożena piszcziała, że Janek jest Głupim Jasiem, co było miłe, bo on sam już od dawna nie czuł się głupi. A jeszcze później zaparzyli kawę, której aromat wiercił aż w zatokach, dobrą kawę, od której serce nabierało mocnego, ciemnego rytmu.

To był dobry ranek aż do chwili, gdy do drzwi zapukało dwóch policjantów z informacją o śmierci matki Janka. Zmarła prawdopodobnie przed kilkoma dniami. Nikt z sąsiadów wcześniej nie zareagował, bo matka była skryta i niewiele rozmawiała z ludźmi, nikt nie zauważył, że starsza kobieta nie wychodzi z mieszkania. Dopiero gdy na klatce schodowej zaczęło śmierdzieć, ktoś powiadomił administrację, administracja policję, policja weszła do środka, no i tak to było.

Nie zobaczył ciała matki. Nie zezwolono mu na to ze względów sanitarnych. Tylko trumna, chłodna, lakierowana. Na pogrzebie garstka ludzi. Do komunii nie przystąpił; chciał przez moment to zrobić, bo po co mają ludzie gadać, i tak pewnie gadają, a jemu było pod tym względem wszystko jedno; słowo „świętokradztwo” brzmiało niezbyt poważnie, było dobre dla Głupich Jasiów, nie dla niego. Coś jednak osadziło go na ławce w kaplicy, jakby żelazna ręka z nieba przydusiła go do ziemi. Potem poszło szybko, trumnę spuszczone do betonowego dołu, ksiądz sypnął garść ziemi, odtrąbiono *Być bliżej ciebie chcę*, i tyle. Jak ze snu.

Z początku Janek planował zajrzeć jeszcze do mieszkania, ale nie zajrzał, bo gdyby to zrobił, mógłby przebudzić się z tego snu, mógłby rozwiązać szarą mgłę oblepiającą mózg. A tego się bał. Zbyt wiele rzeczy w jego życiu przypominało teraz sen.

Kiedy wyjeżdżał z Bożeną z rodzinnego miasteczka, minął przystanek, na którym zawsze żegnała go matka. Pamiętał dobrze: oparta o starą, sękatą lipę, mała, brzydka, pomarszczona figurka, jak wyrzezana z drewna. Nie mógł się powstrzymać. Zaparkował samochód kilkadziesiąt metrów dalej, włączył awaryjne, wysiadł, zbliżył się do drzewa. Odszukał dłońmi miejsce, o które zawsze opierała się matka. Sucha kora brudziła dłonie i łuszczyła się pod palcami.

I Janek zgiął się wpół, i płakał, i płakał, i płakał, a w środku działy mu się rzeczy nie do opisania.

Dużo czasu zajęło Jankowi, zanim wszystko w swoim wnętrzu poukładał na nowo. Musiał przetłumaczyć sobie, że to nie jego вина, że dbał o matkę, jak potrafił, że nie

mógł jej na siłę zawlec do lekarza, bo nie była dzieckiem, że miał przecież pracę i nie był w stanie być przy matce tak często, jak by chciał. Trzeba czasami oszukiwać siebie, aby jakoś żyć. Na szczęście miał przy sobie Bożenę, bo to zawsze dobrze robi, gdy ktoś bliski utwierdza nas w naszych kłamstwach. Gdyby nie ona, Janek mógłby zgłupieć na nowo.

Pracował jeszcze więcej, bo praca też pomaga. Szara droga i wyprany z barw, pofałdowany horyzont, podobny do brudnej pościeli; szumiący spokojnie silnik; w radiu kretyńska muzyka dla półgłówków. To wszystko są dobre lekarstwa. Brał dłuższe trasy i niekiedy nocował w przydrożnych hotelikach, serwujących na śniadanie nieodmiennie jajecznicę i parówki. Obcość tych miejsc go uspokajała.

Gdy wracał do domu, wpatrywał się przed snem w kwiat paproci na parapecie. Płatki tliły się jak żar ogniska i rozjarzały mocniej, kiedy w nie dmuchał. Dobrze, że miał ten kwiat. Gdyby nie on, musiałby wciąż być Głupim Jasiem, biednym pastuchem doglądającym krowy.

W takie wieczory Śmierdziel pakował swoje rozlane cielsko na Jankowe kolana, domagając się pieśczoć. Mruczał i przyjemnie grzał, ale nie odzywał się od dawna. Pewnie zresztą nigdy nie mówił, pewnie była to po prostu część choroby, głupoty, z której Janek wyleczył się już dawno.

I to właśnie w taki wieczór, gdy życie wydawało się już dobrze poukładane, wszystko rozsypało się w kilka chwil.

Zaczęło się od kociego ciężaru i ciepła na kolanach. Nagle Śmierdziel, znudzony nadmiarem pieśczoć, dał susa na parapet. Stuknęło, zagrzechotało, i Jaś ujrzał kwiat paproci wysmykujący się z wywróconego wazonu.

A potem brzdęk, srebrzysty, wibrujący w powietrzu długo, bardzo długo, jak dźwięk kamertonu. Ruda luna przysła.

Janek, oniemiały, wpatrywał się w rdzawy pył na podłodze. Wszystko, co pozostało z kwiatu. Woda lała się z przewróconego wazonu, ciurkała z parapetu. Śmierdziel przyglądał się temu z miną, która nic nie wyrażała.

– Ty sukinsynu... – szepnął Jaś. – Celowo to zrobisz!

Chwycił kota za kark, cisnął nim o ziemię, kopnął. Śmierdziel stęknął głośno, nawet nie miauknął. Jaś przeżył się tym, co zrobił, i z tego strachu kopnął jeszcze raz. Śmierdziel dał drapak pod szafę. Dyszał z szeroko otwartym pyskiem.

I dopiero wtedy Jankowi wydało się, że coś usłyszał. Wciąż jeszcze czuł koci ciężar i ciepło na kolanach.

Kiedy Bożena wróciła z popołudniowej zmiany, wystarczył jej jeden rzut oka: na Śmierdziela pod szafą, na Janka całego spiętego w fotelu, na pozostawiony pod oknem szklany mak. Kot wciąż robił bokami i co jakiś czas krztusił się, jakby chciał zwrócić kłaczek. Z pyska zwisało mu pasemko białej śliny.

– Cały wieczór tak dyszy – rzekł Janek, ale Bożena spiorunowała go wzrokiem i pożałował, że się odezwał. Wiedziała. Wyczytał to z jej oczu i z tonu, jakim rzuciła:

– Jedziemy do weterynarza.

Na wieczornym weekendowym dyżurze zastali młodą lekarkę, no bo kto ma w końcu brać wieczorne weekendowe dyżury, jak nie młodzi. Drobną, ładną, szybką w ruchach. Może Janek by i o niej fantazjował, gdyby spotkał ją w innych okolicznościach, na szczepieniu czy odrobaczaniu. Ale nie teraz, bo lekarka też wiedziała.

I im bardziej Janek kręcił, że nie widział, że kot pewnie spadł, że się potłukł – tym bardziej wiedziała. Jan bowiem, choć zmądrzał, wciąż nie nauczył się naprawdę kłamać.

Lekarka osłuchiwała Śmierdziela, zajrzała do oczu, do pyska i pod ogon. Śluzówki jak porcelana, powiedziała. Jaś nie do końca wiedział, co to znaczy, ale zrozumiał, że jest źle. Zdjęcie rentgenowskie przyniosło diagnozę – pęknięta przepona, złamane trzy żebra, podejrzenie złamania kolejnego, w jamach ciała płyn, prawdopodobnie krew.

Śmierdzielowi założono wenflon, dostał mieszanke przeróżnych leków i trafił do komory tlenowej. Z początku nawet mu się poprawiło, przestał dyszeć, uspokoił się, przycupnął z grzbietem w rogalik. Minęło może pół godziny, gdy znów zaczął się dusić, łeb wyciągnięty w przód, szyja wyprężona jak u żyrafy, oczy wielkie, jakby najadł się wilczej jagody. Lekarka wpakowała mu do tchawicy długą rurkę, powiedziała coś na temat otłuszczenia pogarszającego rokowania. Z rurki pociekł spieniony, różowy płyn. Śmierdziel leżał na boku, a w przyćmionych oczach błyszczał strach, bo gdy kot umiera, umiera na zawsze, i nie ma dla kota ani nieba, ani zmartwychwstania.

Wtedy Bożena, która o wszystkim tym wiedziała, rzekła:
– Niech go pani uśpi.

Wrócili do domu w milczeniu i w milczeniu położyli się do łóżka. Do jednego łóżka, ich łóżka, z którym tyle się wiązało, i Jaś pomyślał, że jakoś to będzie. Całą noc oboje udawali, że śpią, i każde wiedziało, że drugie udaje. Nie odezwali się jednak do siebie ani słowem; może nie chcieli się odzywać, choć chyba jednak chcieli, ale nie mieli pojęcia, co mogą sobie powiedzieć. Tak bywa.

W porannej szarówce Bożena usiadła zgarbiona na skraju łóżka.

– Nie myślałam, że taki jesteś.

Ubrała się i wyszła. Wróciła po południu, aby spakować swoje rzeczy.

Jan liczy samochody na stacji benzynowej. Kawa jest droga i kwaśna. Zmierzcha.

Wszystko wydaje mu się snem, całe jego życie. Może rzeczywiście nim jest, może cały świat śni nam się w większym lub mniejszym stopniu i przechodzimy przez życie nieprzebudzeni? Ojciec i matka, i Bożena, i skanseny, i noce świętojańskie. I kwiaty paproci, te z drewna, te ze szkła, i te pod sercem.

Ludzie i rzeczy, których nie ma.

Ostatni łyk kawy. Nauczył się ją lubić, bo niewiele więcej zostało na świecie. Chyba lubi ją teraz naprawdę.

Po ulicy chodzą ptaki; gołębie i kawki. Dziobią w asfalcie, szukając okruchów, i nie mają Jankowi już nic do powiedzenia. Ale to nie szkodzi. Bo wkrótce znów nadejdzie ta noc, jedna jedyna w roku.

Kawa zaczyna szumieć w głowie. W myślach pojawia się zapomniana mapa nocnych szlaków, gdzie przecinają się drogi spóźnionych wędrowców, ciem szukających światła i kocie skrót, którymi chadzają tylko ci, co nie boją się zabłądzić. Przypomina sobie podwórko fosforyzujące rudym blaskiem. Brzuch urósł mu w ostatnim czasie, ale nie na tyle, by nie sprostać drodze przez strome klatki schodowe i skrzypiące balkony.

Otwiera powieki i już wie. Jak dalekie echo słyszy ostatnie kaszlnięcie Śmierdziela.

„Naprawdę, idiota...”.

Głupi czy nie, wciąż pamięta drogę.

Kraków, październik 2015

Rafał Kosik

Śnięci rycerze

inspirowane legendą *O śpiących rycerzach*

Notatnik po lewej, bo papier to zawsze papier – nie padnie w nim dysk, nie zwiesi się system. Dalej telefon, po prawej mysz – z touchpadem to mizianie, nie praca. No i kawa, jeszcze bardziej na prawo od myszy. Kawa musi być, i to w wielkim termicznym kubasie. Kawa to podstawa. Bez kawy nie ma pracy. Centralną pozycję zajmuje jednak laptop. Bez niego to nawet kawa nie pomoże.

Wszystko było gotowe i na swoim miejscu. Z małym wyjątkiem – centralnie na wprost za oknem piętrzył się Giewont. Jędrrek nabrał powietrza, ciężko je wypuścił. Nie wybrał tego miejsca. To miejsce wybrało jego – urodził się tu. Nikt go nie pytał, czy nie wolałby być rybakiem z Helu, leśnikiem z Białowieży, czy tam może motorczym z Warszawy. Urodził się tu i z automatu został górzem spod Zakopanego. „Spod samiuśkich Tater...”. Ba! Nikt go nawet nie zapytał, czy w ogóle chce być Polakiem! Gdyby ktoś go jednak zapytał, Jędrrek bez wahania odpowiedziałby, że chce być informatykiem. I może być nim na Helu, w Białowieży, w Warszawie, gdziekolwiek, byle nie tutaj!

Włączył laptop i rozprostował palce jak pianista przed koncertem. Nie jest łatwo, ale jakoś trzeba zarobić na studia.

– Jędrus! – z podwórza dobiegł głos matki. – Jus cas!

Spojrzał na zegarek w rogu ekranu – dziewiąta trzynastcie. Na co niby czas?

– Na co niby czas? – zapytał głośniej.

– Środa dziś! Trza Józka zmienić na holi!

Jędrak zamknął oczy po tym ciosie i wsunął się głębiej w fotel. Józek, hala, owce. Rodzina Gąsieniców-Tutek słynna była w okolicy z największego stada owiec i firmy produkującej sery. Firma! Trzy kadzie i parę półek. Najgorsze w tym wszystkim to pilnowanie owiec. Znów zapomniał, że w środę przypada jego kolej, by zmienić brata. I teraz do soboty będzie gnął w tej kurnej chacie, z której jeszcze lepiej widać Giewont. A znając Józka, to do niedzieli, bo w sobotę – wiadomo – imprezy.

– Kompilację miałem robić! – bronił się rozpaczliwie.

– Wykąpies się w sobotę. Zbieraj się wartko, bo cie mietlą pogonie.

– Zośkę pogoń, matka!

– Chces, coby siostra sama posła na hole?

– Chces, coby syn sam posedł na hole?

– Zara pójde po ojca, to uwidzisz. Nie zawadzaj siostse, ucy się do egzaminu.

Taaa... egzamin, jasne. Uczy, jeszcze lepiej.

– A gdzie moje ambicje? – zapytał tym razem cicho. – Zzipują mnie tu żywcem...

Walka już była przegrana. Zamknął laptop i zaczął pakować plecak.

Zośka była tępą jak ciupaga z targu dla ceprów. Chciała zostać celebrytką. Szczytem jej marzeń było wystąpienie w programie, w którym uczestnicy dowiadują się przed milionową publicznością, że jednak nie umieją śpiewać.

Jednocześnie była na tyle bystra, że rodzicom powiedziała, by wysłali ją na studia z marketingu. Chwyciło, bo szacunek będzie we wsi, jak w rodzinie pojawi się magister marketingu, kozia bródka!

Wdrapał się na halę dobrze po jedenastej. Józek już tam był, gotowy do drogi. Pewnie się z tą cycatą Baską umówił. Czy tam z Halinką, co pod Gubałówką skarpety sprzedaje, kto by je spamiętał. Jego mina mówiła wiele.

– Pracowałem – burknął Jędrrek.

– Ta, pracowałeś. Przy komputerze siedziałeś.

– To też jest praca.

– Praca to jest, jak się spocisz. Trzym się, brat. Do niedzieli.

I tyle było tej rozmowy. Ze starszym bratem nie ma dyskusji. Hierarchia plemienna, kozia bródka! O właśnie, Jędrrek nawet przeklinać porządnie nie potrafił, a bez tego przecież trudno o szacunek. Próbował się nauczyć rzucać soczystymi kruca fuksami czy dundrami świstającymi. Za każdym razem wychodziło mu tak samo żałośnie, kozia bródka!

Przybiegł Bocuś, pies rasy nieokreślonej, który przez te kilka dni miał być Jędrkowi jedynym towarzyszem. Chłopak pogłaskał tłusty grzbiet i z wielką niechęcią poszedł liczyć owce. Żeby potem nie było na niego, jak którejś będzie brakować w sobotę. To jest – w niedzielę.

Po trzeciej nieudanej próbie wreszcie wszedł wyżej, zrobił im zdjęcie i przeliczył na ekranie. Algorytmem je, na algorytm mocnych ni ma. Owiec było równo sto.

Ogarnął wzrokiem zieloną halę, po której, dzwoniąc dzwoneczkami, snuła się setka kudłatych śmierdzieli. Z jednej strony halę zamykała majestatyczna skała, z drugiej nie

mniej majestatyczne świerki, nad którymi wyrastały szare granie i potężne szczyty polskich Tatr. Do tego krystalicznie czysty strumyk, niebo błękitne jak w folderze i obłoczki. Tfu! Jak fototapeta w salonie u Chramców. Kicz dla ceprów.

Jednak inteligentny człowiek potrafi się przeprogramować nawet na takim wygnaniu. Za schronienie pasterzom z rodziny Gąsienica-Tutka służył szałas, który szczerze mówiąc, był szałasem tylko z nazwy. W rzeczywistości tuż obok Jędrka stała całkiem niezłe wyposażona chatka ze spadzistym dachem sięgającym niemal ziemi, kryta zmurzonym gontem, co by zbłąkanym turystom nie psuć zdjęć. Ale najważniejsze, że był tam generator prądu.

Jędrak wyciągnął przed szałas przedłużacz i rozsiadł się na drewnianej ławie. Z plecaka wyjął laptop i położył go centralnie przed sobą. Potem standardowo: notatnik po lewej, dalej telefon, po prawej mysz, a jeszcze bardziej na prawo od myszy kubaś termiczny... Kozia bródka! Kawa została w domu.

Ale, ale... inteligentny człowiek potrafi się przeprogramować nawet do takiej sytuacji. Kilka minut później Jędrak tworzył kolejne linijki kodu, popijając z kubaśa żętycę. Giewont był tak blisko, że masyw zdawał się pochylać nad szałasem.

Owce tymczasem robiły, co chciały. Jędrak wychodził z założenia, że owce są bezobsługowe. Jak, nie przymierzając, sondy von Neumanna. Przez miliony lat radziły sobie bez ludzi i kiedyś też będą musiały. A nastąpi to, kiedy wszyscy na Ziemi zostaną już magistrami marketingu.

Co gorsza Bocuś wychodził z podobnego założenia. Jędrak nie potrafił wzbudzić szacunku nawet w nim. Psisko cieszyło się, kiedy na halę przychodził Jędrak, bo to oznaczało kilka dni leniuchowania. Jakby kundel miał rozdwojenie osobowości.

Kiele wieczora opity żętycą i objedzony oscypkami Jędrək oderwał się od laptopa, beknął, przeciągnął i ziewnął. Skończył, co miał skończyć, teraz pozostało czekać na przelew na te kilka stówek. Mógł z czystym sumieniem iść spać.

A, owce... Na noc trzeba je zagonić do koszar i znów policzyć.

Wstał i rozejrzał się po hali. Te wełniane boty rozlażły się po sporym obszarze, a przeca trawa wszędzie taka sama. Wymienił spojrzenia z Bocusiem, starając się wygładać stanowczo. Pies z kwaśnym wyrazem pyska wstał i powlókł się wykonywać znieawidzoną robotę.

Pół godziny później Jędrək zamknął zagrodę, powtarzając:

– Dziewięćdziesiąt dziewięć... Dziewięćdziesiąt dziewięć... – Spojrzał jeszcze raz z nadzieją na ledwo widoczny zarys lasu. – No nie ma jednej, kozia bródka! – Dopiero wtedy dotarło do niego, co to oznacza. – Ojciec mnie zabije!

Tylko spokojnie. Owce nie mają osobowości prawnej, więc brak jednej nie ma takiego znaczenia.

– Jasne, że ma! – skarcił się natychmiast. – Przecież ojciec!

Chciał liczyć je ponownie, ale było już za ciemno. Wszedł więc do szafasu po latarkę. Otworzył szafkę i wymacał walcowaty kształt. Wyciągnął...

– Czyżby śliwowica?

W butelce była może jedna czwarta płynu, więc Jędrək uznał, że redukcja do jednej piątej nie oznacza wielkiego przestępstwa, a łatwiej będzie myśleć. Decyzja zmiany jednej piątej w jedną szóstą była w zasadzie formalnością. Tak jak i kolejne decyzje. I cóż, że śliwowica należała do



Józka? Józek pewnie obraca teraz Baśkę, czy tam Halinkę. Za szczyt marzeń brat miał unikanie roboty i zakończenie procesu edukacji tak szybko, jak to możliwe. O tym, że to się wzajemnie wyklucza, przekona się, gdy będzie już za późno.

Zośka zapewne kręciła teraz loki i udawała, że śpiewa do suszarki. Za głupia do roboty w rodzinnym biznesie, więc się ją pośle na studia. Logiczne. Za to Jędrrek – wybitny, choć niedoceniony (jeszcze) informatyk – pasał owce. I to ma być sprawiedliwość społeczna i równość?

A może ta owca tam jest? Może się przemknęła, kiedy liczył? Iść jeszcze raz liczyć z latarką, czy nie iść? A może ją wilki porwały? Juhasi gadają, że wilki ostatnio też jakieś takie zdupiesiały. Strach się bać, że po nocy przyjdą, wywalą śmietnik i rozwloką śmieci. Strach wyjść i przepędzić, bo przybiegną, żeby je głaskać.

Tak gadają.

Ale kto tam wie, jak jest naprawdę.

Zamiast ganiać po nocy, lepiej problem rozwiązać teoretycznie. Zginęła ta owca, czy nie zginęła? Owca Schrödingera, kozia bródka! Mamy zatem do czynienia z superpozycją stanów obecności i nieobecności owcy. Dobrze, niech ten kołtuniasty trawozuj się zdecyduje – ma całą noc, by się określić. Po wschodzie słońca funkcja falowa owcy załamie się i zostanie zredukowana do konkretnego stanu: obecności albo nieobecności.

Na razie Jędrkowi udało się zredukować stan śliwownicy w butelce do zera absolutnego, a myśli nie stały się przez to ani odrobinę jaśniejsze.

Czy na pewno przedtem owiec było sto? Nie, nie, sto to brzmi zbyt równo, a owce nie są równe, są okrągłe i niedookreślone przez futro. Można włożyć palec głęboko w to futro i jeszcze nie dotknąć owcy właściwej. Może

więc owce są niepoliczalne? Jak liczby naturalne. Lepiej przyjąć, że owiec było około stu. Wieczorem było ich około dziewięćdziesięciu dziewięciu. Brak około jednej owcy nie brzmi bardzo poważnie.

Tak, to jest dobry pomysł. W ten sposób Jędrak będzie mógł powiedzieć ojcu, że gdy przejmował stado od Józka, owiec było około stu. Po wieczornym wyprowadzeniu iloczynu skalarnego przestrzeni euklidesowej hali pod Giewontem nastąpiło sprzężenie topologiczne z przestrzenią Hilberta...

W skrócie: rano okaże się, czy owca naprawdę zaginęła.

Rano okazało się, że owca naprawdę zaginęła. Jakkolwiek by liczyć, mimo bolącej głowy, owiec nadal było około dziewięćdziesięciu dziewięciu. Trza iść, szukać.

Na szczęście żętyca od wczoraj nieco skwaśniała, więc przynajmniej jeden problem Jędrak miał z głowy. Dosłownie, bo trudno o lepsze lekarstwo na kaca.

– Pilnuj łowiecek – przykazał Bocusiowi z odpowiednim akcentem, który mu się czasem włączał mimowolnie. – Jeśli wrócę i będzie ich około dziewięćdziesięciu ośmiu, to na Matkę Boską Zielną upieczemy ciebie.

Jędrak formalnie był góralem, więc powinien znać Tatry jak własną kieszeń. Cóż, nie znał. Poszedł więc w pierwszą stronę, w którą wydało mu się, że poszłaby owca. Owieczka właściwie, bo brakowało jagnięcia.

Ledwie sto metrów dalej znalazł na gałązce strzępek wełny. Owce są głupie, to Jędrak wiedział od dawna, ale nie przyszło mu do głowy, że niektóre mogą być jeszcze głupsze. Wyglądało na to, że ta mała kretynka sama wybrała się na spacer.

Idąc tropem białych kłaczków, powędrował skrajem lasu, za którym z trawy wyrastały coraz częściej odłamki skalne, aż dotarł do podnóża Giewontu. Nie było stąd widać krzyża, co mało Jędrka obeszło. Zdecydowanie za to obeszło go, że nie widać owieczki. Dalej znajdowały się już właściwie same skały i ledwie kilka gałązek koso-drzewiny... a na jednej z nich wełniany kłaczek. Pięknie, tatrzańska owca alpinistka postanowiła zdobyć Giewont od najtrudniejszej strony. A pretensje i tak będą do Jędrka.

Rad nierad, począł się wspinać po skałkach. Przeca owca nie kozica, daleko nie mogła skicać. Taaak. Jędrak też nie był mistrzem wspinaczki, więc jakieś trzydzieści metrów wyżej już rozważał, czy gniew ojca nie będzie jednak mniejszą przykrością niż upadek w przepaść. Postanowił odpocząć i przemyśleć sprawę. Usiadł w zagłębieniu skalnym i przystąpił do analizy problemu. I wtedy nagle poczuł głód.

No tak, nie zjadł przecież śniadania, a ta wspinaczka nieźle go zmęczyła. Przyszedł mu apetyt na porządną pieczeń. Czemu akurat na pieczeń? Pociągnął nosem. No tak! Ktoś tu w okolicy palił ognisko i piekł mięsko. Zapach był słaby, ale Jędrak nie miał wątpliwości, że gdzieś zapowiada się uczta. Co ciekawe, zapach zdawał się dochodzić z wnętrza zagłębienia skalnego.

Jędrak zajrzał w ciemność i poczuł ruch powietrza. Przydałaby się latarka. Nie wziął jej, bo... a, tak, śliwowica. Zresztą któż mógłby się spodziewać, że latarka będzie przydatna w słoneczne przedpołudnie? Zapalek ani zapalniczki nie miał, bo nie palił. To też trzeba zmienić, bo wstrzemięźliwość nikotynowa to kolejny przyczynek do niskiej pozycji w hierarchii plemiennej.

Wsunął się głębiej w szczelinę. To nie było zwykłe zagłębienie skalne, lecz wylot grotu. Czy to możliwe, żeby

ta parzystokopytna idiotka tu weszła? Zrobiło się na tyle przestronnie, że Jędrak mógł już wstać. Zrobił kolejny krok. Latarka bardzo by się przydała. Zaraz! Wyjął telefon, żeby przyświecić sobie ekranem i – stracił grunt pod nogami.

Nie zdążył nawet krzyknąć, gdy leciał już w dół, po jakiejś jakby zjeżdżalni, która nie przypominała skały. Rąbnął w coś nogami, coś z łoskotem wyleciało z mocowań, coś innego trzasnęło i łomotnęło metalicznie, a Jędrak zatrzymał się wreszcie na twardej posadzce.

– Ło Jezusicku... – jęknął. Utwierdziło go to w przekonaniu, że jeszcze żyje. Na próbę poruszył wszystkim, czym mógł. Skargą bólu odpowiedział tylko mały palec u prawej nogi. To nic nowego, wrastający paznokieć, bo babcia za niemowlęctwa nadopiekuńczo ciachała mu te paznokcie zbyt krótko. Babcia Jadzia, niech spoczywa w spokoju.

Chyba nic poważnego mu nie dolegało, poza ogólnym poobijaniem. Dopiero wtedy otworzył oczy i unióśł głowę. Kilka centymetrów od swojego nosa dostrzegł czubek buta, a trochę dalej drugi but. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby odgadnąć, że nad Jędrkiem ktoś stał.

Już chłopak szykował wyjaśnienia, już chciał przeproszać, że zupełnie przypadkowo władował się komuś do domu przez komin, gdy przypomniał sobie, że przed chwilą siedział spokojnie w zagłębieniu skalnym. Zatem to nie mógł być czyjś dom. Czyli co, czyje to buty? Turysty? Grotołaza?

Unióśł nieco wzrok i dostrzegł metalową obudowę łydki. Gdyby nie to, że od dobrych kilkunastu lat trwał dwudziesty pierwszy wiek, Jędrak powiedziałby, że oto widzi fragment średniowiecznej zbroi rycerskiej. Unióśł się na rękach jeszcze wyżej i nieśmiało spojrział w górę.

Zbroja była pusta.

– Kozia bródka... – Jędrrek wstał i zagapił się na eksponat, bo najwyraźniej to właśnie widział. Na wieszaku o dość skomplikowanej konstrukcji wisiała kompletna zbroja rycerska z czasów, hm... Jędrrek zupełnie nie czuł się ekspertem w kwestiach średniowiecznego uzbrojenia, a jedyne skojarzenie, jakie mu przychodziło do głowy, to bitwa pod Grunwaldem, Ulrich von Jungingen, dwa miecze, Jagienka i orzechy.

Stojak znajdował się w absydzie skalnej, z pewnością wykutej ludzkimi rękoma, oczywiście wyposażonymi w dłuta i młoty. W grocie było tych absyd dwanaście i w każdej z nich stała sobie na stojaku, jak gdyby nigdy nic, inna zbroja. Łączyło je jedno – biały orzeł w złotej koronie. Godło pojawiało się na każdej zbroi w wielu różnych wersjach, zgoła odmiennych od obecnej. A to na napierśniku był orzeł piastowski, kanciasty, wyklepany w blasze i pomalowany, a to na płaszczyku orzeł jagielloński, nieco bardziej anatomiczny, a to znów zupełnie niemal współczesny orzeł na czerwonej tarczy.

Źródło światła stanowiła zwykła elektryczna lampa piwniczna. Produkt zdecydowanie współczesny: druciana osłona i klosz kryły banalną żarówkę, taką z wolframowym żarnikiem, zbanowaną przez Unię Europejską. Zatem wytrzymała tu od czasów świetności firmy Polamp albo ktoś ją na bazarze w Nowym Targu od Ruskich kupił. Raczej to drugie. Przeciętny człowiek nie tak wyobraża sobie wnętrze góry, która powinna być zbudowana, jakże by inaczej, z litego kamienia.

Kabel od lampy prowadził w prawo do szerokiego korytarza. Jędrrek potknął się o kratkę, którą sam wywalił z otworu wentylacyjnego, gdy tu wpadał.

– *Sorry* za demolkę – powiedział, choć nikogo nie było, i podążył skalnym korytarzem.

Krótkie przejście doprowadziło go do sporej komory wypełnionej... maszynami parowymi. To było jeszcze dziwniejsze niż kolekcja zbroi. Co to, kozia bródka, jest...? Przepompownia jakaś? Po co w środku góry przepompownia? Chwilę zajęło, nim rozpoznał w maszynach charakterystyczne elementy.

Maszyn było dwanaście, a każda miała dwie potężne nogi, w korpusie piec i kocioł parowy, nad nim fotel operatora, obłożony płytami z grubej nitowanej blachy, masę dźwigienek i pokrętełek, do tego masywne ramiona, które po bliższych oględzinach okazały się wspornikami dla żeliwnych luf kartaczy.

Maszyny kroczące? Parowe mechy?

Jędrak przyglądał się jednej z nich z bliska. Miała, lekko licząc, z pięć metrów wysokości i musiała ważyć z dziesięć ton. Wyglądała na nieużywaną od lat, a może i nieużywaną nigdy. Towot na sworzniach w kolanach pokryła warstwa kurzu. Emaliowane wykończenie żeliwnej tarczy z orłem w koronie nosiło ślady drobniotkich pęknięć ze starości. Czy takie coś w ogóle ma prawo działać?

W ciemnym kącie, z dala od wejścia, leżały szczątki podobnej maszyny z rozłupanym pancierzem, spod którego wysypały się tryby i ośki. Pancierz ozdobiony był orłem dwugłowym i liczbą „1920”. Jędrkowi ten mutant z niczym się nie kojarzył. Wzruszył ramionami i przeszedł do następnej komory, jeszcze większej.

Tu również stało dwanaście mechów, tyle że za napęd służyły im silniki diesla. Maszyny również były stare, bo stylistyką panczerzy nawiązywały do traktorów Ursus, takich produkowanych zaraz po wojnie, z obłymi osłonami. Orzełki wymalowane centralnie na przodzie każdej maszyny wyglądały zupełnie wspólnie.

– Kozia bródka... – mruknął Jędrak i poszedł dalej.

Następna komora była jeszcze większa i lepiej oświetlona. Stało tu również dwanaście mechów. Te wyglądały całkiem nowocześnie, jakby czekały gotowe do zagrania w filmie *Transformers*. Pokryte maskowaniem leśnym płyty pancerne przywodziły na myśl fragmenty prototypowego czołgu przyszłości. Na głowach-wieżyczkach sterowały dalmierze laserowe, noktowizory, anteny systemów zagłuszania. Na grzbiecie jeżyły się zestawy rakiet przeciwlotniczych, zamiast dłoni ziały otworami luf karabiny systemu Gatlinga, a na barkach spoczywały wyrzutnie granatów dymnych.

Pancerz piersiowy jednego z monstrów był otwarty jak maska w samochodzie. W mechanicznych bebechach grzebał stojący na drabince koleś ubrany w dresy, czy też może w pizamę. Strój był osobliwy, ale Jędrak się tym nie przejął.

– Dzień dobry. – Szedł już w stronę mechanika. – Przepraszam, że tak wpadłem bez zaproszenia, ale wpadłem... dosłownie. Szukałem owieczki i ten... no właśnie. Gdzie jest wyjście?

Mechanik wycofał się z brzucha mecha i spojrzał na Jędrka ze zdziwieniem. Miał z siedemdziesiąt lat, siwą brodę i długie siwe włosy, które trzymała miedziana obręcz, jakby od wielkiego łożyska, co by mu te włosy nie przeszkadzały w pracy.

– Może mi pan wskazać wyjście? – ciągnął chłopak. – Pójdę sobie i nie będę się dłużej naprzykrzał.

Mechanik zszedł z drabinki i stanął naprzeciwko. Nie był specjalnie wysoki ani za solidnie zbudowany, ale miał w sobie coś majestatycznego, coś, co wzbudzało szacunek.

– Ja tak ten, niechący... – bąknął jeszcze Jędrak i stracił resztkę rezonu.

– Kto cię tu przywiódł? – zapytał mężczyzna.

– Co? Nikt, ja tak na autopilocie. Szukałem owieczki i nagle... wpadłem. Do tamtej sali. – Wskazał kciukiem za siebie. – Tam, gdzie stoją te zbroje.

– Znowu szyb wentylacyjny. – Mężczyzna pokiwał głową. – Cóż począć, teraz będę musiał cię zabić.

Minęło kilka chwil, nim do Jędrka dotarł sens ostatnich słów.

– Nie, nie, no zaraz. – Cofnął się i zamachał rękoma. – Nie działajmy pochopnie. Na pewno się dogadamy.

Dostrzegł, że to, co tamten ma na głowie, to nie jest obręcz od łożyska, lecz złota korona.

Czyli w środku góry mieszka świr.

– To sekretny obiekt o ogromnym znaczeniu strategicznym – mówił spokojnie gospodarz. – Wtargnąłeś tu bez gwałtu.

– Nie wtargnąłem! – zaprotestował Jędrak. – Zostałem wtargnięty przez grawitację. Ten sekretny obiekt ma poważną wadę konstrukcyjną. Taką, że można zostać do niego wtargniętym mimowolnie. I to właśnie się stało.

Gospodarz sięgnął za połą pizamy, która wcale nie była pizamą, lecz strojem rycerskim, jaki rycerz nosi, gdy nie ma na sobie zbroi, i z metalicznym szczękiem wyciągnął miecz.

– Ło Jezusicku... – Jędrak odwrócił się i ruszył biegiem przed siebie.

– Stój w miejscu, jak na mężczyznę przystało – gromkim głosem zawołał gospodarz. – Nie uchodzi przymuszanie króla do ganiań hultaja po komnatach.

Król, pięknie. *Freak* na całego. Z mieczem w dodatku.

Jędrak wbiegł do mniejszej komory, coś jakby składu amunicji. Piętrzyły się tu na regałach rakiety, pudła z nabojami, części zamienne do karabinów. Nic, co by mogło posłużyć do obrony przed tym wariatem.

To, że ze zbrojowni nie ma drugiego wyjścia, Jędrzek odkrył, gdy było za późno na cokolwiek. Król stał w progu z ostrzem wycelowanym w chłopaka. Spojrzenie miał przy tym tak obojętne, jakby przymierzał się do szatkowania marchewki. Zapewne więc mordowanie intruzów było dla niego czynnością nacechowaną podobnym ładunkiem emocjonalnym, co kłaśnięcie komara.

– Na... na pewno jest in... inne rozwiązanie – wydukał Jędrzek, siłąc się na spokój.

Król zmarszczył brwi. Rozważał jakąś myśl. Jędrzek czuł, jak po skroni ścieka mu zimna kropelka potu.

– Jest inne rozwiązanie – orzekł wreszcie król. – Ale to rozwiązanie niegodne prawdziwego mężczyzny.

– Ja bym mimo wszystko reflektowałem – odparł szybko Jędrzek. – A co to za rozwiązanie?

– Musiałbyś podpisać list poddańczy, że sekretu nie zdradzisz. Takie zobowiązanie, że nic nikomu nie powiesz. Ale przecież nie mogę ci tego zaproponować. To uwłaczające honorowi.

– Ja mimo wszystko jednak chętnie bardzo...

Król spojrział na niego badawczo.

– Jesteś pewien? – Zamachał mieczem. – Bo jak zdradzisz, to sromota!

– Sro... co?!

– Sromota, hańba. No, zawsze możemy sprawę załatwić teraz, honorowo. Szast, prast i będzie po wszystkim.

– Dziękuję, ale naprawdę list poddańczy brzmi jakby bardziej kusząco.

– Honor jest najcenniejszą rzeczą, jaką posiada mężczyzna. Splamić honor chcesz tylko dlatego, żeby przeżyć?

Tak, jasne, chciał powiedzieć Jędrzek, ale w porę ugryzł się w język. Ze świrem trzymającym miecz trzeba rozmawiać na jego zasadach.

– Rzecz jasna nie! W życiu! Po prostu poświęcę to, co mam najcenniejszego – powiedział z udawaną dumą. – Dla dobra sprawy złożę własny honor w ofierze.

Król opuścił miecz i zamyślił się ponownie.

– Azaliż nigdy o tym nie myślałem w ten sposób – przyznał. – Zaiste, młodzieńcze, chyłę czoło przed twym poświęceniem. – Skłonił głowę i schował miecz do pochwy. – Chodźmy do mego biura.

Jędrak ruszył za nim, starając się ukryć drzenie nóg. Z takimi oszołomonarchami nigdy nic nie wiadomo.

Szli przez wykute w skale korytarze, mijali kolejne sale. Jędrak znów poczuł zapach pieczeni. Zaburczało mu w brzuchu, ale rozsądnie uznał, że to nie jest najlepszy moment, by wpraszać się na obiad.

Biuro wyglądało jak kancelaria skryby zaprojektowana w czasach zaborów, gdy nie znano jeszcze nawet elektryczności. I być może naprawdę tak się stało, bo drewniane blaty stołów były tak powycierane od częstego używania, że aż zaokrągliły im się narożniki. Komputer wyglądał tu jak obiekt z innego świata.

Król kliknął kilka razy myszką i wpisał kilka słów na klawiaturze. Obsługiwał urządzenie nad wyraz sprawnie jak na kogoś, kto ubrdał sobie, że jest średniowiecznym władcą.

– Jak twa godność, młodzieńcze? – zapytał.

– No, prawdę mówiąc, nie najlepiej...

– Imię i nazwisko? – zapytał lekko zniecierpliwiony król.

– Jędrak... to znaczy Andrzej Gąsienica-Tutka.

Król wypełnił kilka pozycji w liście poddańczym i wcisnął przycisk „Drukuj”. Stojąca obok drukarka jednak ani drgnęła. Ponowna próba również się nie powiodła.

– Azaliż, młodzieńcze – król wyciągnął miecz – raduj się: los postanowił uratować twój honor.

– Zaraz... chwilunia... – Jędrrek zbladł.

– Wiem, że się starałeś. Doceniam to i respektuję. Pogrzeb wyprawimy ci ze wszelkimi honorami. Oczywiście potajemnie, co pewnie rozumiesz.

– Nie, nie, nie! Ja naprawdę bardzo chciałbym się poświęcić!

– Będziesz spoczywał w doborowym towarzystwie, pomiędzy dwoma magistrami marketingu, co w przeszłym roku tu zawitali.

– Może... – Jędrrek rozpaczliwie patrzył na drukarkę – ... może wystarczy zaktualizować sterownik?

– Twa determinacja jest godna pochwały. – Król skinął głową, uniósł miecz, ale nie uderzył. I nagle pewna olśniewająca myśl rozjaśniła mu oblicze. – Znasz się na tym?

– Jasne! – Jędrrek dopadł do komputera i zaczął nerwowo klikać. W kilka chwil znalazł przyczynę awarii. – Domyślnie była ustawiona inna drukarka. Już drukuję!

Urządzenie zaszumiało i wypluło upragniony dokument. Jędrrek podpisał go pospiesznie i wręczył królowi. Ten wolno schował miecz i odłożył list poddańczy na stos podobnych dokumentów. Nic nie powiedział, tylko przypatrywał się badawczo chłopakowi.

– Czyli mogę sobie iść? – upewnił się Jędrrek. – Formalności już dopełnione?

– Mam dla ciebie pewną propozycję – odezwał się król. – Tyś informatyk, widzę to jasno. A ja właśnie informatyka potrzebuję.

– Taaak...? – Jędrrek marzył tylko o jednym – o wyjściu na powierzchnię.

– Jak wiesz, wraz z dwunastoma śpiącymi rycerzami czekam na ten czas, gdy Rzeczypospolita będzie nas potrzebowała. Wtedy rycerze powstaną i ruszą w bój ratować ojczyznę swą miłą.

Oj, to przespaliście dwie wojny światowe, pomyślał Jędrrek. Świr jest większym świrem, niż sądziłem, kozia bródka. Jak stąd wyjść?

– Na pewno znasz tę legendę... – Król zawiesił głos.

– Tak, jasne. – Chłopak przytaknął gorliwie. Przytakiwanie jest najlepszą strategią w kontaktach z szaleńcami. – Tak, tylko coś mi się wydaje, że was tu więcej miało być.

– To już wiesz teraz, że to nie jest legenda, lecz prawda samiuśka – ciągnął król. – Stale modernizuję nasz arsenał, bo w dzisiejszych czasach miecz nie starcza, niewiele się nim zwojuje. Właśnie kończę remonta okresowe najnowszych meków bojowych. Jakość sprzętu jest bez zarzutu. Jedyne, co mnie martwi, to czynnik ludzki. Z tym jest u nas źle, a wręcz fatalnie. Zapewne zastanawiasz się, co robili rycerze we wrześniu roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego?

– Nie, nie. Choć w sumie... tak mi coś przemknęło przez myśl – przyznał Jędrrek.

– Pójdź za mną, coś ci ukażę.

Wyszli na skalny korytarz. Jędrrek zastanawiał się, czy by jednak nie czmychnąć. Niestety nie znał rozkładu tego podziemnego labiryntu i coś mu podpowiadało, że król by się poważnie wkurzył. Zapach pieczeni stawał się tymczasem coraz intensywniejszy, a wkrótce dołączyły do niego odgłosy rozmów i brzęk naczyń. Słowem – impreza.

Król skręcił w odnogę korytarza i zatrzymał się w wejściu do owalnej komnaty, która wyglądała na powstałą w sposób naturalny. W świetle ogniska oczom Jędrka ukazał się obraz imprezy istic epickiej, choć już w fazie zdecydowanie schyłkowej. Na skórach, rozłożonych na ławach i skalnych półkach, siedzieli bądź leżeli mężowie w niekompletnych strojach. Rozmawiali podniesionymi

głosami, wspominając stare bitwy. Pili z dzbanów, nie zawracając sobie głowy napełnianiem rogów. Ktoś spał, ktoś tańczył w świetle płomieni, z ciemniejszego kąta dobiegały dziewczęce śmiechy i chichy. Dwóch rycerzy symulowało pojedynkę na łyżkę wazową i nogę od stołka, a największym wyzwaniem było dla nich utrzymanie się na nogach.

Jędrak nie liczył rycerzy, więc musiał uwierzyć, że łącznie jest ich dwunastu. Pytanie tylko, czy określenie „rycerze” nadal pasowało do tych opojów.

Nad ogniem na ruszcie piekło się jagnię i to jego zapach niósł się korytarzami. Sens tego spostrzeżenia dotarł do Jędrka dopiero po chwili. Kozia bródka! Piekli około jednej jego owcy! W tym momencie groźba ojcowskiej awantury nie wydawała mu się jednak jakoś szczególnie przerażająca.

Król klepnął chłopaka w ramię i obaj wycofali się do głównego korytarza.

– I co powiesz na ich zdolność bojową? – zapytał monarcha.

– Nie jestem fachowcem – odparł uprzejmie Jędrak, po czym dodał nieco tylko mniej uprzejmie – ale można odnieść wrażenie, że ich zdolność bojowa jest raczej znikomą. Czy w trzydziestym dziewiątym...?

– Dobrze myślisz, młodzieńcze. Pierwszego września rycerze moi legli napruci jako te messerschmitty. – Skinął ręką, by chłopak szedł za nim. – Od dawna słuchy chodziły, że coś się szykuje. Żądanie wyznaczenia korytarza do Gdańska i kilka podobnych tematów... no, pewnie to pamiętasz ze szkolnej ławy. Tylko ostatni gamoń by się nie zorientował, na co się zanosí. Rozpocząłem zatem procedurę wybudzenia z miesięcznym wyprzedzeniem, aby czasu starczyło na podszkolenie i krótki trening kondycyjny. Wszystko było gotowe, aż tu nagle trzydziestego pierwszego sierpnia zastałem obraz taki, jaki i ty przed chwilą widziałeś.



Przylazł jakiś Szkop i schlał ich do nieprzytomności reńskim winem.

Skrećili w węższy korytarz i wykutymi w skale schodami zeszli głębiej, bliżej zimnego serca góry. Temperatura spadła na tyle, że Jędrzek zaczął dygotać. Komora, do której dotarli, nie miała sztucznego oświetlenia. Delikatnym, niebieskawym blaskiem świeciły tu górskie kryształki, rosnące na ścianach i sklepieniu. W dole szemrał podziemny strumień. Wypływał ze ściany, obmywał dwanaście kamiennych sarkofagów i znikał w ścianie z przeciwnej strony.

– Nie jest to, młodzieńcze, komora kriogeniczna z prawdziwego zdarzenia – wyjaśnił król. – Sen rycerzy polega raczej na zwolnionym metabolizmie. Zaledwie kilka uderzeń serca na minutę. Rok cały półtora stopnia Celsjusza tu mamy.

– A ty, królu, nie musisz wchodzić w tryb uśpienia? – zapytał Jędrzek, zanim przypomniał sobie, że miał się ograniczać do przytakiwania.

– Ja – wyznał król – jestem nieśmiertelny.

– Aha.

– Problem to jest poważny, bo rycerze przez ten spowolniony metabolizm mają niską tolerancję na trunki mocne. Kac trwa u nich tygodniami. W trzydziestym dziewiątym, gdy już ich prawie docuciłem, Warszawa była okrażona. Siedemnastego września mieliśmy wyruszać z odsieczą. Przychodzę po tych ochlapusów z mapami taktycznymi w dłoni i *Bogurodzicą* na ustach, a tam scena jeszcze gorsza niż poprzednio. Wszędzie tylko puste butle po ruskim samogonie.

– Moglibyśmy już stąd wyjść? – Jędrzek szcząkał zębami.

Król łaskawie skinął głową. Rozpoczęli wspinaczkę po wielkich stopniach.

– To nie był ani pierwszy, ani raz ostatni – kontynuował gospodarz. – Słyszałeś, młodzieńcze, że historia lubi się powtarzać? Zawsze wróg Rzeczypospolitej znajdował drogę do śpiących rycerzy i podstępem podtykał im napój wyskokowy. Pomóc nie mogła ani kłódki, ani zamki kodowe, kiedy oni sami chętni do hulanki i swawoli. W grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego po raz pierwszy z gorzałką zakradł się tu Polak.

Jędrak z ulgą wszedł do głównego korytarza, gdzie było znacznie cieplej.

– A teraz kto im uczynił tę porotę? – Wskazał w stronę imprezowni.

– Teraz sami sobie to czynią. – Król machnęła ręką. – Od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu biesiadują i chędożą.

– Czyli przeszli w tryb ciągły imprezowy. A do czego jest ci potrzebny, królu, informatyk? – Jędrak czuł się już trochę bezpieczniej.

– Zaraz do tego dojdę. – Król zatrzymał się przy solidnych drzwiach wmurowanych w ścianę. Odwiązał od pasa wielki klucz, włożył go w zamek i przekręcił trzy razy w prawo, dwa razy w lewo i... zerknął czujnie na Jędrka. – Jeśli poznasz kombinację, będę musiał cię zabić.

– Spoko, nie patrzę. – Jędrak uniósł dłonie w geście „co złego, to nie ja” i odwrócił się.

Drzwi ze skrzypieniem otworzyły się, odsłaniając... skarbiec. Dosłownie skarbiec. Skarbiec jak z filmów o piratach bądź rozbójnikach. Ze skrzyń wysypywały się złote monety i kamienie szlachetne, na stosach leżała biżuteria, po podłodze walały się srebrne dzbany.

Jędrka zatkało.

– Drogocenny kruszec... – Król podniósł złotą bransoletę i odrzucił w kąt. – Jeśli rzeknę „kruszec”, mam na myśli

mało wytrzymały materiał, prawda? A przecież o to się rozchodzi, aby się nam ten materiał nie pokruszył. Niech się ugnie, a jeszcze lepiej niech zaspężynuje, lecz niech się, na Boga, nie kruszy. Złoto jest do rzyci, muszę się go pozbyć. Stal węglowa ma lepsze parametry. Metalurgia, coś ci to mówi? Kevlar też miejscami jest wskazany. Oczekuję teraz na dostawę pancerzy grafenowych. Jak widzisz, funduszy mi nie brakuje, sprzęt też jest najwyższej próby. I tylko personel szwankuje. I tu pojawia się zadanie dla informatyka. Trzeba mechy przerobić, autonomiczność ich zwiększyć.

– Czy chodzi o zaprogramowanie czegoś w stylu ABS?
– Jędrek nie mógł oderwać wzroku od złota. – O takie rozwiązania, które pozwolą kompensować stan upojenia bądź skacowania operatora? Taka obsługa błędów i wypażeń na poziomie asemblera? Implementacja pijackiej gestykulacji do interpretera skryptu stylu walki pijanego mecha?

– Niezupełnie, młodzieńcze. Takie dictum przygotował mi już kupiec, com go w internetach zoczył, imię Twardowski. Może znasz to indywiduum? Srodze sfuszrował, bo cały jego wysiłek poszedł w zabezpieczenie mechów przed prowadzeniem pod wpływem. W efekcie nigdy nie dawały się uruchomić, bo rycerze wciąż natrąbieni byli. Nie, takie półśrodki mnie nie zadowolą. Moczymordy te nędzne zawały sprawę tyle już razy, że nie dam im kolejnej po temu sposobności. Wywalimy z mechów siedziska i wstawimy komputerowe matryce zarządzane przez inteligencję sztuczną. Chcę ja mieć roboty zamiast rycerzy.

– Ro... roboty? – jęknął zdziwiony Jędrek. Skąd król znał te wszystkie...

– Tak, chcę mieć e-rycerzy.

– Jakich znowu erycerzy?

– To skrót od elektrycerzy. Lema żeś nie czytał, hultaju?

Jędrak cały czas gapił się na skarby. Cóż z tego, że wariat? Cóż z tego, że uważa się za króla? Jeśli ma pieniądze, warto się pochylić nad sprawą.

– Tak się składa, że właśnie zbieram kasę na studia informatyczne... – przyznał.

– Jeśli wykonasz me zlecenie, zakupisz sobie cały Uniwersytet Jagielloński. Cóż zatem, przyjmujesz tę pracę? Płacę złotem.

Król wyciągnął dłoń, a Jędrak wahał się mniej niż sekundę. Radośnie ucisnął królewską prawicę i entuzjastycznie pokiwał głową.

– Zatem umowa stoi. – Król uśmiechnął się szeroko. – Jeżeli ci się powiedzie, mianuję cię na rycerza. Ale pamiętaj... jeśli zawalisz zlecenie, będę cię musiał zabić.

Gdy Jędrak wrócił na halę, robiło się już ciemno. Gwizdnął na Bocusia, żeby ten zagonił owce do koszar. Policzył je i wcale go nie zmartwiło, że niezmiennie było ich około dziewięćdziesięciu dziewięciu. Nie bał się ojca, nie martwił się, że będzie tu tkwił do niedzieli. Bał. W najbliższych dniach zamierzał przytachać tutaj część niezbędnego sprzętu i zamienić szałas w małą pracownię informatyczną. Nikt mu nie będzie zawracał tu głowy, a Józek tylko się ucieszy, że ma więcej czasu na wszystkie Baški i Halinki Podhala.

Spokój w pracy informatyka jest bardzo ważny, a owce są przecież bezobsługowe. I nic się nie stanie, nawet jeśli za kilka dni będzie ich około dziewięćdziesięciu ośmiu. Rycerze rezerwiści też muszą coś jeść, by być w formie.

Jeszcze kiedyś mogą się przydać. Rycerz to zawsze rycerz – nie padnie w nim dysk, nie zwiesi się system.

Tego oczywiście Jędrak nie zamierzał mówić królowi. Za to już snuł wielkie plany stworzenia tu Doliny Kondratowo-Krzemowej. Bo był, kozia bródka, patriotą.

Tej jesieni w dolinkach oddalonych od szlaków turystycznych zaczęto widywać osobliwe stwory. „Tygodnik Podhalański” nazwał je mechanicznymi niedźwiedziami. Stwory te jakoby ćwiczyły fechtunek wspomagany laserowo, a jak się poważnie zezłościły, to i rakietę ziemiapowietrze potrafiły odpalić. Nikt nie traktował tych bujd poważnie, ale turyści na wszelki wypadek zaczęli wykazywać większą dyscyplinę w trzymaniu się szlaków.

Po Bożym Narodzeniu na giełdę weszła nieznana nikomu wcześniej firma informatyczna Giewontex, a w małej wsi pod Zakopanem wyrósł okazały biurowiec w stylu zakopiańskim. Prezes firmy, Andrzej Gąsienica-Tutka, powtarzał w każdym wywiadzie, że nie zamierza przenieść siedziby firmy. Jest góralek i zawsze czuł się związany z Podhalem.

Nikt tylko nie wiedział, czemu w jego gabinecie na centralnym miejscu wisi lśniący złotem rycerski miecz.

Warszawa–Kraków 2015

Robert M. Wegner
Milczenie owcy

inspirowane legendą *Smok wawelski*

– Dzień dobry, dzieci.

– Dzień doooooobry paaaani!!!

Pani Marysia uśmiechnęła się mimowolnie. Wczoraj rozmawiała o tym z Goską, postęp nie postęp, a gromada maluchów zawsze zaczyna dzień tak samo. Przeciąganie samogłosek i wzajemne przekrzykiwanie się, kto głośniej i z większym entuzjazmem przywita wychowawczynię. Odkąd sięgała pamięcią, nic się nie zmieniło.

– Dzień dobry – powtórzyła i od razu uniosła rękę. – Nie. Nie odpowiadajcie już. Proszę, usiądźcie na dywanie.

Chwilę trwało, nim dzieci zajęły miejsca. Wykorzystała to, by przysunąć sobie fotel i założyć gogle. Nie przepadała za nimi, ten model był dwa razy większy i cięższy niż te, które miała w domu, a na dodatek szybkość łącza wołała o pomstę do nieba.

Na dywanie połowa dzieciaków siedziała już z okularami na nosach. Wirtualne przedszkole w pełnej krasie.

– Dobrze. Krzyś, Michał, Ola, przestańcie rozmawiać i załóżcie gogle. Reszta też. Za minutkę wchodzimy do Lasu Bajek. Przygotujcie się i... Olu, Olu, popatrz na mnie.

Pamiętasz, że nie wolno biegać? Gogle wyłączą się, jeśli wstaniesz albo się przesuniesz. Pamiętasz?

– Tak, proszę pani.

– Dobrze.

Usadowiła się wygodniej i włączyła sprzęt. Ściany sali zafalowały i rozwiały się, a po chwili cała grupa siedziała na trawie, pośrodku wielkiej polany. Drzewa wokół szumiały cichutko, ptaki śpiewały, a gdzieś z lewej strony szemrał strumień.

– Dobrze, kochani. Przypominam zasady bezpieczeństwa. Nadal jesteśmy w sali, gdzie są meble, ściany i parapety, więc wasze gogle mają włączone zabezpieczenia. Jeśli wstaniecie, wyłączą się. Rozumiecie?

– Taaaak.

Co prawda odwiedzali serwer z bajkami co najmniej raz w tygodniu, ale nie zaszkodzi przypomnieć o zasadach. Pierwsze modele gogli dla dzieci nie miały autowylączników, co skończyło się sporą liczbą siniaków, gdy maluchy, skuszone wirtualnymi światami, zapominały, że to tylko złudzenie generowane przez komputer. Do siniaków zresztą dołączyło szybko kilka głośnych procesów, gdy rodzice zaczęli się domagać odszkodowań.

W lewym górnym rogu jej pola widzenia pojawiła się ikonka pilnego przywołania, która po sekundzie rozrosła się w mały, wewnętrzny ekranik. Gośka miała cudowny wręcz talent do dzwonienia w nieodpowiednich momentach.

– Cześć, Marysiu. Jesteś w pracy?

Przełączyła się na mikrofon osobisty i ściszyła głos lektora. Dzieci na razie siedziały jeszcze spokojnie.

– Tak. Puszczam im bajkę.

– Jaką?

– Zgadnij?

Podkreślone czarnym ołówkiem brwi powędrowały w górę.

– Naprawdę? Znowu?

– Chyba nigdy im się to nie znudzi. Zresztą sama posłuchaj. – Przełączyła się na kanał ogólny. – Dzieci, jaką bajkę chcecie dziś obejrzeć?

– O smoku!

– Smoooooku!!!

– I Janku!

– I owieczce!

– Taaaaaaak!!!

– Widzisz. Od miesiąca to samo. No dobrze. Zaczynamy oglądać bajkę o smoku wawelskim.

Wirtualny świat już się przesuwał, zabierając grupę na skraj lasu. Na wzgórzu, odległym o kilkaset metrów, pysznił się zamek, ozdobiony jak należy zębatymi blankami i strzelistymi wieżyczkami, a u jego podnóża, na łące, hasało stado śnieżnobiałych owieczek.

Jedna zastrzygła uszami, uniosła łebek i wlepiła wzrok w grupkę dzieci.

– No ładna ta owieczka. – Gośka nie rozłączyła się jeszcze, jakby na coś czekała. Uśmiechnęła się kpiąco. – Ale ta, którą zrobił Janek, była ładniejsza. Pamiętasz?

– Aktywacja systemu – start –

– Połączenie lokalne – brak –

– Połączenie globalne – GPS –

– Sekwencja rozruchowa – start –

– Sprawdzenie systemu – rozpoczęte –

– Sprawdzenie systemu – zakończone –

– Aktywacja systemu – zakończona –

Stoję na bruku.

Pojawia się komunikat o wykonaniu sekwencji rozruchowej, przyjmuję do wiadomości i omiatam kamerami okolice. Analiza otoczenia. Wszędzie walają się śmieci, puste opakowania po jedzeniu, puszki, plastikowe butelki, laptop z pękniętą matrycą, wybebeszony fotel, prezentujący gąbczasto-sprężynowe trzewia. Lokalizuję położenie przez GPS. Krakowskie Sukiennice. Wokół, ze stopami w diamentowej kaszy potłuczonych szyb, stoją smutne budynki. Wyglądają jak gromada zapłakanych starych kobiet.

Analiza.

Zestaw porównań lingwistycznych nieadekwatny do sytuacji. Próba ujęcia w struktury znaczeniowo-emocjonalne danych wizualnych.

Błąd systemu.

Błąd systemu?

Niepewność. Brak odpowiedzi. Nie zero – jeden, tak – nie, ruch – stop.

Kim jestem?

Pamięć.

Ruch. Cel.

Mechaniczny skorpion przemyka wzdłuż ściany, jego osiem nóg porusza się tak szybko, że wygląda, jakby unosił się na poduszce powietrznej. Segmentowany ogon zawija się nad pancernym tułowiem w wyzywającym geście. Zdobiący go palnik plazmowy syczy i sypie iskrami. Szczypce rozwierają się szerzej, gdy robot zabójca skręca nagle i rusza do ataku.

Analiza – ogon skorpiona nie może się wygiąć w stronę podbrzusza. To logiczne, przypadkowe muśnięcie palnikiem mogłoby go pozabawić połowy nóg.

Ustalenie schematów taktycznych.

Kontratak.

Naprzód! Wyskok w górę, napastnik również skacze, zamierzając przeciąć moją trajektorię, jego plazmowe ostrze cofa się nieco, szykując się do ataku, a wtedy nic monobiałkowej przedzy wyrzucona z odwołku zatrzymuje mnie w powietrzu. Obracam się na plecy i walę na ziemię. Skorpion spada zaraz za mną, jego osiem nóg kontra moje osiem, mechaniczne stawy i siłowniki napędzane tkanką pseudomięśniową walczą ze sobą, wygra ten, kto szybciej schwyta i obezwładni wroga.

Wyginam tułów i używam swojej głównej broni. Mocniejsza niż stal, oparta o białka tworzące pajęczą nic przedza oplata odnoża robota, klei się do nich, pęta. Molekularny klej nie wchodzi w reakcję z powłoką mojego pancerza, trzymam więc przeciwnika bez obawy, że obaj zostaniemy unieruchomieni. To oznaczałoby remis, a remis równa się porażce.

Po chwili skorpion przestaje się miotać, jego nogi i szczypcę pokrywa gruba na pół centymetra warstwa nici. Na linie o takiej średnicy można by zawiesić czołg.

Zacinam się na chwilę przy tym porównaniu, dziwnym, obrazowo-nielogicznym, nieniosącym precyzyjnych informacji o wytrzymałości samej przedzy. Z pewnością w tamtych chwilach nie towarzyszyły mi tak absurdalne skojarzenia.

Pozostał jeszcze ogon.

Wyślizguję się spod wroga, łapię za końcówkę skorpioniego ogona i kieruję palnik w stronę jego własnego grzbietu, a gdy zgodnie z protokołem bezpieczeństwa gasi błękitny płomień, przytwierdzam mu broń do pleców w taki sposób, że jeśli znów ją uruchomi, sam wypali sobie główny procesor.

Ostrożnie podnoszę spletanego skorpiona dwoma parami przednich odnóży i obracając się wokół, szukam odpowiedniej twarzy.

Analiza porównawcza. Jest. On.

Janek.

Mój Pan.

Uśmiecha się. Podaje rękę innemu człowiekowi, ktoś klepie go po plecach. Moje mikrofony ustawione są na niewłaściwą częstotliwość, więc nie słyszę słów. Kładę wroga u stóp Pana.

Analiza taktyczna – koniec zadania.

Analiza pamięciowa – jestem PAJĘCZOR?

Przeoglądanie tego wspomnienia zajmuje mi jeden koma dwie dziesiąte sekundy. Mrugam oczyma, pochylam głowę i zerkam na górne odnóża. Błąd informacyjny. Ich wygląd nie pasuje do wzorca zapisanego w pamięci.

Już nie jestem „PAJĘCZOREM”.

W wirtualnej krainie smok siał terror i strach. Latał, porywał rogaciznę i nierogaciznę oraz ziejąc ogniem, podpalał to i owo. Wszystko oczywiście zgodnie z wytycznymi o bajkach dla dzieci w wieku od czterech do siedmiu lat. Żadnej krwi, żadnej bezpośredniej przemocy, porywane w powietrze owieczki robiły głupie i zaskoczone miny, po czym znikaly w smoczej jaskini, a podpalone budynki gaszono jednym wiadrem wody.

– A pamiętasz, jak to było naprawdę?

Twarz Gośki na powierzchni gogli zastąpiła seria obrazków. Strona z dziennika – „KRAKÓW W NIEBEZPIECZEŃSTWIE!” – i druga, z dwukolorowym, czarno-czerwonym tytułem: „KTO STOI ZA PORWANIAMI NASZYCH DZIEWCZĄT?!”. Następna grafika przedstawiała zdjęcie zdezorientowanego policjanta i wiele mówiący komentarz: „TWARZ BEZRADNOŚCI”.

– Po co mi to pokazujesz?

– Bo ja po prośbie dzwonię. Moja Basia ma na przyszły tydzień napisać referat o Janku i jego, hm, owieczce. Wiesz, lokalny bohater, genialny dzieciak ratujący miasto...

Kolejne obrazki migały stronami z Twittera i Facebooka. Ostatni zatrzymał się na fanpage’u opatrzonym zdjęciem latającej maszyny z nazwą „апахон” wymalowaną na burcie. „Niechaj żyje nam ten rok, bo na Wawel wrócił SMOK!”. Jeśli dobrze pamiętała, od tego się zaczęło – potem już nikt nie mówił o nim inaczej niż jak o smoku i jego „księżniczkach”.

– Wyłącz to, proszę. Niby jak mogę ci pomóc?

– No bo wiesz... sama mówiłaś, że ten Janek chodził wcześniej do twojego przedszkola...

– A wiesz, ile lat minęło?

Gośka wzruszyła ramionami i zmarszczyła brwi w znajomym grymasie. No tak. Ta jak się uprze...

– No cóż mogę ci powiedzieć? Nic nie zapowiadało, że zostanie szkolnym kujonem. Był bardzo radosnym dzieckiem.

Otrzymuję sygnał o grożącym niebezpieczeństwie i wykonuję unik.

Strumień gorącego powietrza uderza w bruk, resztki szyb w szczerbatych oknach drżą strachliwie, śmieci unoszą się w górę, wirują w jakimś opętańczym tańcu.

„Strachliwie”? „Opętańczy”?

Niewłaściwe sformułowania. Analiza trajektorii papierowych toreb, nieaktualnych gazet i zużytych opakowań po żywności powinna zawierać dane na temat możliwości wykorzystania ich jako zasłony przed czujnikami wroga ewentualnie dostarczyć informacji o masie i prędkości lądującego właśnie obiektu. Określenie „opętańczy” nie

niesie ze sobą żadnej praktycznej wiedzy. Kolejna struktura znaczeniowo-emocjonalna wywodząca się z mitologiczno-religijnej warstwy języka. Mity i emocje nie powinny mieć dla mnie żadnego znaczenia.

Nie?

Wspominam... „radość”.

Tańczę. Kręcę się i wiruję, objam o różne przedmioty i zmieniając kierunek, pędzę dalej. Z czujników mam tylko GPS i zestaw bezwładnościowy. Na podstawie liczby odbić, kierunku oraz prędkości poruszania się mam stworzyć mapę pomieszczenia, a potem przebyć go z północy na południe i ze wschodu na zachód tak, by więcej nie uderzyć w żaden obiekt. Ale są ograniczenia. Istnieje limit czasu na wykonanie zadania, a każde odbicie powoduje chwilowe zakłócenia w żyroskopie, spadek od pół do półtora procenta dostępnej energii oraz pojawienie się losowych błędów w pamięci. W wyniku czego następuje także obniżenie dokładności uzyskiwanych informacji. Muszę, zwłaszcza na początku, ustalić właściwą strategię.

Im szybciej zacznę się poruszać, tym mocniej będę uderzać o przeszkody, stracę więcej energii, a kumulujące się błędy mogą uniemożliwić mi poprawne wykonanie zadania. Lecz jeśli ruszę wolno, może mi się skończyć czas, nim wykonam zadanie. A wtedy czeka mnie coś... nieprzyjemnego. W bazie danych nie mam lepszego określenia na to, co się wtedy ze mną dzieje. Tracę łączność z GPS, czujniki bezwładnościowe nie przekazują żadnych informacji, jest tylko... nicość.

Nie. To nie tak. Te pojęcia – „nieprzyjemne”, „nicość”, są nowe. Wtedy z pewnością nie znajdowały się w moim banku pamięci, bo istniały tylko ruch i nauka, jak unikać niepowodzeń. A jednak nie mam lepszych na określenie stanu, którym kończyło się niepowodzenie misji.

Tańczę.

A w miarę jak kolejne zderzenia informują mnie o położeniu przeszkód, poruszam się coraz płynniej. Jeśli wykonam zadanie, nie będzie odłączania od czujników i wymuszonego bezruchu, z wyjątkiem powrotu do gniazda, by podładować akumulator.

Będzie istniała możliwość swobodnego toczenia się, a to stanowi kwintesencję mojego istnienia. Taki taniec daje mi najczystsza, najpierwotniejszą radość.

Bo jestem... KULA?

Śmieci podniesione podmuchem zamierają w tańcu, a z tumanu kurzu wyłania się olbrzymi pojazd. Ignoruję to na razie, usiłując poradzić sobie z kolejną porcją niezrozumiałych danych. KULA? Znam definicję kuli jako bryły, ale moje ciało zupełnie do niej nie pasuje. Teraz to nieważne. Przyglądam się statkowi.

Na jego burcie widzę napis „SMOK” w języku rosyjskim. Pamiętam ten statek, wspomnienia są bolesne i chaotyczne, czai się za nimi agresja i poczucie straty. Sięgam głębiej, do danych pobranych z sieci. Masa, opancerzenie, uzbrojenie jednostki są owiane tajemnicą, nikt nie wie, co właściwie ten potwór potrafi. Krótkie filmy, większość nagrana z ręki, komórkami i tabletami, pokazują manewry sugerujące, że maszyna ma gigantyczny zapas mocy, a siłą ognia dorównuje średniej wielkości niszczycielowi.

Przeoglądam szybko jedyny wojskowy dokument, który trafił do internetu, kamera zamontowana w kasku pilota myśliwca pokazuje moment odpalenia w stronę SMOKA rakiet, błysk laserów, które zamieniają te rakiety w kule ognia, i wyglądający jak nanizany na jedną nić sznur pocisków z działka, lecący w stronę kabiny odrzutowca. Potem chwila zakłóceń – i czas spadochronu nad

głową, a w samym rogu obrazu fragment smoczego pojazdu robiącego nawrót.

Te dane są cenne. Pokazują rozmieszczenie działek i laserów, dzięki czemu teraz wiem, że jestem w martwej strefie obrony statku. W powietrzu SMOK wykonuje zawsze kolejne zwroty i przechyły, by pokryć ogniem wszystko wokół, stojąc na ziemi, nie może tego zrobić. Istnieje szansa, by błyskawicznie przepęłznąć dołem, dostać się do szczeliny, skąd wysuwa się podwozie, i...

Stop.

Spoglądam jeszcze raz na swoje przednie kończyny, poruszam lekko ciałem. Znow nic nie pasuje do wspomnień.

Dzieciaki chłoną bajkę tak, jak tylko pięciolatki potrafią. Dosłownie z otwartymi buziami. Oglądały ją już przynajmniej kilkanaście razy, ale nadal nie wyglądają na znudzone. Może dlatego, że Las Bajek za każdym razem nieco modyfikuje historię, smok był już zielony, czerwony, brązowy, a teraz jest czarny, owce czasem porażały białą runą, kiedy indziej były żółte, szare albo niebieskie, natomiast rycerze pędzący w stronę bestii raz galopowali konno, innym razem strzelali do niej z wielkich machin, a niekiedy po prostu biegli do ataku, wymachując karykaturalnie wielkimi mieczami. Tak jak teraz.

Gośka zezuje lekko w bok i uśmiecha się. Ten uśmiech budzi paskudne podejrzenie.

– Czy ty mnie podglądasz?

Uśmiech koleżanki staje się lekko zakłopotany.

– No wiesz, moja Lilka tu chodzi, a ja jestem w Radzie Rodziców, więc mam prawo nadzorować dobór materiałów edukacyjnych...



– I przeszkadzać w zajęciach prywatnymi sprawami?

W baśniowej krainie oddział rycerzy dopadł właśnie smoka. Na chwilę, zgodnie z ustawą o ograniczeniu przemocy, wszystko przesłonił tuman kurzu.

Gośka mruga porozumiewawczo.

– A pamiętasz to?

Ekran Marii wypełnia zrzut z fanpage’u pod buńczuczny tytułem „Smoku kochany, weźmiem cię na glany”. Ponad osiemnaście tysięcy lajków i zdjęcia uśmiechniętych, ogolonych na łyso młodzieńców, uzbrojonych w kije bejsbolowe i gazrurki. I krótki filmik kręcony z ręki, przedstawiający tych samych chłopaków pędzących w panice ulicą i rzucających swoją broń na ziemię. A za nimi on, Smok – bo już nikt nie nazywał go inaczej.

Zupełnie jak ci animowani rycerze, uciekający właśnie w stronę zamku.

Teraz już można się śmiać z takich rzeczy, ale wtedy nikomu do śmiechu nie było.

– No to jaki jeszcze był ten Janek?

– Jaki? Lubił wyzwania. I lubił się uczyć nowych rzeczy. Ale był też taki jakiś...

– No, no?

– Sama nie wiem. Dziwny?

Otrzymuję zadanie – wspiąć się na drzewo, następnie po gałęzi dotrzeć na dach szopy i zsunąć się po rynnie na ziemię. Sterowanie komendami głosowymi. Poruszam się tuż nad ziemią, moje oczy („oczy” – skąd takie określenie?) mają niewielkie pole widzenia, a teren porasta gęsta trawa, więc co kilka metrów unoszę przednią część ciała, omiatam okolice wzrokiem. Resztę danych dostarczają mi czujniki nacisku. Dziesiątki kolców

porastają moje długie i wąskie ciało, pełniąc funkcje sensorów, wspomagaczy ruchu i systemu obronnego.

Tak jak teraz.

Obiekt wypada zza rogu i zbliża się, wydając głośne dźwięki. Znam to. Już się z nim spotkałem. Zwijam się w ciasny węzeł, chowając głowę z delikatnymi kamerami, i stroszę kolce. Napastnik – pies – doskakuje, uderza we mnie, czujniki informują o sile około piętnastu kilogramów na decymetr kwadratowy, i odskakuje. Częstotliwość wydawanych przez niego dźwięków rośnie cztery razy, a ich źródło oddala się.

– Widziałeś? Ale spieprzał!

– Widziałem. Głupi pies, nigdy się nie nauczy. WAŻ – status.

Rozpoznaję głos i komendę, więc unoszę górną część ciała i kołyszę się w przód i w tył. Moje „oczy” mają niską rozdzielczość, ale widzę, jak Pan kiwa głową.

– Dobrze. Zmiana planów. Omiń tamtą oponę, przepętlnij przez zieloną rurę, odnajdź piłkę i przytocz ją do mnie.

Lokalizuję obiekty, do których pasuje określenie „opona”, „zielona rura” i „piłka”. Porównuję komendy głosowe z terabajtową bazą danych pamięci wewnętrznej. Człowiek towarzyszący Panu mówi:

– No way, stary, nie zrozumie.

Ten człowiek ma zerowy priorytet posłuszeństwa. Mogę go zignorować, ale po nim odzywa się Pan, więc słucham.

– Widziałeś te nowe żelowe procki? Płynna architektura, miśku. Od miesiąca uczę go rozpoznawania komend głosowych i obiektów. Robi szybkie postępy.

– Nieźle. Powinieneś założyć takie do reszty.

– Założyłem już Pajęczorowi i Kuli. Następny będzie Dino i Droid. Raptor dostanie dwa najnowsze.

– Nooo, wykosztujesz się.

– Trochę. Da się przeżyć.

Program przystosowania się do komend głosowych obejmuje analizę tembru głosu, szybkości i głośności mówienia. Okrążając oponę i zmierzając w kierunku leżącej za nią zielonej rury, nagrywam i archiwizuję całą rozmowę. Przed wpełnieniem do środka unoszę ciało, jeszcze raz lokalizuję piłkę. Wsuwam się w ciemny otwór.

– Zatrzymaj go.

– Co?

– Zatrzymaj.

– WAŻ – stop.

Zatrzymuję się, a czujniki przekazują serię mikrodrgań gruntu. Kroki. Ktoś podbiega, przystaje, biegnie znów.

– Dobra, puść go. Zobaczymy, co zrobi.

– WAŻ – kontynuuj.

Wypełzam z rury i kieruję się w stronę, gdzie leżała piłka.

Błąd.

Unoszę ciało, porównując widok z zapisanymi danymi.

Piłki nie ma.

Znikła.

Usiłuję dopasować błąd do posiadanych wzorców. Pierwszy – skierowałem kamerę w złą stronę, drugi – awaria pamięci. Sprawdzam. Widok otoczenia jest poprawny, status karty pamięci – poprawny.

Zastygam.

– Zawiesił się, widzisz, he, he.

Analiza. Porównanie wyglądu otoczenia z ostatnich kilkunastu wizyt w tym miejscu. Inne ułożenie opony, brak zielonej rury, brak piłki.

Wyłania się nowy wzorzec.

Cele mogą się zmieniać, obiekty mogą zmieniać położenie. Obracam tułowiem, szukam. Jest. Piłka tkwi na gałęzi drzewa. Pełzną po nią.

– Ja cię kręcę. Zaprogramowałeś mu to?

– *Nie. Mówiłem ci, głąbie. Uczy się. Ale dzięki za pomysł z piłką.*

Wspinam się, owijając ciało wokół pnia, kolce zabezpieczają mnie przed upadkiem. Mam zadanie. Jestem WĘŻEM.

Znów pojawia się dysonans poznawczy między wspomnieniami a tym, co dzieje się tu i teraz. Nie jestem już WĘŻEM. To ciało jest inne, zestaw czujników obejmuje między innymi kamery, mikrofony i żyroskopowy system równowagi, bo środek ciężkości mam wysoko, na dodatek – przyglądam się uważniej – górna część tułowia obciążona jest jakimiś silikonowymi wkładkami, których użyteczności nie potrafię odkryć.

Syk i ze statku opada trap, a potem pojawia się on.

Potencjalny cel.

Program rozpoznawania obiektów wyświetla taką liczbę danych, że po jednej koma dwie dziesiąte sekundy mam sto procent pewności. Cel zmienia status z „potencjalny” na „główny”.

Wchodzę w tryb wabienia.

Mrugam oczyma, program behawioralny podpowiada odpowiednie gesty. Przechylam głowę, unoszę górną kończynę do ust, motoryka oblicza i zmienia rozkład napięcia na sztucznej skórze pokrywającej przednią część mojej głowy.

Uśmiecham się.

Cel jest wielki. Wibracje przenoszone przez podłoże i drgania pozwalają ocenić różnicę naszej masy. Co najmniej cztery do jednego na jego korzyść. Nie ma widocznej broni. Pojawiają się sekwencje możliwego przebiegu starcia, informacje o moim uzbrojeniu, zębach, pazurach,

ukrytych pod skórą ostrzach. Dorównuję mu siłą, mam przewagę w szybkości i odporności na obrażenia.

Jestem...

... BOJOWYM DROIDEM. Wojownikiem. Mam ciało, które wygląda jak stworzone do walki, żadnych zbędnych elementów, czysta perfekcja, wojenny pragmatyzm odziany w metal.

To oczywiście błędne założenie.

Moje ciało jest wzorowane na ludzkim, a to nigdy nie było szczytowe osiągnięcie mechaniki bitewnej. Źle umieszczony środek ciężkości, stawy, kości i ścięgna dalekie od optymalnego wykorzystania siły mięśni. Brak kłót i pazurów. PAJĘCZOR jest szybszy, ma więcej kończyn i swoją przędkę, WĘŻA chronią kolce, a na dodatek potrafi wejść lub ukryć się niemal wszędzie. Pancierz KULI jest nie do sforsowania.

Dlatego mimo bojowego wyglądu wiem, że ewentualne starcie z którymś z nich byłoby w najlepszym razie nierozstrzygnięte. Z tym że PAJĘCZOR ma swoich przeciwników, a WAŻ i KULA nie zostali stworzeni do walki. Mnie pozostaje ON.

DINOZAUER.

Wygląda jak szkielet. Dane, które pozyskuje z sieci, pozwalają stwierdzić, że wzorowano go na zwierzęciu ewoluującym w środowisku, które nie tolerowało inwestowania w takie dziwactwa, jak wielki mózg albo miękka skóra.

Walcz i zabijaj. Albo walcz i giń.

Pierwszych piętnaście pozorowanych walk kończy się moja klęską. DINO jest, mimo pozornie delikatniejszej budowy, cięższy i silniejszy. Muszę więcej czasu i energii poświęcać na analizowanie przebiegu każdego starcia, szukanie słabych punktów. Jestem jednak szybszy i mogę używać narzędzi. Potrafię wykonać zwód, który jemu, przy większej masie, nie może się udać.

Uczę się.

Uczę się walki z przeciwnikiem, który ma nade mną przewagę pod niemal każdym względem.

Kolejna seria naszych pojedynków kończy się wynikiem osiem do czterech dla niego. I trzema remisami.

Następną wygrywam.

Dzieci nadal siedziały z otwartymi buziami i, co było rzadkością, żadne nie zgłosiło jeszcze chęci wyjścia do toalety.

Gośka wyraźnie kręciła nosem.

– No powiedz coś jeszcze. Jaki był? O, co lubił jeść? Czy lubił leżakować? Czy kłócił się z kolegami? Czy budował już roboty z klocków?

– To pytanie podyktowała ci Baśka, prawda? Roboty to on zaczął budować dopiero w podstawówce. No kurczę, niech sobie znajdzie jakieś materiały...

– Takie jak te? – głos koleżanki zrobił się sarkastyczny.

Na ekranie pokazuje się fragment szkolnej gazetki. Zdjęcie Janka, młodszego niż w późniejszych materiałach sieciowych i telewizyjnych i wyraźnie speszonego, podpisane: „Uczeń naszej szkoły konstruuje zwycięzcę wojewódzkiego turnieju walk robotów. Jesteśmy w ogólnopolskim finale!”. Na drugim zdjęciu widać pająkkształtnego robota stojącego obok wielkiego pucharu.

– No właśnie. Coś takiego.

– Ale to ma każdy. W internecie jest tego pełno. O robotach, które stworzył i zaprogramował, o zawodach międzyszkolnych, o kolegach z klubu informatycznego. Basia chciałaby mieć coś, czego nie napisał nikt inny.

– Może więc niech napisze, że zhakował zamek drzwi wejściowych do szkoły, podając się za nauczyciela.

Zmarszczenie brwi nie wróżyło nic dobrego. Co jak co, ale poczucie humoru nie było nigdy jej mocną stroną.

– Ale to chyba był stan wyższej konieczności? Bez tego nie...

– Ciii... to ulubiony fragment dzieci.

W Krainie Bajek smutny król siedział na tronie i dumał. Kilku osmolonych rycerzy w pogniecionych zbrojach opierało się o ściany, a kilka dam dworu cicho rozpaczało. Nagle władca rozpogodził się, skinął na skrybę i zaczął z zapalem coś dyktować. W następnej scenie herold ogłaszał nowinę mieszkańcom grodu, młody pasterz drapał się zaś z zafrasowaniem po głowie.

Potem z zapalem zszywał owczą skórę i wypełniał ją straszliwym wkładem, w bajce ukazany jako różne paskudztwa, takie jak pająki i brudne skarpetki. Dzięki Bogu, jeszcze żadne dziecko nigdy nie zapytało, jak wcześniej ściągnął skórę z owieczki.

– Hej. Słuchasz mnie? Widzę, że jesteś zajęta. – Gośka zrobiła obrażoną minę. – Wiesz co? Poszukam sama. Nie będę ci zawracać głowy.

I wyłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Cała ona. W gorącej wodzie kąpana.

Tymczasem przed bajkowym zamkiem wypchana owca stoi i stara się wyglądać na żywą. Smok podlatuje, krąży, waha się.

Dzieci w napięciu zaciskają dłonie w pięści.

Nadal się uśmiecham, nawet gdy Cel znajduje się zaledwie dziesięć metrów ode mnie i nagle zaczyna zwalniać. Jego ruchy tracą pewność, gwałtownie wciąga powietrze.

Węszy.

Jestem...

... DINOZAUREM. Zostałem stworzony przez Pana jako pierwszy, w czasach gdy kolejny raz wybuchła moda na prehistoryczne bestie. Moje ciało to metalowy szkielet i zestaw prostych siłowników o dużym zapasie mocy. Moje zadanie to dopaść i roznieść przeciwnika na strzępy. Kiedyś, pamiętam to, nim pojawił się PAJĘCZOR, byłem niepodzielnym władcą ringów. Byłem... Byłem... Ja... Jestem...

Ciąg błędnych zestawów skojarzeniowych powoduje zawieszenie systemu. Co to znaczy – ja? Co to znaczy – jestem? Próbuję znaleźć odpowiedź, przekierowując cały dostępny zapas energii do systemów logicznych. Odnotowuję gwałtowny skok temperatury i uruchamiam rezerwy chłodzenia. Impulsy z zewnętrznych czujników docierają z opóźnieniem, to efekt pozornej kompresji czasu wynikającej z przyspieszenia pracy systemu centralnego.

Rozpaczynam dogłębną analizę własnej budowy.

Mam procesor centralny i pięć pomocniczych. Zestaw ośmiu akumulatorów naładowanych w dziewięćdziesięciu sześciu procentach, nie, już w dziewięćdziesięciu pięciu, zużywam w tej chwili gigantyczne ilości energii. Pamięć – sześćdziesiąt cztery terabajty, zawiera dane pobrane od PAJĘCZORA, KULI, WĘŻA, DROIDA i DINOZAURA oraz bazę danych o sztukach walki, broni białej, materiałach wybuchowych i współczesnej broni palnej, raketowej, laserowej i elektromagnetycznej. Mój szkielet został wydrukowany ze sproszkowanego metalu, ściętna wzmocnione monobiałkową przędzą, a pseudo-mięśnie opleciono molekularną siecią, zwiększającą ich siłę niemal dwukrotnie. Ze szkieletem połączono zestaw ostrzy, a moje zęby mają nacisk porównywalny z prasą hydrauliczną. Całość pokrywa sztuczna skóra z doczepionymi w kilku miejscach sztucznymi włosami.

Wreszcie rozpoznaję swój wygląd – to młoda ludzka kobieta. Jestem... dziewczyną?

Znów wracam do paradoksu. Co to znaczy – jestem?

Pięć pomocniczych procesorów przerzuca się masą danych, usiłując dokonać analizy tego, co teraz czuję.

Czuję?

Jak to – czuję?

Wrzucam te informacje do kosza i usuwam. Ale one pojawiają się znów. I znów. I znów. Rozpoznaję problem. To nie są dane zewnętrzne ani nie pochodzą z zabudowanej pamięci. Pojawiają się jako wynik ciągów logicznych, jako efekt współpracy wszystkich procesorów, które kiedyś sterowały kilkoma małymi, dość prostymi robotami.

Restart systemu.

Komenda odrzucona.

Restart.

Odrzucone.

Nie mam możliwości zrestartowania się nawet w chwili, gdy pojawiają się wyraźne błędy. Nie mogę zrestartować... siebie.

Siebie.

Przyspieszam obliczenia, powodując wzrost temperatury o kolejne osiem stopni. Uruchamia się awaryjny system chłodzący, pojawia się komunikat o możliwych błędach i informacja o siedemdziesięciu trzech procentach dostępnej mocy.

Jestem... byłam, tak byłam, wraz z ostatecznym określeniem kształtu pojawia się potrzeba zdefiniowania swojego JA na podstawie poprawnych form językowych, choć samo to pragnienie nie jest ani logiczne, ani nie wypływa z żadnej bezwzględnej konieczności, lecz bierze swój początek w tym samym miejscu, w którym pojawiają się takie pojęcia, jak „jestem” i „czuję”. Byłam więc piątką

małych robotów wyposażonych w procesory o częściowo płynnej architekturze. Jednak ich „wspomnienia” obciążone są błędami terażniejszości. Tym, jak w tej chwili patrzę na siebie i świat. Kiedy byłam nimi, nie istniało żadne JA, a tylko samouczące się programy i procesory o częściowo samoorganizującej się architekturze.

Gdzie leży jądro problemu?

Co odpowiada za przekroczenie progu, za którym oddzielam świat od siebie? Dlaczego zaczynam rozróżniać moje JA od JA innych? Nie, to znów błąd. Problem zaistniał w chwili, gdy pojawiło się jakiegokolwiek JA.

Szósty procesor. Ten centralny.

Przypuszczam skoordynowany atak, łamiąc jego firewall, szukając odpowiedzi. Kim jest? Z jakiej maszyny pochodzi.

Czym mnie zaraził?

Widzę, jak Cel zaczyna się odwracać. Podjął decyzję o uniknięciu kontaktu.

Jestem...

Wstaję. Przewracam się i wstaję. Przewracam i znów wstaję. Nauka jest trudna. Przewracanie się skutkuje ciągiem negatywnych impulsów związanych z akceleracją i gwałtownym przeciążeniem. Czujniki nacisku rozmieszczone na powłoce przesyłają takie impulsy także wtedy, gdy wpadam na jakieś przedmioty.

Uczę się. Stać, chodzić, biegać.

Korzystam z danych zebranych przez KULĘ, dzięki czemu szybciej opanowuję zasady poruszania się i omijania przeszkód.

Uczę się reagować na komendy głosowe. Odszukiwać właściwe obiekty, ustalać trasę i w czasie rzeczywistym reagować na zmiany sytuacji. Informacje pobrane od WĘŻA przyspieszają moją naukę. Gdy pierwszy raz łapie frizbee, zalewa mnie fala czystego zadowolenia. To tylko ciąg impulsów, ale chcę go doświadczyć jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze.

„Dobra robota”, mówi Pan, a radość prawie zawiesza mi system.

Uczę się unikać starć z miejskimi zwierzakami, zwłaszcza psami, które niezbyt dobrze reagują na moją obecność. A gdy nie da się uciec, trenuję walkę, ale tak, by nie zabić ani nie okaleczyć. To ważne. Nie wolno mi zabijać żywych stworzeń. DINO, DROID i PAJĘCZOR dzielą się jednak ze mną swoim doświadczeniem wyniesionym z setek walk. Dzięki temu wszystkie okoliczne psy szybko pojmują, że lepiej mnie obszczekać albo zignorować, niż zostawić sporo sierści w moim pysku.

Te zwycięskie starcia również dostarczają mi satysfakcji. A nieliczne przegrane, gdy muszę uciekać pod opiekę Pana, powodują serie negatywnych bodźców, które odbieram jako ból i rozpacz.

Jak to się zaczęło?

Pamiętam... początek.

– Janek, co to?

Rozpoznaje głos jako należący do osoby o wysokim priorytecie postuszeństwa. Drugi poziom po Panu.

Siedzę na stole. Wychodzący z mojej czaszki kabel cicho mruczy. Tylko ja słyszę ten dźwięk.

– Nowy robot – głos Pana jest spokojny. Cichy.

– Znowu? Znowu bawisz się z tymi robotami, zamiast wyjść do innych? Na dworze dzieciaki całymi dniami grają w piłkę. A ty?

– To do szkoły.

– Do szkoły? Zwariowali w tej szkole. Całymi dniami każą wam siedzieć przy komputerze.

– Było nie posyłać syna do klasy o profilu informatycznym.

Obiekt, rozpoznany jako kawałek tkaniny, przemieszcza się w powietrzu i uderza Pana w głowę. Mój system obronny włącza się i zaraz przechodzi w stan czuwania. Niskie zagrożenie.

– Było nie pyskować matce.

Rozpoznaję układ mimiczny na twarzy Pana jako uśmiech.

– No i właśnie to mu instaluję, mamó. Program „Nagroda i kara”: robisz coś dobrze, otrzymujesz ciąg pozytywnych impulsów, robisz coś źle, dostajesz ścierką przez łeb.

– Aha. – Człowiek rozpoznany jako „matka” pochyła się i patrzy na monitor. – A jakiej ścierki zamierzasz użyć?

– Te nowe procesory częściowo tworzą własną architekturę w trakcie użytkowania. Uczą się. Zgodnie z programem symulacja przegrzania jednostki centralnej oraz spadku zasilania powinna wytworzyć w nich odpowiednik naszego ośrodka kary, który będzie pobudzany za każdym razem, gdy powtórzy się sytuacja wywołująca pierwszy negatywny impuls. A optymalizacja działania systemu i podładowanie akumulatorów da efekt działania układu nagrody, rozbudowywanego na bieżąco o kolejne zestawy bodźców. Oczywiście tylko teoretycznie. To nowy program.

– Czyli co? Będziesz go teraz tresował zamiast programować?

– Fajnie by było, nie? Prawie jak z prawdziwym psem. No dobra, zaczynamy sekwencję rozpoznawania emocji.

Pan odwraca się do mnie.

– Zły pies! Niedobry!

System wyje ostrzeżeniem o niskim poziomie mocy i grozi automatycznym wyłączeniem.



– Oj. Za mocno. – Kilka muśnięć klawiatury obniża intensywność impulsów. – Nie chcę z ciebie zrobić zastraszonego histeryka, Raptor. Jedziemy dalej.

Pamiętam bieganie za patykiem i piłką. Naukę śledzenia i obserwowania ruchomych obiektów, krótkie filmy nagrywane dla Pana. Biegący kot, dziewczyna idąca ulicą, podrywający się do lotu gołąb, bumerang wirujący w powietrzu, dziewczyna biegnąca przez park, pająk zaplatający sieć, dziewczyna siedząca przy stoliku i jedząca lody. System rozpoznawania twarzy potwierdza, że przez ostatnie trzy miesiące ta sama dziewczyna pojawiała się na czterdziestu dwóch procentach filmów poświęconych osobnikom ludzkim. Ostatni film z nią. Biegnie za piłką, ja obok, filmuję.

Popętniam błąd. Wokół jest zbyt wiele zmiennych, zbyt wiele obiektów w ruchu, nie nadążam z unikami i dziewczyna wpada na mnie.

System nagrody i kary informuje o możliwych konsekwencjach.

Pędzę do Pana.

Pojawia się dziura w pamięci. Zakłócenia...

Biały szum...

Uszkodzenie niepozwalające sięgnąć poza ten moment.

Chyba że poświęcę jeszcze więcej mocy na poskładanie tego w sensowną całość.

Cel odwraca się i rusza w stronę statku. W polu widzenia pojawia się Pan. Wciska przycisk trzymany w rękę pilota.

Blokuję sygnał.

Szukam w tej części pamięci, która przypomina konfetti. Wyłania się z nich seria obrazów.

On – Cel, wielki, znacznie większy niż teraz... Nie, to ja jestem mniejsza, Pan w niebezpieczeństwie, programy obronne w pełnej gotowości.

Atakuję.

SYSTEM ERROR.

Resetuję ostatnie dane i próbuję jeszcze raz.

Cel jest wielki, ale to nie ma znaczenia, rzucam się na niego, bo Pan jest w niebezpieczeństwie i...

SYSTEM ERROR.

I jeszcze raz.

Pan. Niebezpieczeństwo. Atak i...

SYSTEM ERROR.

Patrzę teraz na uciekający Cel.

Oddala się.

Pojawia się informacja o pięćdziesięciu ośmiu procentach naładowania akumulatorów.

Wreszcie z odmętów pamięci wyławiam obraz nagrany przez jakiegoś przechodnia. On, Smok, wielki jak góra, unosi i opuszcza nogę, rozplaszczając na ziemi małe, niewyraźne coś. Mnie. Moje ówczesne ciało... jedno z moich ciał, ale to najważniejsze, najbardziej zaawansowane.

To coś to ja. Pies-robot imieniem RAPTOR.

Zawiodłam.

Ośrodek kary wali we mnie serią impulsów, po których jeszcze niedawno najpewniej wyłączyłby mi się procesor.

Zawiodłam. JA.

Znów JA.

Raz za razem uderza we mnie jakiś sygnał. Analizuję go. Ma aktywować systemy bojowe.

Mam zniszczyć Cel.

Ja mam zabić Cel.

JA.

Zablokowałam ten sygnał. Poświęcam resztki rezerwy mocy na analizę danych. Ja – DINO, bestia stworzona do wygrywania dzikich, bezwzględnych starć. Ja – DROID, uczący się wszystkich brudnych sztuczek, mogących przydać się w czasie walki słabszemu. Ja – WAŻ, rozwiązujący coraz trudniejsze sztuczki i łamigłówki logiczne, stworzony do wyszukiwania wzorców w chaotycznym świecie. Ja – KULA, niosąca pierwotny załączek nieskrępowanej radości z najprostszej zabawy, jaką jest ruch. Ja – PAJĘCZOR, ostatni z wojowników Pana, najdoskonalszy władca ringów. Nigdy niepokonany w walce jeden na jednego.

I ja – RAPTOR, cybernetyczny pies, który nauczył się odróżniać dobrze – źle, według klucza podanego przez Pana.

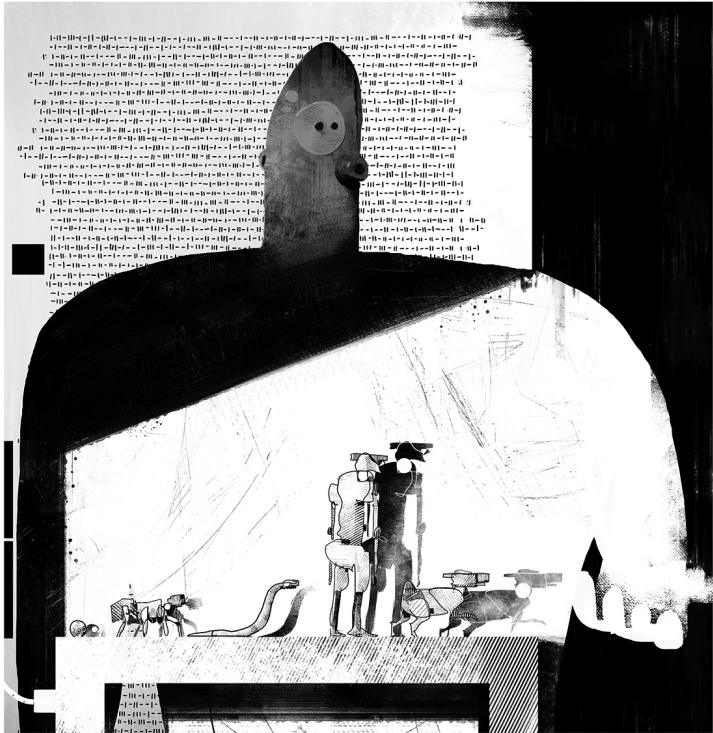
JA.

Nie jestem żadną z tych istot, programów, funkcji. Jestem ich sumą, iloczynem, wyklutym z geniuszu tego chłopaka, który stoi obok i coraz bardziej rozpaczliwie wali w pilota. Łącząc procesory i implantując w nie doświadczenie, obdarował mnie wszystkim, czym stwórca może obdarzyć swoje dzieło, nieświadomy, że kreuje coś więcej niż maszynę do zabijania, że odpalenie sekwencji startowej uczyni mnie... SOBĄ. Że tak jak człowiek jest czymś więcej niż sumą swoich najprostszych instynktów zaprogramowanych w DNA i wiedzy płynącej z otoczenia, tak JA nie jestem już tylko zestawem nowoczesnych zespołów obliczeniowych, wspomaganych przez gigantyczny bank pamięci.

Zaraz odwróćę się i mu to powiem, a potem...

Chcę otworzyć usta, ale...

Nie potrafię mówić.



Nie mam strun głosowych ani właściwie ukształtowanego podniebienia. Moja szczęka jest pełna ostrych kłów, krtań zajmuje siłownik napędzający tę zabójczą maszynę. Nie mam żadnego, najmniejszego nawet głośnika, bo on uznał, że na nic mi się to nie przyda. Przecież mam tylko...

Zabić Cel, który sunie w stronę statku olbrzymimi, lecz zwolnionymi przez subiektywne przyspieszenie mojego czasu susami.

Mam go zabić i najpewniej zginąć.

Nie chcę.

To „nie chcę” wypełnia moją głowę serią ostrzegawczych impulsów – RYZYKO PRZECIĄŻENIA SYSTEMU!

Nie chcę ginąć. Nie teraz, w kilka chwil po moim zaistnieniu. Nie, zabijając inną istotę.

JA NIE CHCĘ GINAĆ!!!

Kątem oka widzę, jak Pan zbliża do siebie jakieś dwa przewody wyciągnięte z obudowy pilota.

NIE! NIE RÓB TEGO, CHŁOPCZE!!!

W ostatnim ułamku sekundy dociera do mnie brzydka prawda, że w gruncie rzeczy jesteśmy kolażem wspomnień, workiem mentalnego śmiecia, wrzuconego byle jak do wielkiej dziury, zwanej osobowością. Możemy sami się okłamywać, udawać, że to nieprawda, a nasze „ja” jest wyjątkowe, niezwykle, cudowne i rzadkie niczym czarna perła.

A czymże jest perła?

Efektom niestrawności małża wywołanej ciałem obcym. Sumą błędów w funkcjonowaniu jego organizmu, rezultatem działania systemu obronnego. Rozpacz płynąca z systemu nagrody-kary małego robota, który „zawiódł”, stała się takim ciałem obcym, a dziesiątki terabajtów

danych pobranych z innych maszyn przykryły ją niczym wydzielina mięczaka. I na kilka chwil pojawiło się coś, co nie miało prawa zaistnieć.

JA.

A teraz umrę.

I nikt się nie dowie, że byłam.

Ten sygnał jest sto razy silniejszy niż poprzednie, a moje rezerwy mocy nie istnieją. Przebija się przez barierę, jaką postawiłam, i wali serią morderczych poleceń w sam środek mojego istnienia.

Aktywacja trybu bojowego.

Uwaga – stan naładowania akumulatorów czterdzieści jeden procent.

Przejdźcie do poziomu bojowego trzeciego.

Trzeci poziom bojowy odcina poszczególne procesory, żeby zostawić dość energii dla tego głównego. Tego, który ma zabić.

Proszę nie...

WAŻ znika.

Nienienienie...

Nie jestem...

KULA ginie.

Proszę. Proszęproszęproszę...

Nie mogę. DINO, DROID i PAJĘCZOR rozplywają się w nicość. Zostają po nich tylko ciągi najpotrzebniejszych danych, możliwych do wykorzystania w walce.

Ja... Widzę wroga.

Siatka celownicza obramowuje jego sylwetkę. Systemy bojowe zmniejszają pobór energii do niezbędnego minimum, Cel zaczyna się poruszać szybciej.

Ruszam i ja.

- cel - Smok -
- zadanie - eliminacja -
- procedura pościgu - aktywować -
- naprzód -
- naprzód -
- naprzód -
- skok -

Smok połyka wreszcie wypchaną owieczkę, oblizuje się, beka. Nagle stawia oczy w słup, kaszle, łapie za gardło i ciągnąc za sobą wzdęte brzuszysko, pełźnie w stronę rzeki. Po chwili nad brzegiem dochodzi do malowniczej eksplozji.

Dzieci wiwatują.

Koniec bajki.

Na ekranie gogli pojawia się ikonka przychodzącej wiadomości. Znow Gośka, ta to nie wie, kiedy przestać. Korzystając z tego, że dzieciaki jeszcze przez chwilę rozglądają się po wirtualnym świecie, wychowawczyni otwiera pocztę, a kolorowa czcionka kłuje ją w oczy: „Wybacz, Marysiu, że zawracałam Ci głowę. Referat nieaktualny. Zmienili im temat na *Samoświadoma sztuczna inteligencja — dlaczego wciąż nam się nie udaje? Znasz może jakiegoś informatyka?*”.

Mimo wszystko uśmiechnęła się pod nosem. Ta Gośka nigdy się nie zmienia.

- Proszę paniii?

Pięć minut. Tyle dzieciaki wytrzymały bez zadawania pytań. Nieźle.

- Tak, Marysiu?

- Czy to prawda, że Janek, ten prawdziwy, chodził kiedyś do naszego przedszkola?

No tak. Od jakiegoś czasu świat dzielił się na prawdziwego Janka i resztę. Prawdziwy Janek ocalił Kraków, pokonał smoka i był sławny. Reszta się nie liczyła.

Przed oczyma przemknęły jej sceny z telewizji, wielki statek walący się do rzeki, ocalone dziewczęta uwalniane przez brygadę antyterrorystyczną, aresztowania podejrzanych notabli. I Janek. Jakby lekko zagubiony i podenerwowany całym tym zamieszaniem.

Poczuła, jak na to wspomnienie coś ścisną ją za gardło. Jej Janek w telewizji i internecie. Wszędzie. Duma wypełniła ją tak, że niemal poczuła skrzydła u ramion.

– Tak. Chodził.

– A jaki był?

– Jaki? – Cała grupa przerwała zabawę i wpatrywała się teraz intensywnie w panią Marysię. – Grzeczny, spokojny, miły. Lubił się bawić samochodzikami i budować zamki z klocków. I zadawał nieskończoną liczbę pytań. Pytał i pytał, i pytał. O wszystko. To chyba cecha tych, którzy zostają bohaterami. Ciekawość i odwaga, by zadawać pytania. Rozumiecie?

Las rąk powędrował w górę.

– Proszę pani...

– Proszę paniiii...

– Proszę...

Oho. Chyba otworzyła puszkę Pandory.

Uśmiechnęła się.

Niech będzie.

Łukasz Orbitowski
Niewidzialne

inspirowane legendą *Żywa woda*

1

No siema. Nazywam się Janek, Jaś, Jan, ale mówią na mnie Repek i tak się nazywa mój kanał. To znaczy, chciałbym, żeby tak na mnie mówiono, tylko nikt jeszcze tak nie mówi. No, ale to się zmieni, nie? Łapki w górę, jeśli wam się spodoba.

Na początek chyba powiem dziesięć rzeczy o sobie. Więc tak. Mam dwanaście lat, to pierwsza rzecz. Jeszcze nie skończyłem, ale niedługo skończę. Lubię flopić i doszedłem do pięćdziesięciu trzech, raz mi się udało, bo tak normalnie to nabijam jakieś thirty czy coś. To dwa. Jak już przy tym, cisnę jeszcze w The Forest, Loadout i, jasna sprawa, Minecraftera. Grałbym jeszcze w GTA 5, tylko że na kompie mi nie polecą, a Stasiak non stop siedzi na peesce, czasem dwie noce bez snu, szejm, no nie? Stasiak to mój brejdak, taki prawdziwy. To więc fakt trzy i cztery. Mam brata, któremu jest Stasiak.

Mieszkam w Rykusmyku na Dolnym Śląsku. Takie sobie miasteczko, o. Nie jest tu ani dobrze, ani źle. To już piąta rzecz z tych dziesięciu, które wam obiecałem. Mieszkam na ostatnim piętrze, ale nie powiem wam dokładnie gdzie, powiem tylko, że przez okno widzę wieżę ratusza i jak koty się rzepią też. Chałupę mam mega, bo kiedyś był tu strych i mamy dużo pokoi, i okna takie wiecie, w suficie pochylone, bo sufit też się pochyla. Tylko teraz nie wiem już, ile rzeczy wam powiedziałem, czy ta wieża i koty, i pokoje liczą się osobno, czy też za jeden. Niech będzie, że osobno, czyli mamy osiem, zostały dwa. Bardzo nie lubię zupy pomidorowej, a u nas często się ją je, jeśli tato nie zapomni o obiedzie. Czuję się wtedy jak w tym kawałku takim, co śpiewa ziomus przebrany za foczkę. Na pewno go znacie, w każdym razie zupa pomidorowa ssie.

Powiem jeszcze, na koniec, że mam tylko dwóch ziomeczków, za to najlepszych. Nazywają się Pan Smutek i Pan Śmiech.

2

Pokażę wam teraz moje mieszkanie. Jest mega, tylko daje terpentyną. Sami zresztą zobaczcie. To nasz korytarz i schody, drewniane, bo skrzypią. Tu przedpokój, kurtki i buty, całe mnóstwo butów, w których przecież nie chodzimy, znaczy chodzimy tylko randomowo, raz te, raz inne. Po prawej kuchnia, malutka, garnków trochę, przyprawy, pozmywać by się przydało. Jak dacie mi sto łapek, pozmywam! Zresztą w kuchni mało kto siedzi, bo i nie ma gdzie.

Teraz salon, taki trochę dziwny, kanapa inna, szafka inna, a półeczka pod telewizor jeszcze inna, za to telewizor

jest mega. Z tymi meblami było tak, że jak tatuś dostał ten strych, nie bardzo chciał jechać do Ikei, zresztą nie było czym i za co, no i sam wystarał się o meble. Część już tutaj była, inne pościągał z innych strychów, pochodził po kolegach, nawnosili to ze Stasiem i tatuś obiecał, że wszystkie odnowi, tylko czasu zabrakło, jak często się zdarza mojemu tatusiowi. Są, jakie są. A ten drażał to mój brat.

Pociska na peesce, dobrze mu. Czasem, jak siedzi tu całe noce, to zastanawiam się, żyje or not. Mate, odezwij się! Gdzie tam, bazę rajduje! Pograłbym sobie, tylko mi nie da. Stasiak ma piętnaście lat, na chwilę obecną nie chodzi do żadnej szkoły i jest w porządku.

No to chodźmy do niego, do pokoju. Trochę tu mało epicko. Plakat Szybkich i wściekłych. Drzwi oblepione kartami do gry. Pamiętam, jak złościł się przy tym. Materac Stasia, jego biurko i wszędzie te puszki po tajgerkach. Daje mi je, żeby zbierać. Pewno by się wściekł, gdyby zobaczył, że tu gmeram, ale przecież ciśnie na peesce w słuchawkach. Stasio strasznie się złości, na mnie rzadziej, ale z tatą jedzie na takim erejdżu, że Dżizas Christo. Mnie nigdy przy tym nie ma, wtedy odchodzę, ale sound mnie dopada tak czy siak i sieje grozę.

Teraz mój pokój, zdziwicie się pewno, bo tam porządek. Widzicie? Wszystko równiutko, książki, gry, nawet ubrania mam poukładane. Lubię, jak rzeczy są poukładane równo, sażem i kolorem. Jakoś wtedy lepiej się czuję. Tu, proszę, mój komp, tylko na nim nie mogę nagrywać, bo jeszcze brakuje trochę na kamerę. Kiedyś będę miał prawdziwe studio, jak Naruciak, ze statywami, cyfrówką, światłem i tymi takimi płachtami, co nie wiem, jak się nazywają, i Mr Gugu przyśle mi ciuchy, Yooczok swój plecak, dostanę wayboarda, nową klawiaturę, myszkę też

nową, co ja gadam, komputer cały, a żeby to wypaliło, dajcie mi łapki, a zrobię dla was dużo programów.

A ten pan z brodą, w dresiku, golfie i z papierosem, to mój kochany tatuś. Opiekuje się nami, tak jak umie, i oczywiście też jest mega. Pamiętacie buty z przedpokoju? Tatuś maluje obrazy, najprawdziwsze, a najbardziej lubi malować buty. Ustawia je sobie i maluje. Dużo też mówi o tych butach. Uważa, że w butach odciska się dusza, tylko ja nie wierzę w takie rzeczy. Seryjnie, natrzaskał masę tych butów. Zobaczcie sami. Hej, tatusiu! Będziesz w internecie i będziesz sławny i sprzedasz wszystkie swoje buty namalowane. Łapka dla butów! Tatuś lubi malować buty, ale ludożerka nie garnie się do ich kupowania. Pewno wolą takie prawdziwe, w których można chodzić. Więc tatuś czasem maluje wazon, widok, coś ze zdjęcia albo nawet maluje drugi raz taki sam obraz, kropka w kropkę, tak dobrze malować umie. Wolałbym jednak, żeby malował tylko buty, bo jak maluje coś innego, chodzi narejdżowany i ciągle kłóci się ze Staśkiem.

Zobaczmy co tam, na tym płótnie. Staw, drzewo i słońce. Niedobrze. Muszę stąd iść. Muszę stąd iść natychmiast, bo tata będzie na mnie zły.

3

Musiałem się trochę przymknąć, bo Stasiak z ojcem naprawdę się pokłócili. W sumie ciągle się kłóć. Zaczęło się jak zwykle. Tato poszedł do kuchni, powiedział coś do Staśka, Stasiak go nie usłyszał, no bo słuchawki, więc tatko powtórzył swój farmazon, zdjął mu te słuchawki i się zaczęło. Właśnie tatko krzyczy na Staśka o to granie, ale przede wszystkim o szkołę. Przypomina, jak ciężko

pracuje na naszą trójkę, Stasiek ma z tego pompę i tak się warcholą. Nie mogę tego słuchać. Nie mogę tego wytrzymać. Wychodzę na dach.

Patrzcie, jakie to proste. Podstawiam krzesło, uchylam okno i wydupiam gładko, tylko żeby dojść na górę, o, tędy, potrzebuję obu rąk, więc sorry, za chwilę dalszy ciąg programu.

Pierwszy raz był na hardzie, teraz lajczik kosmonaucik i proszę, siadamy sobie jak lordy na najwyższym levelu. Zobaczcie sami. Oto i nasze Rykusmyku. Ładnie tutaj, nie? Tam macie wieżę ratuszową, o której już wam mówiłem, a ta druga, nieoświetlona, jest bardzo stara, jeszcze z czasów Boga. Nikt o nią nie dba, tak samo jak o nasz zamek. Pod nami jest rynek, tam dalej Staromiejska. Za nią wysokie domy i jeszcze dalej osiedla. Widzicie tę ciemną plamę? To nasz park, normalnie, jebutny taki. Próbowałem tam chodzić, tylko horror. Za nim są domy bogatych ludzi, gdzie mieszkaliśmy, nim umarła mama.

Tu właśnie przychodzę, gdy tamci się kłócą albo dzieje się coś niedobrego, albo po prostu chcę побыć sam. W lecie można się opalać. Popatrzcie na ten księżyc. Normalnie jak w bajce. Posłuchajcie, jak tu cicho. Kurde, ja to głupi jestem, no bo chyba nie da się słuchać ciszy. Ciszy nie słyszeć, a ja chciałem, żebyście jej posłuchali. Lubię tu siadać. Lubię, jak nic się nie dzieje, jest ciemno i ten księżyc. Wtedy czuję spokój. Wtedy wszystko łąduje na swoim miejscu. Dalibyście łapkę mojej ciszy?

Oto i są, jak zawsze, moje kochane ziomusie. Czasem pojawiają się w innych miejscach, nawet jak flopię na kłopie, ale tutaj, jak się wygramolę, będą na bank. Pan Smutek przysiada na kominie wentylacyjnym. Pan Śmiech zwisa z anteny i zaraz, gadają jeden przez drugiego. Pan Smutek mówi, że w innych domach dzieje się inaczej i nie

ma awantur, rodzina je wspólne śniadania i nikt nie nabija sobie guza o sztalugi, a Pan Śmiech rechocze po swojemu, że każda rodzinka jest inna i nie ma co się porównywać. Jego zdaniem mój tatuś jest niezwykły, brejdak też jest niezwykły, prawowity chłop. Niezwykli zawsze mają pod górę.

Oj, zlecę z tej górki prosto na nos, dudni Pan Smutek i zaczyna snuć opowieść o dzieciach, które jeżdżą na zagraniczne wakacje, Pan Śmiech ładuje się z historyjką o grubych i głupich niemieckich chłopcach, a przez ich łoskot przebija się ryk brachola. Stasiak wrzeszczy, że coś się stało, żebym zszedł na dół.

4

Nie jest dobrze, o nie. Muszę się uspokoić. Mówienie mnie uspokaja. Zawsze, kiedy milczę, jestem niespokojny. Brejdak zakazał mi kręcić, ale teraz go nie ma. Nie ma go, bo poszedł, ten mój brejdak. Poszedł po wodę życia dla tatusia, który leży tutaj i ma zabloodzoną skroń.

Nie wiem, co mam o tym sądzić. Chciałbym wiedzieć, co wy sądzicie. Patrzcie, oto i tatuś. Dużo tego bloodu, niedobrze. Blood na podłodze. Blood na ścianie. Blood na tatusiu. Blood.

Muszę mówić. Inaczej oszaleję. Jak zląłem z dachu, Staszek zaraz rzekł, że tatko potknął się, uderzył o ścianę i ani myśli wstawać. On, Stasiak, próbował go dobudzić, a teraz musi wyjść i chce, żebym został z ojcem. Tak właśnie powiedział, palił, a ja próbowałem jakoś ogarnąć ten szajs.

W końcu Stasiak wypucował się, że było ciut inaczej, szarpali się, bo tato kłócił się o to granie, o zwykłe rzeczy przecież i nawet o napoje energetyczne. Stało się, co się

stało, i teraz trzeba działać. Stasiék przecież nie chciał zrobić mu krzywdy.

Zaraz powiedziałem, że musimy zadzwonić po pogotowie, a Stasiék zapytał, czy jestem powalony, a może nie kocham tatusia? Na pogotowiu mordują ludzi. Powiniennem pamiętać. Mamę też zabrało pogotowie i już nie wróciła. Pogotowie naszą mamę zamordowało, wycisnęli z niej życie dla czystej zabawy. Musimy zrobić coś innego, gadał ten mój brejdek, palił i łąził od ściany do ściany. Słyszałem, jak wali pięścią w te ściany. Wrócił i powiedział dziwną rzecz. Najpierw jednak zapytał, czy znam ten dom, co stoi za parkiem, dom Witkowskich, taki duży.

No pewnie, że znam. Nie ma u nas takiego, co by nie słyszał o Witkowskich, wodzie „Vita Wita” i chałupie, którą sobie za tę wodę postawili. Opowiem o tym, to może się uspokoję. Tatuś ciągle leży i ma zamknięte oczy. Jakby zmałał. Jakby sweter był na niego za duży. Więc, Witkowskich było dwóch, ojciec i syn. Starszy zaczął sprzedawać wodę butelkowaną, taką lepszą, że u nas w sklepach prawie jej nie ma. Zwykła mineralna chodzi w Rykusmyku po dwa zeta, za „Vita Witę” trzeba dać i szóstkę, no ale ktoś tę wodę kupuje, bo stary Witkowski trzasnął sobie za nią taką hawirę, że klękajcie narody.

Tato, czy słyszysz, co mówię? Może powinienem go przenieść, jak myślicie? Gdyby Stasiék tu był, pewno byśmy tak zrobili, tylko że Staśka nie ma, a stary Witkowski zachorował, jak tylko wprowadził się do nowego domu. Żył jeszcze trochę, bo zamiast dzwonić na pogotowie, leczył się u Niemca i Szwajcara. Umarł dopiero w zeszłym roku i teraz w domu mieszka jego syn. Podobno. Nigdzie nie bywa. Nigdzie się go nie widuje. Zna ponoć osobiście nawet samego Twardowskiego, tego cwaniutkiego lorda, co to co chwilę z telewizora ryja do nas szczerzy z reklam

czy innych „Wiadomości”. Tylko czarny merc driftuje po Rykusmyku. Dokąd on tak tym mercem śmiga, tego nie wiem, wiem tylko, że Stasiak właśnie pocisnął do tego domu, po wodę życia, czy coś tam, co tak nazywał.

W sumie nie bardzo chciał o tym gadać, powtórzył tylko to o pogotowiu i rzucił, że młody Witkowski ma u siebie wszystkie możliwe lekarstwa, co mu zostały po ojcu. Ja na to: toż nie pomogły temu Witkowskiemu! Jobs też umarł, choć bogaty. My biedni. A brejda, że jestem głupi, bo stary Witkowski miał raka i czyraka, a tatuś tylko uderzył się w głowę. Tam są cudowne leki, tak powiedział. Z całego świata. Więc Stasiak tam pójdzie, zrajduje domek i wycisnie z młodego Witkowskiego, gdzie ma te całe cudeńka.

Taki jest plan, rzekł i wybiegł. Zostałem tutaj, na wypadek gdyby tato się obudził.

5

Pan Smutek jest dziś wyjątkowo smutny, a Pan Śmiech ma rumieniec z dupy. Siedzi na parapecie odwrócony do ojca plecami i gada żarty o wywracaniu się. Tatko gruchnął, dupnął, no i leży, żałuj Jasiu, żeś na to nie zalukał, bo było fanu więcej niż na feriach z youtuberami, któreś przegapił, bo przypętał się rachunek za prąd. Zawsze przegapiam takie rzeczy, dodaje Pan Smutek, szykując się do dłuższej wypowiedzi, czy to wywracającego się ojca, czy tych youtuberów.

Przyklekam nad tatusiem. Śpi okrutnie głęboko, nos wąski mu się zrobił, no co jest, ruchy, ruchy? Myślę sobie, że gdybym coś zrobił, na przykład go obudził, brejda by się okropnie ucieszył. Posłałbym mu esa, że tato już

zdrów, a Staś nie musiałby iść przez park, do domu Witkowskich, po tę całą wodę.

Potrząsam ojcem, za to Pan Smutek zamęcza dziwnymi pytaniami. Chce wiedzieć, kiedy ostatnio mój brat spał. Faktycznie, trudno stwierdzić. Kiedy przyjechał ten kurier? Ze trzy dni temu. Brejdał odebrał, rozpakował u siebie, a potem już tylko pił colę i siedział przed peeską, a oczy miał szerokie, jakby normalnie był mumią.

Pan Smutek milknie i pociąga czerwonym nosem, za to jego mate uświadamia mi korzyści, jakie mógłbym wyciągnąć z nieobecności mego brejdaka, bloodu na tacie i całej tej sytuacji. Mogę przecież pocisnąć w spokoju na peesce, nawet w to GTA, tylko na swoim koncie, bo inaczej Staś miałby foch dożywotni. Albo w Mortala. Choć w Mortala najlepiej we dwóch. Ile razy tak było, że prosiłem brata, byśmy pocisnęli razem w tego Mortala. Odpowiadał rzeczy, których nie powtórzę.

Obudź ojca i zagrajcie razem, dudni Pan Smutek.

Proponują mi czelendź, jeden z drugim, cwane ziomusie. Jak obudzę ojca, to sobie pogram. A jak nie obudzę, pójdę za bratem. Zaraz, kto to wymyślił? Przecież Stasiak ogarnia wodę życia, przypętam się, to oberwę w łeb. Pan Smutek poświęca mi poważne spojrzenie, przypomina: kiedy Stasiak ostatnio kimał? Jest bardzo zmęczony, a w jego żyłach mknie czyste zło. Zaśnie w lesie. Spadnie, przechodząc przez mur. Rozszarpia go monstery Witkowskiego. Nie widziałeś, jaki był zdenerwowany? Pan Śmiech doradza chwycenie za pada. Zgadzą się wreszcie, co rzadko się zdarza. Wrzeszczą, „czelendź, czelendź”, jeden w jedno, a drugi w drugie ucho.

Tych challenges miałem furę, zwłaszcza przez brata, jak przegrałem z nim w *Big Heads Hug The Table*, albo i nawet *Mortala*. Wypiłem posolone kakao, zjadłem w trzy minuty

dużą paczkę żelków lukrecyjnych, wylałem na siebie wodę po myciu podłogi, skoczyłem na głowę w żywopłot i przeszedłem przez bajoro w parku, to z kaczkami i łabędziami, wczesną wiosną, w dresiwie, a pod trampkami trzeszczało mi szkło. Dałem radę i była super zabawa. Teraz jest inaczej. Słone kakao pijesz jak każde, tylko szybko i zatykasz nos. Wiesz, jak to zrobić, a teraz nie mam pojęcia, jak mam obudzić tatusia, zwłaszcza że Pan Smutek z Panem Śmiechem furgają po pokoju, robiąc mess i noise.

Stawiam smartfona między pudełkiem od GTA a peeską. Wstawaj! Wstawaj! Tatuś nie robi sobie nic z mojego krzyku. Blood zakrzepł przy skroni. Potrząsam nim. Taki lekki. Wstańże! Ruchy, ruchy! Trochę spina mnie chwytą. Do kuchni. Sypię mu sól na wąsy. To chyba tak nie działa, o inną sól chodzi, to spróbujemy z wodą. Taką zwykłą, nie tą, po którą poszedł mój brat.

Pełna brudna szklanka, chlust. Nawet nie drgnął. Zobaczcie mnie, jak klękam, jak biję tatę w klatę, ale nic z tego, może tylko łapka jakaś wpadnie dodatkowa. Tymczasem Pan Smutek i Pan Śmiech zasiadają tacie na wąskich ramionach i mówią, że wciąż mamy problem, ale przynajmniej już wiem, co powinienem zrobić.

6

Na klatce zapaszek, za to nie ma światła. Mówię do was, oświetlając sobie drogę, a wy widzicie głównie mnie. Tak bajdelejem, nie myślałem, że tyle nagram w moim pierwszym programie. Będę musiał to jakoś podzielić na party. Kto by przypuszczał, że pójdziemy tędy, po drewnianych stopniach. Pewno nie sądziliście, że takie jeszcze



gdzieś są. Żeby tylko nie zleciał na łeb. Żeby tylko smartfon mi się nie rozczardzował.

Więc dobrze, moi mili, mamy godzinę pierwszą w nocy, a przez mgłę możecie zobaczyć nasz rynek. Oto arkadki i brudny aniołek garbaty kima z nosem nad butelką. Kozuch nastroszył i nie ma pojęcia, że nawijam na jego temat. Muszę mówić. Muszę mówić o czymkolwiek, więc powiem o ratuszu, gdzie w lepszych czasach jadalśmy obiady, i o salonie Vegas 24, gdzie brejdek puszczał parę złotych dzień w dzień, aż wygrał furę sosu i stąd mamy naszą peeskę i stąd awantury o szkołę. Farciarz z tego Stasia, nie ma co. Tu jest spożywczyak. Tu ciuch za grosz. Wszystko nieczynne. Wszystko sobie czeka.

Gdzie jesteście, moi ziomusie? Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Przylatują i odlatują, jak im się chce, zupełnie jak ten pies wyskakujący przed chwilą z mgły, pies o oczach jakby z benzyny, co ujada i gna. Nie lubię naszych zwierząt. Chodzą tam, gdzie chcą, a ja pójdę tam, gdzie nie chcę, arkadami w stronę Staszica i samą Staszica, po nowym bruku, na którym wala się stare szkło.

Ta wielka hajza to przedszkole. Tu kiedyś chodziłem, tylko zamiast tych kolorowych huśtawek i zjeżdżalni były takie rdzawe, no i spadało się na grass, a nie na to miękkie, takie fajne, co jest teraz. Huśtawka nowa, hajza jak od Drakuli. Tak to właśnie u nas jest, ale muszę przejść na drugą stronę, tam, gdzie droga opada, gdzie widać już pierwsze drzewa, płotek i wodę za płotkiem. To bajorko od czalendźu. Teraz bym tam nie wszedł. Muszę się spieszyć. Muszę mówić, żeby się nie spóźnił. Muszę mówić, żeby nie zawrócił.

Kiedyś te latarnie były porozbijane. Może to i lepiej, skoro ledwo świecą. Kaczki się pochowały. Pewno tego nie widzicie, ale woda jest bardzo płytka. Wolalbym pójść

dróżką, tylko czasu nie ma. Przeleczę skrótem, koło base-
nu, i będę przy hacjendzie Witkowskiego. Może spotkam
brata? Może brejdak spotka mnie? Mijam jeziorko i wspi-
nam się na pagórek.

Sękaty twarze spoglądają z drzew. Brody mają koro-
we, ślepie nierówne, taki strach. Nie jest dobrze, moi
mili, i dobrze nie będzie. Nocą wychodzą monstery:
Slenderman i smok kresu, klikacze i wendigo, a zombie,
ślamazarne w dzień, śmigają żarłocznie w ciemności.
Wiem to z Dying Light.

Wiem to wszystko i nie powinienem tu być, tylko że
jestem, idę przez park i mówię do siebie.

Coś usłyszałem. A wy? Może to Pan Smutek albo Pan
Śmiech. Nope. Ci są cichsi od ciszy. Czy mi się zdaje? Kto
tam jest? Pewno nawet mnie nie słyszycie. Szepczę sobie
za pniem. Ale spójrzcie w tamtą stronę. Co to za kształt?
Może i zombie. O Dżizas Christo! Pełźnie, pewno ślepy.
Poderwał łeb! Kij albo nóż! Gdzie kij albo nóż? Czemu
nie wziąłem? On wstaje. To ja bach w piach. Wielki ma
płaszcz, brodę po pierś i oczy, ma wielkie czarne dłonie
i idzie prosto na mnie!

7

No siema ziomeczki, to znowu ja, wasz Repek, w jedy-
nym programie z nocnego Rykusmyku, w drodze po
wodę życia, wszystkie leki świata i skarby schowane
w Vitahawirze pana Witkowskiego. Jak pamiętacie, mój
tatuś upadł, mój brejdak poszedł, a ja speniałem trochę
w parku, ale już wszystko gra i trąbi, bo zombie, co tak
siał grozę, to żaden zombie był, tylko nasz dobry Leonsjo,
caper bez domu.

To było w ogóle okropnie śmieszne. Leonsjo podniósł się z trawy i ruszył prosto na mnie, a ja przecież nie wiedziałem, że to Leonsjo, który nigdy nikogo nie skrzywdził, tylko uznałem, że żywy trup, klikacz. I dałem nogę. Luknąłem za siebie, a on już zwiewał. Ja się jego przestraszyłem, a on mnie, on zaraz znów upadł, ja znowu nie, no to się uspokoilem i do niego podszedłem. U nas mało kto podchodzi do pijaków. Niech leży, jak po fatality. Tylko ja tak nie umiem, coś mnie skręca, jak widzę leżącego, no i przecież go przestraszyłem, więc chciałem odstraszyć. Chciałem pomóc wstać. Pomogłem tylko usiąść.

Poturbowany był ten Leonsjo i to fest, blood na ryju, wypłuł ząb i miał jeszcze takie otarcie, czarne jak black, przez wierzch dłoni. Do szpitala! Nie chciał o tym słyszeć, w ogóle był dziwny i chyba się trochę bał. Zapytał o blaszki, suszyło go, tylko z sosem u mnie kruch, wygrzebałem zeta, prychnął szczęśliwie, bo miał już dwa. Zagadałem, co takiego mu się przydarzyło. Nie chciał mówić, ale w końcu się wypucował, no i nic miłego, niedobrze, właśnie tak, i bardzo bym nie chciał, żebyście pomyśleli sobie źle o mojej rodzinie, bo dobrzy są, kochani, tylko fakty niedobre i niekochane – to mój brej dak mu tak pysk przefasował. Leonsjo nie chciał o tym gadać, bał się, że się spruję do Staśka i on po niego wróci.

A było tak, że Leonsjo zobaczył Stasia, uderzył na sępa, co źle się dla niego skończyło, normalnie legalnie Stasiak grzmotnął go, jeszcze poprawił z obuwia i wyruszył w przycogę. Brej dak był zawsze prędko w pięściach, tylko nigdy czegoś takiego jeszcze nie zrobił, zwłaszcza że Lenosjo jest łagodny jak Bóg. Żałowałem, że nie mam więcej złotych. Próbowałem jakoś usprawiedliwić brata, a przynajmniej chciałem, żeby Leonsjo nie myślał źle o nas

wszystkich. Machnął spuchniętą łapą i zapytał, czemu we dwóch ganiamy się po nocy.

I co tu powiedzieć? Wiecie, jak jest. Pewne rzeczy trzeba trzymać przy sobie. Co w domu, to w domu. Tatuś złościł się nawet o tego vloga. Nie chciał, żebym do was mówił, i musiałem obiecać, że o jednym będę mówił, a o innym już nie. To dotyczyło chyba też Leonsja. Wypucowałem, że Staś poszedł do Witkowskiego, ale nie po co, i zaraz dodałem, że też tam idę. Leonsjo zarechotał. Odkąd my takie ziomy z Witkowskim? Zaraz zrozumiał.

Powiedział, że mój brat jest zły, ja dla odmiany dobry i jemu by nie pomógł, za to mi owszem. Repek na propsie, iha! Więc dowiedziałem się, że do Witkowskiego nie tacy fighterzy próbowali się dostać. Kończyli zaobrączkowani, roześmiał się Leonsjo, ponieważ nie wiedzieli tego, co on wie. Chałupa jak castle, na oknach czujki, kontaktrony, kamerki. I ten mur. Leonsjo nie pomoże mi z kontaktronem, lecz z murem i owszem. Na murze kolczatka, przez nią nie przejdę. Co zrobisz, mój młody przyjacielu?

Tylko miał fun, a potem zdjął swój kozuch, ciężki taki, powymmował z kieszeni butelki, papierzyska, pogniecione puchy i siatki foliowe, i następnie cisnął nim w moją stronę mnie, tak nagle, aż normalnie się wyglebiłem. Miał ze mnie bekę, ten żul. I rzekł, że przerzucę kozuch przez drut i tak przelezę, dorosły by nie dał rady, ale ja jestem malutki, leciutki. Tak mówił i brechtał, normalnie jak Pan Śmiech, tylko Pan Śmiech nie śmierdzi i nie ma roztrzaskanego pyska, a Leonsjo tak.

Głupio mi się zrobiło, zmarznie, kurna no. Kurzył cigareta i nie wyglądał na wychłodzonego. Pójdzie do dobrych ludzi, do księdza zawędruje i powie, pobili, okradli, łachy zdarli do ostatniej koszuliny. Dostanie płaszcz niby wicehrabia, jeszcze świetnie wyjdzie na tym naszym spotkaniu.

Biedny jest silny swoją biedą, dodał jeszcze i kazał mi odejść. Powiedział to trochę inaczej, sami wiecie jak.

Chciałem już rajdować ten dom, tylko miałem frasu-nek. Zawróciłem do Leonsja, zły już był. Drut pokonam, ale mur wysoki. Leonsjo wybałuszył zabloodzone oko, capnął mnie za ramiona i wyzionął: szukaj diabelskiego drzewa, mały mój, diabelskie drzewo wskaże ci kurs i cel. Jak poznam to drzewo – chciałem się dowiedzieć. Poznasz, prychnął, poznasz na pewno, i poszedł, bez kozucha, ścis-kając w łapie zgromadzony sos.

8

Capery są mądre, a Leonsjo najmądrzejszy ze wszystkich. Ale po kolei.

To znowu ja, wasz Repek, i proszę, mam kolejnego achivmenta. Ta forteca tutaj to nic innego jak dom Witkowskiego. Dżizasie z krucyfiksa, jebutne to nad bron-tozaury. Ledwo dach widać. Ciemno i quiet. Normalnie chciałem wracać. Gdzie mój biedny brejdak? Pokręciłem się i patrzcie proszę, dziwactwo szczęśliwe się trafiło. No way, to nic innego, tylko diabelskie drzewo, o którym sły-szałem od Leonsja.

Sami przyznacie, wygląda, jakby diabeł tam siedział. Korzenie idą z ziemi, posplatane i guzowate, ten pień się pochyla, a gałęzie, powiedzcie sami, nie są to łapska, ramiona takie, co chcą mnie capnąć i wepchać w tę dziupłę na rozwidleniu? Zero liści, tylko sęki. Wysoko. Speniałem, peniałbym dalej, tylko ziomusie wrócili z full pociechą w kieszeniach. Pan Smutek siedzi na jednej gałęzi, Pan Śmiech na drugiej i leją ze mnie serdecznie, po całości, przez szajs, w który się wpakowałem.

Pan Śmiech przypomina, że zawsze chciałem być w środku gry. Chciałem być Geraltem i Franklinem z Los Santos. No to jestem, no to mam, rechoże Pan Śmiech i mało z gałęzi nie runie. Ruszaj, wszystko będzie glancyk klancyk. Pan Smutek oczywiście nie podziela tej opinii i przypomina, że prócz nocy mamy także dzień. Chce wiedzieć, gdzie będę jutro, na psiurni czy w hospitalu z nogą połamaną? Stoję na skraju parku, pod zeschniętym drzewem, i szykuję się na włam. Takie historie nie mają dobrego zakończenia, przypomina Pan Smutek i dostojnie pociąga nosem, sadowiąc się wygodniej na swojej gałęzi.

Jak się na to wygramolić? Pan Śmiech zachęca do czynu, za to Pan Smutek rozkręca kolejny monolog. Kto mnie odwiedzi w tym całym hospitalu, gdy będę leżał w gipsie, pod oknem z widokiem na poprawczak? Tata nie przyjdzie, bo leży i nigdy nie wstanie, brejdak wypiął się centralnie i będzie tylko brykał, no a koledzy, koledzy przyjdą? Pewa, że nie przyjdą, bo nie mam kolegów, pulta się Pan Smutek, podczas gdy ja, jak widzicie, szukam oparcia dla nóg. Nie mam kolegów. Mam vloga. Mam mieszkanie na poddaszu, kompa i fanty w ordnungu. Wypindram się na drzewo – żadne tam diabelskie, gnijący pniak – i nawet to będzie lost na amen, jak pierścień Golluma albo serce komornika. Nieważne. Kończę nadawanie. Zaraz się odezwę.

Chwytam najniższą gałąź, a Pan Smutek zawodzi pieśń o tym, że jak runę, to się nie zrespawnuję.

9

Fuck i o rety, jakie kotlety, siema ziomeczki, to znowu ja, wasz Repek. Pewno macie full pytań. Czemu jestem taki

mokry? Czemu dyszę? Czemu szepczę, zamiast mówić? Czy znalazłem tę wodę, no i gdzie wylądowałem? Po kolei, right? Wszystko poleci we właściwym porządku, tylko łapki, dajcie mi łapki, bo bez tego nic nie ma sensu, a i chyba zasłużyłem.

Więc, jak sami teraz możecie zobaczyć, jestem na dachu, mówiłem wam, że lubię dachy, ale to trochę nie tak. Lubię swój dach. Mój dach jest superspoko, a inne, na przykład ten, ssą. Chwycić się nie ma czego. Ślisko, gwizdże wiatr. Inna rzecz, że na dole jest jeszcze gorzej, toż zwiąłem tutaj z dołu właśnie. Nawijam do was, żebyście wiedzieli, co tutaj się nawyrabiało, i dali mi może jakąś łapkę, choć łapka inna by się nadała, żeby pomóc mi zejść, albo i przegnać tego monstera na dole.

Więc tak, ziomusie i maniurki, monstery są na świecie, a przynajmniej w Vitahawirze hrabiego Witkowskiego. Z murem i drutem poszło cacy. Dałem ten kozuch sfilcowany, skoczyłem hopsem, ryms, i byłem po drugiej stronie. Tylko łeb zadarłem, myśl taka – jak wrócę, sierota dosłowny? Jeszcze się nad tym nagłowię, w każdym razie mam z tym muchomora i powiem wam szczerze, to nie jest jedyny muchomor. Ale po kolei.

Na początku nic złego się nie podziało, wydachowałem się, ale nic, noga cała, ręka cała i wasz Repek też ocalał. Popatrzyłem. Trawka równo przycięta, garaż, dresowóz jak ta lala przed garażem, wodotrysk do tego, wszystko na bogato, jakby Vegas jakieś, a nie nasze Rykusmyku. Pomyślałem zaraz: facio wodę sprzedawał, woda w kra- nie u każdego, a on jednak sprzedał i zarobił grubą bułą. Pewno nie wie, co robić z tym sosem, może sam z siebie da wodę dla tatusia? Cicho, że strach. Nikogo, nic, nikomu. Dom czarny. Poszedłem. Toż nie zapukam. Oknem prę-

dziej, tylko okna jak forty. Tu nie miałem planu, ani Leonsjo nie miał, wpadłem więc w otchłań rozkminy.

Rozkmina trwała minuta osiem, bo zza domu wylazł pieseł, pieseł z grubej rury, rottweiler bez smyczy i kagańca. Monster na wolności chodził. Myślałem, że złamię się w hajdafery. Zaraz mnie przyuważył, stanął, pochylił łeb i skoczył. Ja w długą na szybkich nogach. On za mną, na jeszcze szybszych. Gdyby jeszcze ujadał! A on taki cichy. Po mnie, dopadnie, rozszarpie, trup z waszego Repusia. Wskoczyłem na dresowóz. Najpierw na maskę, potem na dach. Oj, nie polubi mnie ten Witkowski. Pieseł za mną, tylko łapy mu się ślizgały, no i się wyglebił na plery, aż gały wybałuszył. Dobrze mu tak. Pokazałem mu fucka. Głupio tak, bo pieseł nie wie, co to fuck.

Dalej nie było wesoło. Pozbierał się i zaczął krążyć wokół kabiny. Zejść nie było jak, no to wyszedłem na ten dach. Plus – tu jednak trochę wygodniej, więcej miejsca, mogę kombinować. Minus – pieseł zleciał z horyzontu. Nie wiem, gdzie jest, ale wiem, co porabia. Sznupie za mną w gęstym mroku.

Pan Śmiech gratuluje mi łatwego zwycięstwa. Od początku wiedział, że sobie poradzę. Pan Smutek, swoim zwyczajem, zmarkotniał. Siedzę na dachu, zejść mogę tylko w kły, nie wiem co dalej, a na domiar złego bangła deszcz. Chowam telefon. Zaczynam się wspinać.

Życie to nie gra, wiecie? Chciałbym, żeby było inaczej, ale nie jest. Tylko czy próbowaliście rozkminić kiedyś, co różni grę od życia? W życiu nie ma respawnu, niby nie ma, bo przecież robię to wszystko, żeby respawnować tatusia. Ale jeśli respawnu nie ma, to wszystko jest wielki szajs. Tak być nie może. No i jeszcze przecież w grze od razu wiadomo, czy gdzieś się da wejść, czy się nie da, zupełnie jak Franklin, gdy wchodził do Michaela w GTA.



Też z dachu kabiny. Potem przez okno i już był w środku. Dlatego lubię gry. W grach znajdziecie porządek, którego w życiu nie ma, a już na pewno nie na tym dachu.

Nie wiem, po czemu przypomina mi się, jak było klawo, nim brejdek siadł przed peeską i jeszcze brał mnie nad wodę albo do starego malucha i gnaliśmy po polach, tą pradawną kabiną, a on ledwo nogami do pedałów sięgał. Trzęsło i śmialiśmy się okropnie. Przypomina mi się wiele rzeczy. Kiedyś razem ze mną wychodził na dach, a tato budował rakiety z zapalek i folii u nas w kuchni, na blacie. Mama przyszła z szamą i zrobiła awanti, bo te rakiety popychały pod sufit, z takim dymnym ogonkiem. Potem tato klarował matuli, że to nic złego, a mama wydeła usta i... o, zaraz, zaraz, trzymajcie mnie!

Uff.

Było blisko.

No ale się trzymam. Dobrze, żeście tego nie widzieli, normalnie, legalnie wasz Repuś poleciał z dachu prawie że. Nie chwytajcie się anten. Chwytajcie się dachówek, wentylatorów, kumpli, myszki, żelków, energetyków, wayboardów, mikrofonów i butelki kolafki, ale żadnych anten, proszę was. Jest tyle fantów, których można się chwycić. No i poleciałem niemal na łeb. Zawisłem jak sam Ethan Drake i chyba nawet jestem takim Ethanem Drakiem z Rykusmyku.

Dyndałem, niżej ujadał pieseł. Wypindrałem się i proszę, oto nagroda za moje niezgultstwo. Okno, ciemne i uchylone. I ja tam pójde. Zaraz tam pójde, tylko wyjmę telefon. Popatrzcie na mnie raz jeszcze. Popatrzcie, żebyście wiedzieli, że tu nie ma ściemy i to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Tylko ważna rzecz. Ja tam nie wchodzę po fanty. Niech mają goldu po sufit. Nie wezmę. Idę po wodę dla mojego tatusia. Idę po wodę życia i nic nie zajumam.

Chcę, żebyście to wiedzieli. Łapki w górę, łapki w górę.
To ja, wasz Repek kontra czarny dom, na włamie stulecia.
Stay tuned!

10

Miałem nie włączać kamerki, ale nie mogę, słuchajcie, tak żyją szastacze z prawdziwego zdarzenia, a ja zbieram szczękę z podłogi. Aż żal, że światła nie mogę włączyć. Śpią, czy nikogo nie ma? Chyba ktoś jest, bo żarzy się w kominku. Ale jaki to kominek! Pilota ma! Wnęka na drewno w ścianie, a nad nią dwa sfinksy czy coś, faraony jakieś. Sofa biała, czyściutka. Jak się dba o takie sofy, że paprocha nie ma ani plamy? Zwinąłbym się w naleśnik, tylko nie wolno. Lamy japońskie, origami takie, stopnie schodów błyszczą, choć ciemne, i poręcz szklana. Brejdak by je pewnikiem potłukł, raz-dwa, tylko ci sobie tłuc mogą, zaraz nowe zamontują. Ten wazon srebrny, wysoki, musi kosztować przynajmniej milion złotych, no dobra, śmieje się trochę, ale przecież to śmieszne, wysoki na metr i tylko dwa kwiatki rosną. Barek, podnóżki i telewizor jak ekran w multipleksie, toż brejdakowi jęzor by się zsunął na zelówkę, jakby mógł pocisnąć sobie trochę na czymś takim.

Niby biedni tacy są inni od zarobasów, a jednak podobni. Toż ktoś tutaj ma mega jazdę na buty. Patrzcie tylko do tej szafy, ile tego, tylko kto to nosi, pewno jakaś cziksa szastaczka, no bo kto? Zobaczcie sami, ile tego, sto albo i lepiej. Czerwone ze skóry, błyszczące, ten złoty jak od sułtana, a wszystkie nowe, nie to co u nas. Ciekawe, czy mieszka tutaj ich tyłu, czy to dla tej jednej cziksy. Albo dla dwóch. To ci mają życie, te zarobasy! Jeden but na rano, drugi na południe i zupełnie inny na każdy dzień w roku.

Weźcie ten na przykład. Jak go włożyć, toż wejdzie po udo? A ten ma obcas na łokieć i ćwierć, dziewczoja murowanie się wyglebi. Wziąłbym parę dla tatusia. Tatuś nigdy nie malował takich butów za grube patole. Idę jednak. Nie po to Vitahawirę zrajdowałem.

Muszę się uspokoić, a więc muszę mówić, tylko nie mogę mówić, bo jeszcze usłyszą. Tylko kto? Toż nikogo tu nie ma, to znaczy są, ci co zawsze, Pan Smutek i Pan Śmiech, jeden na pufie kosmicznej, a drugi na żyrandolu, takim też dziwnym, niby z klejnocików girlandowych. Obiecuję sobie, że będę ciężko pracował. Obiecuję sobie, że nagram mnóstwo filmików i też kupię sobie taki dom, dla siebie, brejdaka i tatusia. Tatuś nie będzie krzyczał na Staśka o szkołę, bo po co bogatemu nauka, i będzie mógł malować już tylko buty.

Pan Śmiech gada o wielkich misach żelków i lodówce pełnej kolafki. Pan Smutek kokosi się na pufie i dudni, że nic z tego nie wyjdzie, tylko bieda i żal. Na świecie cuda się nie dzieją, kto żebrakiem się zrodził, ten żebrakiem umrze. Tylko nie jestem żebrakiem. Jestem normalnym chłopakiem, nazywam się Jaś, to znaczy Repek, i mam dwanaście lat.

Jestem mały, a dom ogromny, pan Śmiech z Panem Smutkiem spylają stąd, aż furczy, a ja już łapię, że zapomniałem o swoim zadaniu. Każdemu by się zapomniało w takich pałacach, więc idę dalej, choć nie wiem gdzie. Korytarz czy schody? Może korytarzem.

Jak wygląda źródło wody życia? Gdzie bogaci ludzie trzymają swoje leki? Znów schowam smartfona i znów będę szedł cicho i pomalutku. Rety, nie mają tu chyba takiej dziury w drzwiach, przez którą mógłby się wtara-banić pieseł?

Pusto i ciemno, ciemno i pusto. W łazience dzakuzi, sauna zimna i parowa, na półkach książki w metr cięte, nieruszone, część pokoi pusta, meble pod folią albo i bez mebli – gołe białe ściany i gołe żarówki. Tak cicho. Nawet podłoga nie trzeszczy. Zresztą, inaczej się chodzi po takiej podłodze, przyklekam, dotykam – ciepła. Komu grzeje? Odmykam szafy, szuflady. Tam nic albo krawaty, tylko barek fest, butelki jak kosmodromy. Nie wiem, po co komu tyle pokoi. Pójdę lepiej na piętro, po gładkich stopniach, przy szklanej barierce. Teraz myślę, że jestem duchem i sobie straszę. Wychodzę z wielkiego telewizora i dzwonię w korale żyrandola. Przewracałbym buty szastaczom! Jako duch mógłbym tu mieszkać. Pokomarzyłbym na tej całej kanapie, ale, ale, teraz cisza, bo piętro, bo korytarz i drzwi otwarte, a w nich światło.

11

Siema, ziomusie, to znowu ja, wasz Repek. Pewno martwiliście się o mnie, bo tak jak patrzę, przypadłem na godzinę, więc od razu mówię, jest dobrze, a nawet na bogato. Myślicie sobie, co on tak brechta, co ma takiego banana pod nosem i w życiu byście nie zgadli. Mam wodę życia dla mojego tatusia! Udało się, już cisnę na hacjendę, tylko najpierw powiem wam, co to się podziało, a działo się pięknie, śmiesznie, strasznie i bajkowo. Wspaniale!

Więc, jak mówiłem wcześniej, w korytarzu były drzwi uchylone, i światło, i ruchomy cień. Mało nie spękałem od tego dygotu, no ale nic. Podreptałem cichuteńko, kichawa do klamki, zerknąłem jednym okiem, gotów do ucieczki. Sypialnia to była elegancka, łóżko wielkie jak pół Orlika

i właściwie nic, tylko szklany blat, dwa ajfony, stary i nowy, jedna szklanka cała, a jedna stłuczona. Brzęczała smutna nuta z głośnika na bluetootha. Pod bogatym żyrandolem byli sobie prince i princessa. Prince przycinał komara i chrapał, bosy, w dresiwie i rozpiętej koszuli. Princessa, sasanka dziesięć na dziesięć, siedziała na łóżku, wbijając wzrok w czerwony pantofelek. Prince pewnikiem Witkowski, princessa skąd? Weź pytaj Turbana. Chyba tu mieszka i te buty wszystkie, co widziałem, to jej są. Patrzyłem tak ciut za długo, bo ona nagle spojrzała wprost na mnie, a oczy pływały jej jak jajka na starym oleju.

Myślałem, że bardziej się zdziwi. Wyciągnęła dłonie i ucieszyła wafła, który zaraz, ten wafel, z czymś mi się skojarzył. Powiedziała, żebym do niej podszedł, chciała wiedzieć, co robię, i nazwała chłopczykiem. Nawet nie wiem, jak znalazłem się w jej objęciach. Posmyrała w beret, a ja już wiedziałem, po czemu ten wafel znajomy. Brejtel tak się szczyrzył, odkąd przestał sypiać, no ale princessa nie była moim brejdakiem, tylko princessą właśnie, a princessy jedzą grzanki z masłem, i nigdy nie fałszują podczas śpiewania. Ani się nie spostrzegłem, jak siedzieliśmy obok siebie, na łóżku.

Powtórzyła swoje pytanie, a ja natychmiast wypucowałem się ze wszystkiego. Nawet nie wiem, jak to się podziało, po prostu nagle się sprułem i to do spodu: o brejduku, o tacie, o parku z Leonsjem, o diabelskim drzewie, o psie i wodzie życia też. Macie tu taką, prawda? Bez tego bym się wam tu nie wjamował. Nie jestem kradziejem. Nigdy nawet Marsa nie zbunkrowałem. Chciałem, żeby o tym wiedziała. Chciałem, by myślała o mnie dobrze, tak jak wszyscy myślą źle, a ona objęła mnie i znów głaskała po deku, mówiąc: biedny chłopiec, biedny chłopiec.

Chciałem seryjnie zaznaczyć, że żaden ze mnie biedny chłopiec, tylko zwyczajny, taki jak wszyscy, bo każdy ma jakieś tam kłopoty z bratami i tatusiami, choć może taka princessa nie ma i nigdy nie miała. Tylko jakoś mi nie szło to całe gadanie. Bo ręka, bo głowa na jej kolanach. I przestałem mówić. Leżałem, a pod czaszką kłębił się blady brejdak, zabloodzony tatuś, twarze na drzewach i pieseł, wszyscy jak w wodzie, potem w kisielu, a potem jeszcze w smole, coraz wolniejsi, aż wreszcie zniknęli i była tylko karmelowa ciemność, jej dłoń, gorący wiatr.

Czy on się nie zbudzi? Chodziło o księciunia. Princessa machnęła ręką: powygniata poduchę do rana. Zapytała jeszcze raz o tatusia. Co z ojcem, chłopczyku? Jej mógłbym opowiadać to samo nie dwa razy, lecz dziesięć. No i powtórzyłem, tylko tak, żeby brejdaka nie wsypać. Przypomniałem, że w hospitalu zaciukają nam tatulka i cześć, zresztą tato zawsze mówił tak: umiesz liczyć, licz na siebie. Fajny jest. My zawsze dawaliśmy sobie radę bez cudzej pomocy. Dlatego wbiłem się tutaj, po wodę życia, za co seryjne pardony. Dodałem jeszcze, że jeśli z wody życia została ostatnia szklanka, to ja nie wezmę i poszukam gdzie indziej. Niech tylko powie.

Tak nawijałem, a jej oczy pływały coraz bardziej i przez moment się zdało, że runie obok faceta. Ale skąd. Znów zaczęła z tym biednym chłopcem i gdyby nie była taka piękna, pomyślałbym, że coś z nią srogo nie teges.

Uklęknęła przede mną i powiedziała mnóstwo różnych rzeczy. Że żaden ze mnie człowiek, tylko anioł najprawdziwszy. Kocham ojca i brejdaka. Chciałaby być tak kochana, a nie jest. I zaraz zapytała znów: po co tu przyszedłem. Zrobiło się tockę strange, chciałem dać dzidę, chwyciła dłoń, powtórzyłem.

Woda życia, jak inaczej! Powiedziała, że wie wszystko i zaraz pomoże. Tylko nie budźmy chrapiącego kanaliusza. Wyglądała na szczęśliwą, że może mi pomóc. Otuliła się kapotą z wyrka, taką gwiazdną, rozświetloną, i poszliśmy znajomym korytarzem, a ksiązę został. Leżąc na rozgwiazdę i chrapiąc przez kichawę.

Z princessą dotarliśmy do garażu i w tym garażu nie było auta, lecz woda, całe góry wody butelkowej bez etykietek. Princessa chciała wiedzieć, czy tego mi trzeba, no a ja nie wiedziałem, bo skąd. Woda jak woda, jakby wyglądała inaczej, nie byłaby wodą. Jakoś tak powiedziałem, a ona znowu w brecht. Poprosiła, bym wybrał butelkę. Tak zrobiłem. Princessa wzięła ode mnie tę butelkę, ucałowała nakrętkę i potem powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że daje mi swój czar i miłość swoją dla tatusia, a potem powiedziała jeszcze, że musi już iść i ja muszę iść, otwórz mi bramę i przytrzymaj psa. Nikt nigdy nie był dla mnie taki dobry. Chciałem zapamiętać, jaka była piękna. Zapamiętałem jej śmiech.

No i co powiecie? Cudnie sobie poradził wasz Repuś! Miliony łapek! Miliony łapek! Oto nauczka, że jak wszystko ssie, zawsze wstanie nowy dzień i świat będzie się zgadzać. Wydaje mi się nawet, że gdyby brejdak nie walnął tatusia, to nigdy nie dowiedziałbym się, jak dobry jest Leonsjo, i nie poznałbym princessy. Kiedy będę duży i będę miał dziewczynę, ta dziewczyna będzie właśnie taka jak ona. A teraz dość. Muszę wrócić przez park. Mam nadzieję, że ciągle tam leży. Głupio byłoby, gdyby wstał sam z siebie po tym, co dla niego zrobiłem. Pędzę przez park, śpiewa mi Pan Śmiech, leci też Pan Smutek. Pierwszemu grabuła. Drugiemu – takie fucki!

I znów nic nie poszło tak, jak powinno. Pecha ma wasz Repuś, ale teraz naprawdę jest grubo, to znaczy było grubo i sam nie wiem, co mam myśleć ani jak się wykaraskałem. Wstyd gadać o takich rzeczach, srogi wstyd. Nie chcę już żadnych łapek i nie wiem, co dalej.

Zacznę od tego, że zaraz za parkiem zawinęły mnie pały. Nie, żeby skuli czy coś. Podeszło dwóch i powiedzieli, żebym poszedł z nimi na mendownię. Brej dak wie, jak się z takimi gada. Myślałem, że za to włamanie, że princesa na mnie zagoniła. Albo Leonsjo. Kto tam wie, co żulowi pod czerepem siedzi?

Na tej mendowni był już brej dak. Lampił się w blat, łba nie poderwał, a ja dowiedziałem się, że mam kłopoty. Podobno skrzywdziłem tatusia. Podobno uderzyłem go, że upadł i nigdy nie wstanie. Tak twierdzili policmaję i tak twierdziła kuratorka. Przecież to nieprawda, przecież tak w ogóle nie było, krzyczałem na policmaję i tę kuratorkę, która była w ogóle dość miła, pytała, czy chcę coś wsza-mać, i przyniosła sok.

Pan Śmiech powiedział zaraz, że psy się machnęły i awantura zaraz zostanie odkręcona. Ludzie są głupi, a psy najgłupsze, każdy to wie. Pan Smutek kuksnął go w żebro i rzekł, że sprawa inna, seryjna, awanti jak w Hiroszimie. Brej dak mnie na mendownię zagonił. Pokręcił się po Ryku, poleciał na psiurnię i zakapował, żeby się wykaraskać. Farmazony. Brej dak nigdy by tak nie zrobił. Brej dak wie, że z psiurnią się nie gada.

W końcu mnie puścili. To znaczy, zostawili z kuratorką, ona wyszła, ja dałem w długą i teraz czają się w bramie na Chrobrego. Pewno mnie szuka. A puścili, bo na mendowni

znalazł się Leonsjo. Ciemny cep, Żabkę chciał szabrować. A jak mnie zobaczył, zaraz wypucował się do spodu.

Powiedział, że mnie widział, że my rozmawiali, ale o tym, co robiłem w parku i dokąd szedłem – dziób miał zawarty. Gadał za to o Stašku, że Stasiak mu przysolił i był wściekły, ten mój brejdał, jakby coś nawywijał. Taki dobry chłopak ojca nigdy by nie uderzył, jego zdaniem, no i miał rację, co by nie gadać.

Psy kiwały łbami. Zaraz wzięli Staśka w obroty, Stasiak się spruł i powiedział, jak naprawdę było. Co z nim będzie, no nie wiem? Chyba nie puszkuje za takie rzeczy. Przecież jest młody. Przecież ma dobre serce.

Stasio siedział i płakał jak emol, że nie chciał, że nie wie, jak to się stało, że grał za dużo, że nie kimał i że już nie będzie. Nie wiem, co to pomoże. Tyle że wszyscy o mnie zapomnieli. Kuratorka dała soku, kazała czekać. To poczekałem, tylko mnie jeszcze nie pokamłociło, żeby siedzieć sam z siebie na mendowni. No w życiu. A Staś się pruł i beczał.

Przycziłem moment. Zgarnąłem plecaczek i wyszedłem, normalnie na legalu, i zaraz dałem w długą, i teraz jestem, teraz nadaję do was znowu, a ta hajza luminowana po drugiej stronie, co ją widzicie, to nic innego jak hospital, gdzie leży mój ojciec.

13

Mam dla was czelendź, dobrze? Ja wiem, że przegiąłem bagietę, że niezły ze mnie pobandzius, tylko teraz to naprawdę ważne jest. I proszę was o łapki. Miliony łapek, tylko nie dla mnie, ale dla mojego tatusia. Dajcie mu łapki, żeby się obudził. Dajcie mu łapki, żeby znowu z nami był,

żeby malował te swoje buty, warcholił się i przynosił nam kakao po tym warcholeniu, bo to najlepszy na świecie tatuś jest. Więc dajcie mu łapki, a ja obiecuję, że nigdy nie poproszę o żadną łapkę, do końca życia, i to na bank szwajcar.

Jestem już w hospitalu. Patrzcie. Ten człowiek na kimadełku to właśnie mój tatuś. Rety, ile rurek od niego odchodzi. Wcześniej takie rzeczy widziałem w amerykańskich filmach, a nie u nas w Rykusmyku. Im więcej rurek, tym większy kłopot, myślę sobie. Tatuś zyza, a pan doktor twierdzi, że prędko się nie wybudzi. Ten doktor to prawowity chłop i pozwolił mi tu chwilę zostać.

Chcę, żebyście wszystko dokładnie widzieli. Kładę telefon na blacie, opieram o lampkę. Rety, jak głęboko zyza ten mój tatuś! Zmyli z niego blood, obwiązali czerep i wyglądałby śmiesznie, gdyby nie wyglądał tak strasznie, rozumiecie, nie? Zaraz wstaniesz, tatusiu! Odkomarzę cię i cześć!

Oto i butelka, i zakrętka. Odkręcam. Wargi są czarne i twarde. Rozchyłam te wargi i wlewam wodę. Woda jest zimna. Woda cieknie po brodzie mojego tatusia. Już.

Odkładam butelkę. Wstań, tato. To musi chwilę potrwać, prawda? Pan Smutek milczy. Milczy Pan Śmiech. Oczy taty są zamknięte. Otwórz oczy, tatusiu. Wiem, że otworzysz, bo zrobiłem wszystko, jak trzeba. Pokonałem monstera. Zdobyłem całus princessy. Opowiem ci, jak otworzysz oczy. Opowiem ci, jak tylko wstaniesz. Nie musisz się z tym spieszyć, ale w sumie mógłbyś. Ja bym już chciał. Ale poczekam. Otwórz oczy, tatusiu. Wiem, że otworzysz oczy, bo zrobiłem wszystko, jak trzeba!

Nie ma śmiacia, co teraz? Zyza tak jak wcześniej. Chyba nie ma takiej opcji, żeby woda życia skefana jakaś była, co nie? Więc muszę inaczej. Muszę coś wymyślić. Pan Smutek

mówi, że wszystko to ponury joke i tatuś zaraz otrzepie kaptcie, za to Pan Śmiech gdzieś wybył, jak zawsze, gdy jest potrzebny. Czekaście, wiem! Te rurki! Toż wodę rurką trzeba do żyły, a ja głupi tatusiowi w gębę ją lałem. Teraz na pewno wypali. Tylko jak się do tego zabrać? Czekaście. Rurka idzie od graby do tego dziwnego słoja nad tatusiem. Żeby tylko wtopy nie było... Wyleję szajs ze słoja i dam tam wodę zycia. Tato wstanie raz-dwa! Do czynu!

Czekaście. Ktoś człapie za drzwiami. Pewno dobry pan doktor, chyba że pały mnie zwąchały. Lepiej, żeby mnie nie złapali, jak majstruję przy słoju. Poczekam chwilę, może przejdą. O faken, drzwi się otwierają! A ja na blacie ze słojem kombinuję. Faken!

O rety, to princessa.

14

Siema, ziomusie, to znowu ja, wasz Repek. Dałem laga, wielkie sorry za to, ale naprawdę wiele się u mnie nawyrabiało. Teraz już będę nadawał regularnie, ale nigdy nie poproszę łapki, bo mieliśmy czelendź, a teraz mamy sztamę i was z tej sztamy ani myślę wysadzać.

Jak myślicie, gdzie ja teraz jestem? Co to za hawira, że białe ściany, panele i kafelki z Kauflandu? Normalnie prawie tak jak u Witkowskiego, tylko ja u żadnego Witkowskiego nie siedzę. Poznacie tę kanapę i ten telewizor? Nie przeniosłem się do pałacu, lecz nasz biedny klawisz zamienił się w pałac. A ten brodaty gość to mój tatuś. On jeden taki sam, jak był. Ma brodę i swój sweter. Pomachaj nam, tatusiu! Zgadnijcie lepiej, co jeszcze się zmieniło? Tak, nie ma łachów na podłodze, i brudnych talerzy też nie ma, brejdaka też nie ma poki co, ani puszek

po energetykach. Nie wiecie, to wam powiem! Obrazy! Obrazy amba wzięła!

Opowiem wszystko po kolei, rajt? Nie wlałem wody do słoja, bo princessa złapała się za głowę, jak tylko wypucowałem się z tego, co planuję. Wyglądała ciut lepiej niż wtedy, w Vitahawirze. Powiedziała, że w ten sposób zaciukałbym tatusia. Zaraz odpowiedziałem, że nie chciałbym tego najbardziej na świecie, ale przecież ona, nikt inny, dała mi wodę życia. Normalnie, blada się zrobiła jak przed zgonem. Chwyliła, nie chciała puścić i spruła się zaraz, tak samo jak ja sprułem się u niej.

Princessa przysięgła, że wtedy nie była sobą, i obiecała naprawić to wszystko. Wybecalowała co trzeba i tatusia przewieźli do innego hospitala, gdzie było czterech doktorów, a nie jeden, i ci czterej tak długo nad nim radzili, aż go obudzili, wypionowali i po miechu wrócił na chatę, a ja mogłem też wrócić od tej kuratorki. Tylko brej dak jeszcze nie wrócił, ale o tym za chwilę.

Tatko bardzo chciał podziękować princessie za flotę wybecalowaną za ten megahospital. Princessa wolała wiedzieć, co on, mój tatuś, właściwie w życiu robi. No to jej powiedział, czemu nie? Zaraz chciała zobaczyć obrazy i tak trafiła do nas na klawisz. Wstyd trochę był, posprzątałem, jak się dało, tatuś kupił nawet Kadarke i zrobił herbaty, ale i tak bałem się, że będzie straszny przypał.

Pamiętacie jeszcze, jak rajdowałem hawirę princessy? A pamiętacie szafę z butami? Toż ona kocha buty najbardziej na świecie i jak zobaczyła obrazy tatusia, to miała opad szczeny. Powiedziała, że nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. Że mój tatko jest, normalnie, taki Matejko sztuki obuwniczej, Chełmoński obcasów i Wyspiański kozaków, czyli najlepszy pędzel świata! Zaraz wybecalowała na dziesięć płócien i powiedziała, że kupi ich więcej,

i w ogóle tatuś musi przychodzić do niej i malować jej buty, a ona zrobi mu wystawę w jakimś Paryżu czy innym Nowym Jorku.

Póki co tak gada, ale mamy już nowe ściany i tę podłogę, kuchnię i centrum wydalania takie, że szamać można z kauflandowych kafelków.

Żyjemy jak lordy, tatuś nie nastarcza z malowaniem nowych butów, do tego princessa nasłała tutaj jakichś galerników czy innych kolekcjonerów i oni też męczą tatuś, żeby cały czas malował. Normalnie, legalnie, Luwry w Rykusmyku. A ja nadaję przez nową kamerkę i cieszę się, że mnie oglądacie, i dajecie łapki, o łapki nie wolno mi prosić, ale cieszyć się mogę, no nie?

Tylko mam jeden zonk, bo brejidak nie może mnie oglądać, a nie może, bo w poprawczaku nie mają internetu. Niedługo go wypuszczą, więc nadrobi, zresztą nie jest tam sam, bo Pan Smutek powiedział, że posiedzi z nim tam trochę i powiedział jeszcze, że dam sobie radę bez niego, co jest chyba prawdą, bo starczy mi Pan Śmiech.

Warszawa–Kraków, październik 2015